



UUK

ROBERT A. HEINLEIN

MIĘDZY PLANETAMI

Tytuł oryginalny: *Between Planets*

Data wydania: 1993

Data wydania oryginału: 1951



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
Nowy Meksyk	3
„Mene, mene, tekel, ufarsin” — PROROCTWO DANIELA 5, 25	12
Ścigani	24
Szlak Chwały	35
Circum-Terra	44
Znak na niebie	57
Objazd	66
„Lisy mają nory i ptaki powietrzne gniazda...” — EWANGELIA ŚW. MATEUSZA 8, 20	76
Pieniądze „na kości”	86
„Gdy rozmyślałem, zapłonął ogień” — PSALM 39, 4	96
„Mógłbyś wrócić na Ziemię...”	105
Mokra pustynia	111
Mgłojady	118
„Daj nam go więc.”	127
„Nie sądźcie z zewnętrznych pozorów” — EWANGELIA ŚW. JANA 7, 24	134
Multum in parvo	145
Przestawić zegar.	154
Mały Dawid	162

Nowy Meksyk

— Spokój, stary, spokój!

Don Harvey ściągnął wodze małego, tłustego kucyka. Z reguły Leniuch zachowywał się zgodnie ze swym imieniem, dzisiaj jednak najwyraźniej był spragniony wędrówki. Don nie miał właściwie do niego pretensji. Dni takie jak ten zdarzają się tylko w Nowym Meksyku. Przelotna ulewa spłukała niebo do czysta. Grunt wysechł, lecz w oddali wciąż wisiał fragment tęczy. Niebo było zbyt niebieskie, wzgórza zbyt różowe, a oddalone przedmioty zbyt wyraźne, by wyglądać przekonująco. Nad ziemią zapanował niewiarygodny spokój niosący ze sobą zapierającą dech w piersiach zapowiedź nadejścia czegoś cudownego.

— Przed nami cały dzień — ostrzegł Leniucha. — Uważaj, żebyś się nie zmęczył. Czeka nas stromy podjazd.

Don jechał sam, ponieważ założył Leniuchowi wspaniałe meksykańskie siodło, które rodzice zamówili dla niego na urodziny. Było piękne, bogato przyozdobione srebrem jak młody Indianin, nie pasowało jednak do szkoły na ranchu, do której uczęszczał, w równym stopniu, jak wieczorowy strój nie nadawał się do piętnowania bydła. Jego rodzice najwyraźniej nie zdawali sobie z tego sprawy. Don był z niego dumny, lecz inni chłopcy używali zwyczajnych siodła i wyśmiewali się z niego niemiłosiernie. Gdy zobaczyli go z nim po raz pierwszy, przerobili jego nazwisko „Donald James Harvey” na „don Jaime”.

Leniuch spłoszył się nagle. Don popatrzył wokół, dostrzegł przyczynę, wyszarpnął broń i wystrzelił. Następnie zsiadł z siodła, odrzucając wodze ku przodowi, by Leniuch się zatrzymał, i przyjrzał się swemu dziełu. Skryty w cieniu skały okazał się wąż z siedmioma grzechotkami na ogonie drgał jeszcze. Jego głowa leżała obok, odcięta impulsem. Don postanowił nie zostawiać sobie grzechotek. Zabrałby głowę, gdyby przeszył ją na wylot za pierwszym razem, by pochwalić się celnością. W rzeczywistości jednak musiał poruszyć wiązką na boki, zanim go dostał. Gdyby przyniósł gada zabitego w tak nieudolny sposób, ktoś na pewno by go spytał, dlaczego nie skorzystał z węża ogrodowego.

Zostawił grzechotnika na miejscu i wskoczył na siodło, przemawiając do Leniucha.

— To tylko stary, nędzny grzechotnik rogaty — uspokoił go. — Bardziej wystraszył się ciebie niż ty jego.

Cmoknął i ruszyli w drogę. Po przebyciu kilkuset jardów Leniuch spłoszył się po raz drugi, tym razem nie z powodu węża, lecz nieoczekiwanego hałasu. Don ściągnął wodze.

— Ty spasiony ptasi mózdzku! — przemówił surowym tonem. — Kiedy się nauczysz nie zrywać na dzwonek telefonu?

Leniuch poruszył gwałtownie mięśniami barków i parsknął. Don sięgnął do łąku siodła, podniósł słuchawkę i odpowiedział.

— Aparat przenośny 6-J-233309. Mówi Don Harvey.

— Tu pan Reeves, Don — usłyszał głos kierownika Ranchito Alegre. — Gdzie jesteś?

— Kieruję się w stronę płaskowyzu „Grób Domokrążcy”, proszę pana.

— Wracaj jak najszybciej do domu.

— Hmm, czy mógłby mi pan powiedzieć, co się stało?

— Radiogram od rodziców. Jeśli kucharz wróci, wyślę po ciebie helikopter z kimś, kto sprowadziłby tu konia.

Don zawahał się. Nie chciał, żeby ktoś obcy dosiadał Leniucha. Na pewno go przegrzeje, a potem zapomni doprowadzić do porządku. Z drugiej strony radiogram od rodziców po prostu musiał być ważny. Byli na Marsie. Matka pisała regularnie list na każdym statku, ale radiogramy, nie licząc życzeń świątecznych i urodzinowych, były czymś niemal nieznanym.

— Pośpieszę się, proszę pana.

— Dobrze! — pan Reeves wyłączył się. Don zawrócił Leniucha i skierował się ścieżką w dół. Kucyk sprawiał wrażenie rozczarowanego. Spojrzał na chłopca z wyrzutem.

Ostatecznie z helikoptera dostrzeżono ich dopiero, gdy znajdowali się w odległości pół mili od szkoły. Don skinął do nich dłonią, każąc im odlecieć, i sam odprowadził Leniucha do stajni. Mimo odczuwanej ciekawości wytarł kucyka i напоił go, zanim udał się do pana Reevesa, który czekał na niego w gabinecie. Kazał Donowi wejść skinieniem dłoni i wręczył mu wiadomość.

Było tam napisane:

DROGI SYNKU, ZAREZERWOWALIŚMY MIEJSCE NA
WALKIRIĘ Z CIRCUM-TERRA DWUNASTEGO KWIETNIA.
KOCHAMY — MAMA I TATA.

Don spojrział na to przelotnie. Trudno mu było zrozumieć proste fakty.

— Ale to jest zaraz!

— Tak. Czy nie spodziewałeś się tego?

Don pomyślał nad tym przez chwilę. Na wpół oczekiwał, że polecą do domu — jeśli można było tak to nazwać, biorąc pod uwagę, że nigdy nie postawił stopy na Marsie — pod koniec roku szkolnego. Gdyby kupili mu bilet na *Vanderdeckena* za trzy miesiące...

— Hmm, niezupełnie. Nie mogę pojąć, czemu każą mi wracać przed końcem roku.

Pan Reeves starannie złożył koniuszki palców.

— Powiedziałbym, że to oczywiste.

Don zrobił zdumioną minę.

— Co pan mówi? Panie Reeves, nie myśli pan chyba, że naprawdę będą kłopoty?

— Don, nie jestem prorokiem — odpowiedział poważnym tonem kierownik. — Przypuszczam jednak, że twoi rodzice są na tyle zaniepokojeni, że chcą cię jak najszybciej wydostać ze strefy potencjalnych działań wojennych.

Wciąż trudno mu było pogodzić się z tą myślą. Wojny były czymś, o czym się uczył, a nie czymś, co zdarzało się naprawdę. Rzecz jasna na lekcjach historii współczesnej śledzono przebieg aktualnego kryzysu kolonialnego, niemniej nawet komuś, kto podróżował tyle co on, wydawało się to czymś odległym — sprawą dla dyplomatów i polityków, a nie elementem rzeczywistości.

— Niech pan posłucha, panie Reeves. Może oni się denerwują, ale ja nie. Chciałbym wysłać radiogram przekazujący im, że dolecę następnym statkiem, zaraz po skończeniu szkoły.

Pan Reeves potrząsnął głową.

— Nie. Nie mogę ci pozwolić złamać jednoznacznych poleceń rodziców. Ponadto, hmm — kierownik najwyraźniej miał trudności z doбором słów. — Chciałem powiedzieć, Donald, że na wypadek wojny twoja pozycja tutaj mogłaby się stać, powiedzmy, niewygodna.

Wydawało się, że do gabinetu przedostał się zimny, przenikliwy wiatr. Don poczuł się nagle samotny i starszy niż powinien.

— Dlaczego? — zapytał ochryłym tonem.

Pan Reeves spojrział na swe paznokcie.

— Czy jesteś całkowicie pewien, po czy jej stoisz stronie? — zapytał powoli.

Don zmusił się do zastanowienia się nad tym. Jego ojciec urodził się na Ziemi, zaś matka była wenusjańską kolonistką drugiego pokolenia. Żadna z tych planet nie była jednak naprawdę ich domem. Spotkali się i zawarli małżeństwo na Lunie, zaś swe badania z zakresu planetologii prowadzili w najróżniejszych sektorach układu słonecznego. Sam Don urodził się w przestrzeni kosmicznej i świadectwo urodzenia, wystawione przez Federację, pozostawiało kwestię narodowości otwartą. Mógł, po rodzicach rościć sobie pretensję do podwójnego obywatelstwa. Nie uważał się za wenusjańskiego kolonistę. Upłynęło już tyle czasu od chwili, gdy jego rodzina po raz ostatni odwiedziła Wenus, że wspomnienie tej planety

stało się dla niego czymś nierealnym. Z drugiej strony jednak miał już jedenaście lat, gdy po raz pierwszy ujrzał na własne oczy przecudne wzgórza Ziemi.

— Jestem obywatelem układu słonecznego — odparł szorstkim tonem.

— Hm — odrzekł kierownik. — To miły slogan i może któregoś dnia będzie coś znaczył. Tymczasem jednak, mówiąc po przyjacielsku, zgadzam się z twoimi rodzicami. Mars będzie zapewne terytorium neutralnym. Będiesz tam bezpieczny. Ponadto — ponownie mówię jako przyjaciel — sytuacja tutaj może się stać odrobinę nieprzyjemna dla kogoś, czyja lojalność nie jest w stu procentach oczywista.

— Nikt nie ma prawa kwestionować mojej lojalności! Zgodnie z prawem jestem uważany za tubylca!

Męczyzna nie udzielił odpowiedzi.

— To wszystko głupota! — wybuchnął Don. — Gdyby Federacja nie próbowała wycisnąć z Wenus ostatniego grosza, nikt by nawet nie wspominał o wojnie!

Reeves wstał z miejsca.

— To już wszystko, Don. Nie zamierzam spierać się z tobą na tematy polityczne.

— To prawda! Niech pan przeczyta *Teorię ekspansji kolonialnej Chamberlina*!

Reeves zrobił zdumioną minę.

— Gdzie ci się udało znaleźć tę książkę? Chyba nie w szkolnej bibliotece.

Don nie odpowiedział. Przysłał mu ją ojciec, ostrzegł go jednak, by nie pokazywał jej nikomu. To była jedna z książek zabronionych — przynajmniej na Ziemi.

— Don — ciągnął Reeves. — Czy miałeś kontakty z kolporterem nielegalnej literatury? — Don milczał. — Odpowiedz mi!

Po chwili Reeves zaczerpnął głęboko tchu i powiedział.

— Nieważne. Wróć do pokoju się spakować. O pierwszej polecisz helikoptrem do Albuquerque.

— Tak jest, proszę pana.

Skierował się w stronę wyjścia, lecz kierownik powstrzymał go.

— Chwileczkę. W ogniu naszej, hmm, dyskusji, zapomniałem niemal, że jest dla ciebie druga wiadomość.

— Tak? — Don wziął w rękę kartkę. Było na niej napisane:

DROGI SYNKU, NIE ZAPOMNIJ POWIEDZIEĆ WUJKOWI
DUDLEYOWI DO WIDZENIA PRZED ODLOTEM — MATKA.

— Pod pewnymi względami ta druga wiadomość zaskoczyła go jeszcze bardziej niż pierwsza. Z trudem przyszło mu zrozumieć, że matce z pewnością chodziło o doktora Dudleya Jeffersona, który był przyjacielem rodziców, ale nie

krewnym, a w jego życiu nie odgrywał żadnej roli. Reeves jednak najwyraźniej nie dostrzegł w wiadomości nic dziwnego, więc Don wsadził kartkę do kieszeni dżinsów i wyszedł z pokoju.

Choć już od dawna przebywał na Ziemi, zabrał się do pakowania jak prawdziwy mieszkaniec kosmosu. Wiedział, że bilet uprawnia go do zabrania jedynie pięćdziesięciu funtów darmowego bagażu, zaczął więc rozkładać wszystko na obie strony. Po chwili miał już dwa stosy, bardzo małe na swoim łóżku — niezbędne ubrania, kilka kapsułek mikrofilmów, suwak logarytmiczny, pisak oraz vreetha — podobny do fletu marsjański instrument, na którym od dawna nie grał, gdyż przeszkadzało to jego kolegom. Na łóżku chłopca dzielącego z nim pokój znajdował się drugi, znacznie większy stos rzeczy zbytecznych.

Wziął w rękę vreethę, dmuchnął w nią parę razy i odłożył na większy stos. Wieźć marsjański produkt na Marsa to jak łać wodę do studni. W tej właśnie chwili wszedł jego współlokator, Jack Moreau.

— Co ty wyrabiasz? Sprzątasz?

— Wyjeżdżam.

Jack pogmerzał palcem w uchu.

— Chyba robię się głuchy. Mógłbym przysiąc, że powiedziałaś, że wyjeżdżasz.

— Zgadza się — Don przerwał robotę i wyjaśnił wszystko Jackowi, pokazując mu radiogram od rodziców.

Jack sprawiał wrażenie zmartwionego.

— To mi się nie podoba. No jasne, wiedziałem, że to nasz ostatni rok, ale nie myślałem, że się zerwiesz. Trudno mi chyba będzie zasnąć bez twojego chrapania. Uspokajało mnie. Skąd ten pośpiech?

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Kierownik powiedział, że moi rodzice spie-trali się wojny i chcą zaholować syneczka w bezpieczne miejsce. Ale to głupota, nie? Chcę powiedzieć, że ludzie są w dzisiejszych czasach zbyt cywilizowani, żeby wyruszać na wojnę.

Jack nie odpowiedział. Don odczekał chwilę, po czym powiedział ostrym tonem.

— Zgadzasz się ze mną, nie? Nie będzie żadnej wojny.

— Może nie będzie — odparł powoli Jack. — A może będzie.

— Ech, daj spokój!

— Czy mam ci pomóc w pakowaniu? — zapytał współlokator

— Nie ma nic do pakowania.

— A co z tym wszystkim?

— Jest twoje, jeśli chcesz. Przejrzyj wszystko, a potem zawołaj chłopaków, żeby sobie wybrali co zechcą z tego, co zostanie.

— He? Kurczę, Don, nie chcę twoich rzeczy. Zapakuję je i wyślę do ciebie.

— Przesyłałeś coś kiedyś między planetami? To wszystko razem nie jest warte tej ceny.

— No to sprzedaj to. Wiesz co, zaraz po kolacji urządzimy licytację.

Don potrząsnął głową.

— Nie mam czasu. Odlatuję o pierwszej.

— Co? Zaskakujesz mnie, koleś. To mi się nie podoba.

— Nie ma rady — Don odwrócił się z powrotem w stronę stosów rzeczy.

Pojawiło się kilku jego kolegów, pragnących się pożegnać. Don nie mówił nic nikomu i nie sądził, by zrobił to kierownik, w jakiś jednak sposób plotka się rozeszła. Powiedział im, że mogą sobie wybrać łupy z tego, co zostawi Jack.

Po chwili zauważył, że nikt go nie zapytał dlaczego wyjeżdża. Zaniepokoiło go to bardziej niż gdyby o tym mówili. Chciał powiedzieć komuś, komukolwiek, że kwestionowanie jego lojalności było śmieszne, a poza tym nie będzie żadnej wojny!

Rupe Salter, chłopak z drugiego skrzydła, wsadził głowę do pokoju, by przyrzec się przygotowaniom.

— Zwiewasz, co? Słyszałem o tym i wpadłem się przekonać.

— Wyjeżdżam, jeśli to chciałeś powiedzieć.

— To właśnie powiedziałem. Posłuchaj, „don Jaime”, co z tym twoim cyrkowym siodłem? Uwolnię cię od jego ciężaru, jeśli cena będzie odpowiednia.

— Nie jest na sprzedaż.

— Hę? Tam, dokąd lecisz, nie ma żadnych koni. Podaj mi cenę.

— Jest własnością Jacka.

— I nadal nie jest na sprzedaż? — dorzucił natychmiast Moreau.

— Tak po prostu, co? Jak sobie chcecie — ciągnął łagodnym tonem Salter. — Jeszcze jedno. Dałeś już komuś w spadku tę swoją szkapę?

Wierzchowce chłopców, z nielicznymi wyjątkami, stanowiły własność szkoły, było jednak cenionym, zakorzenionym przywilejem każdego kończącego naukę ucznia, że mógł on przekazać „w spadku” tymczasowe prawo własności chłopca, którego wybrał. Don podniósł gwałtownie wzrok. Do tej chwili nie pomyślał o Leniuchu. Zdał sobie z nagłym żalem sprawę, że nie może zabrać małego, tłustego błazna ze sobą, ani też nie poczynił żadnych starań, by go zabezpieczyć.

— Sprawa jest załatwiona — odrzekł. Jeśli chodzi o ciebie — dodał w myślach.

— Kto go dostanie? To mogłoby ci się opłacić. Kiepski z niego koń, ale chciałbym się pozbyć tej kozy, na której muszę jeździć.

— To już załatwione.

— Bądź rozsądny. Mogę porozmawiać z kierownikiem, a on i tak mi go da. Pozostawienie konia w spadku to przywilej absolwenta, a ty dajesz nura przed terminem.

— Spływaj!

Salter uśmiechnął się.

— Nerwowy, co? Jak wszystkie mgłojady. Zbyt nerwowi, by wiedzieć, co dla nich dobre. No, ale wkrótce dostaniecie nauczki.

Don, już przedtem podenerwowany, był zbyt wściekły, by odważyć się odezwać. Słowo „mgłojad” używane na określenie człowieka ze skrytej pod obłokami Wenus było jedynie żartobliwe, jak „Angol” czy „Jankes”, chyba że — jak w tym przypadku — tonacja głosu oraz kontekst czyniły z niego celową obelgę. Pozostali spojrzeli na niego, na w pół spodziewając się, że przejdzie do czynów.

Jack podniósł się pośpiesznie z łóżka i podszedł do Saltera.

— Spłyń stąd, Salty. Jesteśmy zbyt zajęci na wygłupy z tobą.

Salter spojrział na Dona, a potem z powrotem na Jacka. Wzruszył ramionami i powiedział. — Ja też jestem zbyt zajęty, żeby tu siedzieć... ale, jeśli macie coś na myśli, znajdę czas.

Z jadalni dobiegł dźwięk dzwonu oznaczający południe, co rozładowało sytuację. Kilku chłopców skierowało się w stronę drzwi. Salter wyszedł wraz z nimi. Don się nie ruszył.

— No chodź już! — powiedział Jack.

— Jack?

— Co?

— A może ty byś przejął Leniucha?

— Kurczę, Don! Chciałbym ci pójść na rękę, ale... co bym począł z Lady Maude?

— Hmm, chyba masz rację. Co mam zrobić?

— Poczekaj... — twarz Jacka rozpromieniła się. — Znasz takiego chłopaka Zezola Morrisa? Tego nowego z Manitoby? Nie ma jeszcze stałego konia. Jeździ na kozach, według kolejki. Wiem, że dbałby o Leniucha. Widziałem, jak raz próbował z Maudie. Ma delikatne ręce.

Don poczuł ulgę.

— Załatwisz to dla mnie? Porozmawiasz z panem Reevesem?

— Hę? Możesz z nim pogadać na obiedzie. Chodź.

— Nie idę na obiad. Nie jestem głodny. Nie mam też wielkiej ochoty rozmawiać o tym z kierownikiem.

— Czemu nie?

— No, nie wiem. Kiedy wezwał mnie rano nie był właściwie... przyjaźnie nastawiony.

— Co powiedział?

— Nie chodzi o jego słowa, tylko o zachowanie. Może naprawdę jestem nerwowy... ale coś mi się zdawało, że cieszy się, iż się mnie pozbył.

Don spodziewał się, że Jack się nie zgodzi, będzie go przekonywał, że nie ma racji, lecz ten milczał przez chwilę, i czym powiedział cicho.

— Nie przejmuj się tym za bardzo, Don. Kierownik na pewno też jest podenerwowany. Czy wiesz, że dostał przydział

— Hę? Jaki przydział?

— Wiedziałeś, że jest oficerem rezerwy, nie? Zgłosił się i przydział i otrzymał go. Nabiera mocy z chwilą zakończenia roku szkolnego. Pani Reeves przejmie kierownictwo szkoły na czas trwania wojny.

Don, który już był dość podenerwowany, poczuł, że zakręciło mu się w głowie. Na czas trwania wojny? Jak można to powiedzieć coś takiego, kiedy nie było żadnej wojny?

— To fakt — ciągnął Jack. — Słyszałem na własne uszy — przerwał, po czym ciągnął. — Posłuchaj, stary. Jesteśmy kumplami, nie?

— Hę? Jasne, jasne!

— To powiedz mi jasno: czy naprawdę lecisz na Marsa, czy udajesz się na Wenus, by się zaciągnąć?

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— W takim razie to nieważne. Uwierz mi, że to by nic nie zmieniło między nami. Mój stary powiada, że kiedy nadchodzi chwila próby, ważne jest, by się zachować jak mężczyzna — spojrzał Donowi w twarz, po czym ciągnął. — Jak się do tego zabierzesz, to już twoja sprawa. Wiesz, że w przyszłym miesiącu będę miał urodziny?

— Hę? Faktycznie, zgadza się.

— Mam zamiar zgłosić się potem do szkoły pilotażu. Dlatego właśnie chciałem się dowiedzieć jakie są twoje plany.

— Och...

— Ale to nic nie zmieni... nie między nami. Zresztą lecisz na Marsa.

— Tak. Tak, to prawda.

— Świetnie! — Jack spojrzał na zegarek. — Muszę już lecieć... albo rzucać moje żarcie świniom. Na pewno nie pójdziesz?

— Na pewno.

— Do zobaczenia.

Wypadł z pokoju.

Don stał przez chwilę bez ruchu. Chciał sobie to wszystko ułożyć w głowie. Najwyraźniej starszy Jack traktował rzecz poważnie. Zrezygnować z Yale dla szkoły pilotażu. Ale on się mylił. Musiał się mylić.

Po chwili ruszył do corralu.

Leniuch przyszedł na jego wezwanie i zaczął przeszukiwać mu kieszenie w nadziei, że znajdzie tam cukier.

— Przykro mi, stary — powiedział Don smutnym tonem. — Nie mam nawet marchewki. Zapomniałem.

Stanął z twarzą przyciśniętą do końskiego policzka i podrapał zwierzę po uszach. Przemówił do niego cicho, wyjaśniając mu sprawę tak dokładnie, jak gdyby Leniuch mógł zrozumieć wszystkie te trudne słowa.

— Tak to już jest — zakończył. — Muszę wyjechać i nic pozwolą mi wziąć cię ze sobą — cofnął się myślami do dnia, w którym zaczęła się ich znajomość. Leniuch niedawno dopiero przestał być źrebakiem, lecz Don przestraszył się go. Wydał mu się wielkim, niebezpiecznym, być może drapieżnym zwierzęciem. Przed przybyciem na Ziemię nigdy nie widział konia. Leniuch był pierwszym, którego ujrzał z bliska.

Nagle ścisnęło go w gardle. Nie mógł już mówić. Objął końską szyję ramionami i zapłakał.

Leniuch parsknął cicho. Wiedział, że coś jest nie tak. Spróbował szturchnąć go nosem. Don podniósł głowę.

— Do widzenia, stary. Uważaj na siebie.

Odwrócił się nagle i pognął w stronę zabudowań.

„Mene, mene, tekel, ufarsin” — PROROCTWO DANIELA 5, 25

Szkolny helikopter wysadził go na lądowisku w Albuquerque. Musiał się pośpieszyć, by zdążyć na swą raketę, ponieważ kontrola lotów zażądała, by ominęli szerokim łukiem Ośrodek Produkcji Broni w Sandia. Podczas wazenia natrafił na kolejną nowość związaną z bezpieczeństwem.

— Czy jest w tym kamera, synu? — zapytał wagowy, gdy Don dał mu torby.

— Nie. Czemu pan pyta?

— Dlatego, że aparat rentgenowski naświetliłby ci film.

Najwyraźniej promienie rentgenowskie nie odnalazły wśród jego bielizny żadnej bomby. Przekazano torby dalej, a on sam wszedł na pokład uskrzydłonej rakiety *Szlak do Santa Fe*, która odbywała wahadłowe kursy pomiędzy Południowym Zachodem a Nowym Chicago. Znalazłszy się wewnątrz zapiął pasy, ułożył się na poduszkach i czekał.

W pierwszej chwili hałas startu przeszkadzał mu bardziej niż wzrastający ciężar, lecz efekt Dopplera zlikwidował huk, gdy tylko przekroczyli prędkość dźwięku, zaś przyśpieszenie stawało się coraz większe. Stracił przytomność.

Odzyskał ją, gdy statek przeszedł w lot swobodny, kreśląc wysoką parabolę ponad równinami. Natychmiast poczuł olbrzymią ulgę. Jego klatki piersiowej nie przygniatał już ciężar niemożliwy do wytrzymania, który przeciążał mu serce i zamieniał mięśnie w wodę. Zanim jednak zdążył się nacieszyć tym błogosławionym uczuciem, poczuł coś nowego. Żołądek próbował mu wypełznąć na zewnątrz przez gardło.

W pierwszej chwili poczuł lęk. Nie potrafił wytłumaczyć tego nieoczekiwanego i okropnie nieprzyjemnego wrażenia. Potem jednak naszło go nagle, szalone podejrzenie. Czy to możliwe? O, nie! Niemożliwe... nie choroba kosmiczna, nie u niego. Urodził się przecież w stanie nieważkości. Choroba kosmiczna była dla pełzających po gruncie ziemniaków!

Jednakże podejrzenie przerodziło się w pewność. Lata łatwego życia na powierzchni planety osłabiły jego odporność. Zawstydzony w głębi duszy, przyznał, że niewątpliwie zachowywał się jak ziemniak. Nie przyszło mu do głowy,

by przed startem poprosić o zastrzyk przeciw mdłościom, mimo że przeszedł tuż obok punktu oznaczonego wyraźnym czerwonym krzyżem.

Po chwili jego prywatne zawstydzenie nabrało charakteru publicznego. Ledwie zdążył dostać się do przygotowanego w tym celu plastikowego pojemnika. Po tym fakcie poczuł się lepiej, choć był osłabiony. Jednym uchem nasłuchiwał dobiegającego z głośnika nagranego głosu opisującego krainę, nad którą się unosili. Niedługo później, w pobliżu Kansas City, niebo przeszło z czerni z powrotem w fiolet, płaty skrzydeł rakiety poczuły znów powietrze, na którym mogły się oprzeć i pasażerowie odzyskali ciężar, gdy pojazd rozpoczął długie, głośnie zejście do lądowania w Nowym Chicago. Don złożył leżankę. Przybrała ona kształt fotela, na którym mógł usiąść.

W dwadzieścia minut później, gdy lądowisko wybiegło im na spotkanie, radar uruchomił silniki raketowe mieszczące się w dziobie i *Szlak do Santa Fe* wyhamował do lądowania. Cała podróż trwała krócej niż lot helikopterem ze szkoły do Albuquerque. Niecała godzina na pokonanie w kierunku wschodnim tej samej trasy, która jadącym na zachód wozom osadników zajmowała osiemdziesiąt dni — jeśli mieli szczęście. Miejskowa rakietka opadła na lądowisko tuż obok miasta, nie opodał ogromnego, wciąż lekko radioaktywnego obszaru, który był zarówno głównym kosmoportem planety, jak i miejscem, gdzie niegdyś znajdowało się Stare Chicago.

Don nie spieszył się. Pozwolił, by rodzina Indian Navajo wysiadła przed nim, po czym udał się w ślady squaw. Do statku podpełzł ruchomy chodnik. Don stanął na nim i pozwolił, by zawiózł go on do stacji. Gdy już znalazł się wewnątrz, poczuł się niepewnie na widok pełnego krzątający ogromu budynku rozciągającego się wiele pięter ponad i pod gruntem. Gary Station obsługiwała nie tylko *Szlak do Santa Fe*, *Trasę 66* i inne miejscowe rakiety kursujące na Południowy Zachód, lecz również tuzin innych linii miejscowych, a ponadto rakiety transoceaniczne, przewozy towarowe oraz statki kosmiczne kursujące pomiędzy Ziemią a stacją Circum-Terra, a stamtąd na Lunę, Wenus, Marsa i księżyc Jowisza. Był to rdzeń pacierzowy imperium ogarniającego sobą więcej niż jeden świat

Przyzwyczajony do rozległości i pustych przestrzeni Nowego Meksyku, a przedtem do jeszcze rozleglejszych pustkowi kosmosu, Don czuł się przytłoczony i podenerwowany hałaśliwą, ruchliwą masą. Miał wrażenie, że ludzie zachowujący się jak mrówki tracą swą godność, choć myśl ta nie skrytykowała się w słowa. Musiał jednak stawić temu czoła. Dostrzegł potrójne globy — symbole „Linii Międzyplanetarnych” i podążył za błyszczącymi strzałkami do biura rezerwacji.

Znudzony urzędnik zapewnił go, że w biurze nie ma żadnej informacji o jego rezerwacji na *Walkirię*. Don wyjaśnił mu cierpliwie, że rezerwacji dokonano z Marsa i pokazał radiogram od rodziców. Zmuszony do podjęcia akcji urzędnik

zgodził się wreszcie zatelefonować do Circum-Terra. Stacja orbitalna potwierdziła rezerwację. Urzędnik odłożył słuchawkę i zwrócił się w stronę Dona.

— Dobrze, może pan zapłacić za bilet tutaj.

Don był zrozpaczony.

— Myślałem, że już jest opłacony.

Miał ze sobą list kredytowy ojca, było to jednak za mało, by opłacić przelot na Marsa.

— Hę? Nic nie mówili, żeby był opłacony z góry.

Ponieważ Don nalegał, urzędnik po raz drugi zadzwonił na stację kosmiczną. Tak jest, bilet opłacono z góry, ponieważ wykupiono go na drugim końcu trasy. Czy urzędnik nie znał własnych taryf? Osaczony ze wszystkich stron wydał on niechętnie Donowi bilet na miejsce 64 na statek raketowy *Szlak Chwały* startujący z Ziemi do Circum-Terra o 9:03:57 jutrzejszego ranka.

— Czy ma pan zezwolenie?

— Hę? Jakie zezwolenie?

Urzędnik był zachwycony. Wydawało się, że znajdzie jednak pretekst, by nie wykonać swych obowiązków. Schował bilet.

— Nie słucha pan wiadomości? Proszę pokazać dowód tożsamości.

Don dał mu go niechętnie. Urzędnik włożył dokument do maszyny statystycznej, po czym zwrócił go Donowi.

— Teraz odciski kciuków.

Don odcisnął je, po czym zapytał.

— Czy to już wszystko? Mogę teraz dostać bilet?

— „Czy to wszystko?” Dobrze sobie! Proszę przyjść jutro godzinę przed startem. Będzie mógł pan wtedy dostać bilet, pod warunkiem, że IBI wyrazi zgodę.

Urzędnik odwrócił się plecami. Don postąpił tak samo. Czuł się zagubiony. Nie wiedział, co robić dalej. Powiedział kierownikowi Reevesowi, że spędzi noc w hotelu „Hilton Caravansary”, w którym to jego rodzina zatrzymała się przed laty, gdyż był to jedyny hotel, którego nazwę znał. Z drugiej strony jednak musiał spróbować odszukać doktora Jeffersona — „wujka Dudleya” — ponieważ jego matka poleciła mu to wyraźnie. Było jeszcze wczesne popołudnie. Postanowił zostawić bagaże w przechowalni i udać się na poszukiwania.

Pozbywszy się tobołów odnalazł pustą budkę łącznościową, odszukał numer kodowy doktora i wprowadził go do maszyny. Telefon odpowiedział mu z uprzejmym żalem, że doktora Jeffersona nie ma w domu i polecił mu zostawić wiadomość. Zaczął ją dyktować, gdy przerwał mu ciepły głos.

— Dla ciebie jestem w domu, Donald. Gdzie się podziewasz, chłopcze?

Ekran rozbłysnął i Don ujrzał znane sobie oblicze doktora Dudleya Jeffersona.

— Och! Jestem na stacji, doktorze. Gary Station. Dopiero co przyleciałem.

— Więc łap taksówkę i przyjeżdżaj tu natychmiast.

— Hmm, nie chciałbym sprawić panu kłopotu, doktorze. Zadzwoiłem, ponieważ matka kazała mi powiedzieć panu „do widzenia”.

Miał cichą nadzieję, że doktor Jefferson będzie zbyt zajęty, by znaleźć dla niego czas. Mimo że nie był wielbicielem miast, nie miał ochoty spędzić ostatniego wieczoru na Ziemi na wymianie uprzejmości z przyjacielem rodziny. Chciał się trochę pokręcić, by sprawdzić, jakie też rozrywki ma do zaoferowania ten współczesny Babilon. Jego list kredytowy wypalał mu dziurę w kieszeni. Chciał trochę zmniejszyć jego ciężar.

— Nie ma sprawy! Zobaczmy się za parę minut. Tymczasem wybiorę tłustego cielaka i zarżnę go. Swoją drogą, czy otrzymałeś paczkę ode mnie? — doktor spojrział na niego z uwagą.

— Paczkę? Nie.

Doktor Jefferson mruknął coś na temat poczty.

— Może jeszcze do mnie dotrze — dorzucił Don. — Czy to było coś ważnego?

— Hmm, mniejsza o to. Pomówimy o tym później. Zostawiłeś adres przesyłkowy?

— Tak jest. „Caravansary”.

— No więc, pogoń konie i przekonaj się, jak szybko zdołasz tu dotrzeć. Otwartego nieba!

— I bezpiecznego lądowania.

Obaj odłożyli słuchawki. Don wyszedł z budki i rozejrzał się za postojem taksówek. Wydawało się, że stacja jest bardziej zatłoczona niż kiedykolwiek. Widać było wiele mundurów, nie tylko pilotów i innych członków załóg statków, lecz również licznych formacji wojskowych, oraz wszechobecnej policji bezpieczeństwa. Don przepchnął się przez tłum, zszedł w dół po rampie, przejechał ruchomym chodnikiem wzdłuż tunelu i wreszcie znalazł to, czego szukał — kolejkę czekających na taksówki. Stał w niej.

Obok kolejki leżało rozciągnięte, wielkie, niezgrabne, jaszczurowodobne cielisko wenusjańskiego „smoka”. Gdy Don przesunął się tak, by znaleźć się obok niego, zagwizdał uprzejme pozdrowienie.

Smok obrócił jedną z rozedrganych szypulek ocznych w jego kierunku. Przypięta do „piersi” stworzenia, pomiędzy jego przednimi nogami, tuż poniżej jego chwytnych witek i w ich zasięgu znajdowała się mała skrzynka — generator głosu. Witki przebiegły, falując, po klawiszach i Wenusjanin odpowiedział mu mechanicznym głosem generatora, a nie gwizdami własnego języka.

— Pozdrawiam cię również, młody panie. To naprawdę przyjemność usłyszeć między obcymi dźwięki, które słyszało się w jajku.

Don zauważył z zachwytem, że niezemieć wydobywał ze swej maszyny głos mówiący wyraźnym cockneyem.

Zagwizdał wyrazy podziękowania i wyraził nadzieję, że śmierć smoka będzie przyjemna.

Wenusjanin podziękował mu ponownie za pomocą generatora, ! dodał.

— Choć twój akcent jest pełen uroku, czy nie zechciałbyś, w charakterze przy-sługi dla mnie, używać własnego języka, bym mógł się w nim wprawiać?

Don podejrzewał, iż jego modulacja była tak okropna, że zrozumienie go przy-chodziło Wenusjaninowi z najwyższą trudnością, przeszedł więc natychmiast na ludzkie słowa.

— Nazywam się Don Harvey — odparł i gwizdnął raz jeszcze, po to tylko, by podać swe wenusjańskie imię „Mgła nad Wodami”. Wybrała je dla niego matka i nie widział w nim nic śmiesznego.

Smok również nie. Zagwizdał po raz pierwszy, podając własne imię i dodał za pośrednictwem generatora.

— Nazywam się „sir Isaac Newton”.

Don zrozumiał, że nadając sobie takie imię Wenusjanin postąpił zgodnie z po-wszechnym zwyczajem smoków, które „pożyczały” sobie dla codziennego użytku nazwisko jakiegoś Ziemianina, którego podziwiała.

Don pragnął zapytać „sir Isaaca Newtona”, czy przypadkiem nie znał rodziny matki, lecz ogonek posuwał się naprzód, a smok leżał bez ruchu, był więc zmu-szony oddalić się od niego, by nie wypaść z kolejki. Wenusjanin podążył za nim jednym z rozedrganych oczu i stwierdził, gwizdząc, iż ma nadzieję, że śmierć Dona również będzie przyjemna.

Nastąpiła przerwa w napływie automatycznych taksówek na postój. Nadjecha-ła ciężarówka z kierownicą-człowiekiem, która opuściła rampę. Smok dźwignął się na swych sześć krzepkich nóg i wgramolił się na nią. Don zagwizdał pożegna-nie i zdał sobie nagle sprawę z nieprzyjemnego faktu, że funkcjonariusz policji bezpieczeństwa skupił na nim całą swą uwagę. Z radością wcisnął się do taksów-ki i zamknął za sobą pokrywę.

Wykręcił adres i usiadł. Mały pojazd pognał naprzód, wspiął się po rampie, precyzyjnie przeszedł przez tunel towarowy i wjechał na windę. Z początku Don usiłował śledzić, dokąd go zabiera, lecz umęczone skręty mrowiska zwanego „Nowym Chicago” przyprawiłyby topologa o niestrawność. Dał sobie z tym spokój. Sa-mochód-robot najwyraźniej wiedział, dokąd jedzie, niewątpliwie zaś wiedziała to maszyna kierująca, od której otrzymywał on sygnały. Don spędził resztę podróży zamartwiając się faktem, że nie otrzymał jeszcze biletu, niepożądaną uwagą, któ-rą obdarzył go policjant, a wreszcie paczką od doktora Jeffersona. To ostatnie nie zaniepokoiło go zbytnio. Był po prostu zły, że przesyłka pocztowa zaginęła. Miał nadzieję, że pan Reeves zrozumie, iż każda przesyłka nie wysłana do niego dziś po południu, będzie musiała podążyć za nim aż na Marsa.

Potem pomyślał o „sir Isaacu”. Miło było spotkać kogoś z ojczystych stron.

* * *

Okazało się, że mieszkanie doktora Jeffersona znajduje się głęboko pod ziemią, w drogiej dzielnicy. Don o mały włos nie zdołałby do niego dotrzeć. Taksówka zatrzymała się przed wejściem do mieszkania, lecz gdy spróbował wysiąść, drzwi nie chciały się otworzyć. Przypomniało mu to, że musi najpierw zapłacić sumę wskazaną przez taksometr, po czym zdał sobie sprawę, że, jak najgorsza ofiara, wsiadł do automatycznej taksówki nie mając monet do wrzucenia do taksometru. Był pewien, że mały samochodzik, choć inteligentny, nie raczy nawet spojrzeć na jego list kredytowy. Spodziewał się już, niepokieszony, że maszyna zawiezie go na najbliższy posterunek policji, gdy uratowało go pojawienie się doktora Jeffersona.

Dał mu on monety na opłacenie kursu i zaprosił do wnętrza mieszkania.

— Nie przejmuj się tym, chłopcze. Mnie to się zdarza mniej więcej raz na tydzień. Miejscowy recepcjonista ma zawsze w szufladzie pełno monet, by wykupić mnie od naszych mechanicznych władców. Spłacam go raz na kwartał, z napiwkiem. Usiądź. Sherry?

— Hmm, nie, dziękuję panu.

— W takim razie kawa. Śmietanka i cukier są pod ręką. Jakie masz wieści od rodziców?

— No więc, to co zawsze. Oboje zdrowi, pracują ciężko i tak dalej — mówiąc Don rozejrzał się wokół siebie. Pokój był wielki, urządzone komfortowo, a nawet luksusowo, choć książki porzucane w wielkich ilościach na półkach, stołach, a nawet krzesłach przesłaniały jego prawdziwe bogactwo. W jednym z narożników płonęło coś, co wyglądało na prawdziwy ogień. Przez otwarte drzwi dostrzegł kilka następnych pokoi. Oceniał w myśli koszt podobnego mieszkania w Nowym Chicago i otrzymał sumę wysoką, choć jaskrawo zaniżoną.

Przed nim znajdowało się okno, za którym powinien rozciągać się widok na wnętrze miasta. Widać tam jednak było jodły rosnące nad górskim potokiem. W chwili, gdy Don patrzył, nad powierzchnię wyskoczył pstrąg.

— Jestem pewien, że pracują ciężko — odparł jego gospodarz. — U nich tak zawsze. Twój ojciec usiłuje rozwikłać w ciągu jednego krótkiego życia tajemnice, które gromadziły się przez miliony lat. To niemożliwe, ale on się stara. Synu, czy zdajesz sobie sprawę, że gdy twój ojciec rozpoczął karierę, nawet się nam nie śniło, że istniało kiedyś pierwsze imperium układowe? Jeśli to było pierwsze — dodał w zamyśleniu. — Teraz odszukaliśmy już ruiny na dnach dwóch oceanów i powiązaliśmy je ze znaleziskami z czterech innych planet. Rzecz jasna nie wszystko — a nawet nie większość — z tego, to dzieło twego ojca, ale jego prace były niezbędne. On jest wielkim człowiekiem, Donald, podobnie jak twoja matka. Kiedy mówię o jednym z nich, mam na myśli oboje. Poczęstuj się kanapkami.

— Dziękuję — odparł Don i zrobił, jak mu doktor radził, unikając w ten sposób bezpośredniej odpowiedzi. Było mu przyjemnie słyszeć, jak chwałą rodziców, nie wypadało jednak zgodzić się z tym zbyt entuzjastycznie.

Doktor jednak potrafił prowadzić konwersację bez niczyjej pomocy.

— Rzecz jasna możemy nigdy nie poznać wszystkich odpowiedzi. W jaki sposób najszlachetniejsza planeta ze wszystkich, ojczyzna imperium, uległa rozbiciu na kosmiczne odpadki? Twój ojciec spędził cztery lata w pasie planetoid — byłeś tam z nim, prawda? — i nie znalazł zadowalającej odpowiedzi na to pytanie. Czy była to podwójna planeta, jak układ Ziemia-Luna, i rozerwały ją siły pływowe, czy też ją rozsadzono?

— Rozsadzono? — sprzeciwił się Don. — Ale to teoretycznie niemożliwe, prawda?

Doktor Jefferson zlekceważył ten problem.

— Wszystko jest teoretycznie niemożliwe, zanim się tego nie dokona. Można by napisać historię nauki do góry nogami zbierając najpoważniejsze oświadczenia najwyższych autorytetów na temat tego, czego nie można dokonać i co się nigdy nie zdarzy. Uczyłeś się kiedyś filozofii matematycznej, Don? Czy jesteś zaznajomiony z nieskończonymi wiązkami wszechświatów i otwartymi systemami aksjomatów?

— Hmm, obawiam się, że nie, proszę pana.

— To prosta idea i bardzo atrakcyjna. Chodzi o to, że wszystko jest możliwe — dokładnie wszystko — i wszystko się wydarzyło. Wszystko. Jeden wszechświat, w którym wypiliśmy to wino i zalałeś się w trupa. Drugi, w którym piąta planeta nigdy się nie rozpadła. Jeszcze inny, w którym energia oraz broń atomowa są tak nieosiągalne, jak to sądzili nasi przodkowie. Ten ostatni mógłby mieć swoje zalety, przynajmniej dla tchórzy. Takich jak ja — wstał z krzesła. — Nie jedz zbyt dużo kanapek. Mam zamiar zabrać cię do restauracji, gdzie między innymi będzie jedzenie... i to takie, jakie Zeus obiecał bogom — i nie dotrzymał obietnicy.

— Nie chcę zabierać panu zbyt wiele czasu — Don wciąż miał nadzieję, że zdoła wybrać się do miasta sam. Nawiedziła go przerażająca wizja kolacji w jakimś nudnym klubie dla bogaczy, po której nastąpi wieczór pełen nadętego przytwarzania. A to był jego ostatni wieczór na Ziemi.

— Czasu? Czym jest czas? Każda godzina przed nami jest czymś równie nowym jak ta, którą właściwie przeżyliśmy. Czy zameldowałeś się w „Caravansary”?

— Nie. Zostawiłem tylko bagaże w przechowalni

— Świetnie. Zostaniesz tu na noc. Po twoje bagaże wyślemy później — doktor Jefferson zmienił lekko ton. — Ale pocztę mieli ci przesyłać do hotelu?

— Zgadza się.

Ku zaskoczeniu Dona doktor Jefferson wyraźnie wyglądał na zaniepokojonego.

— No dobrze, sprawdzimy to później. Czy tę paczkę, którą do ciebie wysłałem, prześlą natychmiast?

— Naprawdę nie wiem, proszę pana. Normalnie poczta dochodzi dwa razy dziennie. Gdyby paczka nadeszła po moim wyjeździe, zaczekałaby do rana. Jeśli jednak kierownikowi przyjdzie to do głowy, może ją wysłać do miasta ekspresem, żebyśmy mógł ją dostać zanim statek wystartuje jutro rano.

— Chcesz powiedzieć, że do szkoły nie dochodzi przewód?

— Nie. Kucharz przynosi poranną pocztę, gdy idzie po zakupy, a popołudniową zrzuca autobus-helikopter do Roswell.

— Wyspa na pustyni! cóż... sprawdzimy około północy. Jeśli do tej pory nie nadejdzie, to... no, nieważne.

Niemniej doktor wydawał się zaniepokojony i podczas jazdy na kolację niemal się nie odzywał.

Restauracja nosiła wprowadzającą w błąd nazwę „Ustronie”. Jej położenia nie wskazywał żaden szyld. Były to po prostu jedne z wielu drzwi w bocznym tunelu. Mimo to wielu ludzi najwyraźniej wiedziało, gdzie się ona znajduje i gorąco pragnęło dostać się do środka. Powstrzymywał ich jednak dostojnik o surowej twarzy strzegący welwetowego sznura. Ów ambasador rozpoznał doktora Jeffersona i wysłał po *maitre d'hôtel*. Doktor wykonał gest znany głównie kelnerom w całej historii. Sznur opuszczono i poprowadzono ich jak królów do stołu stojącego z boku estrady. Don wybałuszył oczy ujrzawszy wysokość łapówki. Dzięki temu jego twarz miała już odpowiedni wyraz w chwili, gdy nadeszła kelnerka.

Jego reakcja na jej widok była nieskomplikowana. Był to, jak mu się zdawało, najpiękniejszy obraz, jaki widział w życiu zarówno jeśli chodzi o osobę, jak i strój. Doktor Jefferson dostrzegł jego minę i zachichotał.

— Nie szafuj zbyt entuzjazmem, synu. Te, za których obejrzenie zapłaciliśmy, będą tam — wskazał ręką na estradę. — Najpierw koktajl?

Don odparł, że dziękuje, ale nie sądzi.

— Jak sobie chcesz. Jesteś już duży i jeśli użyjesz trochę życia, nie wyrządzi ci to trwałej szkody. Sądzę jednak, że pozwolisz, bym zamówił dla nas kolację?

Don wyraził zgodę. Podczas gdy doktor Jefferson naradzał się z pojmaną księżniczką na temat menu, Don rozejrzał się wokół siebie. Sala wyglądała tak, jak gdyby znajdowali się na wolnym powietrzu późnym wieczorem. Nad nimi zaczęły pojawiać się gwiazdy. Otaczał ją wysoki ceglany mur zasłaniający nieistniejącą okolicę i stanowiący połączenie między estradą a fałszywym niebem. Ponad nim wznosiły się jabłonie kołyszące się na wietrze. Za stołami, po drugiej stronie sali, stała staroświecka studnia z żurawiem. Don ujrzał, że następna „pojmana księżniczka” podeszła do niej i za pomocą żurawia wyjęła z niej srebrne wiadro zawierające opakowaną butelkę.

Po przeciwnej stronie estrady usunięto jeden ze stołów, by zrobić miejsce dla wielkiej, przezroczystej plastikowej kapsuły na kołach. Don nigdy czegoś takiego

nie widział, rozpoznał to jednak. Był to „wózek” Marsjanina, ruchome urządzenie klimatyzacyjne zapewniające rzadkie, chłodne powietrze niezbędne dla rodowitego mieszkańca tej planety. Jego lokator był słabo widoczny — delikatne ciało wsparte na wyposażonym w stawy metalowym szkielecie serwomechanizmu, który miał mu pomagać w uporaniu się z pokaźną grawitacją trzeciej planety. Jego pseudoskrzydła zwisały smutno. Nie poruszał się. Donowi było go żal.

Jako młody chłopiec spotykał Marsjan na Lunie, lecz jej wątłe pole grawitacyjne było słabsze nawet od marsjańskiego, nie zamieniało ich więc w kaleki sparaliżowane przyciąganiem zbyt bolesnym dla ich organizmów. Pobyt na Ziemi był dla Marsjanina trudny i niebezpieczny. Don zastanawiał się, co też skłoniło go do podjęcia ryzyka. Może misja dyplomatyczna?

Doktor Jefferson odesłał kelnerkę, podniósł wzrok i dostrzegł, że Don gapi się na Marsjanina.

— Zastanawiałem się tylko, po co tu przyszedł — powiedział chłopiec. — Przecież nie na kolację.

— Pewnie chce poobserwować żerowanie zwierząt. Moje motywy są, po części, takie same, Don. Rozejrzyj się dobrze wokół siebie. Już nigdy czegoś takiego nie zobaczysz.

— No jasne. Nie na Marsie.

— Nie o to mi chodzi. Sodoma i Gomora, chłopcze. Przegniła na wskroś i staczająca się ku przepaści, „...ci nasi aktorzy, jak przepowiedziałem... rozwiali się w powietrzu...” i tak dalej. Może nawet „sam wielki glob”. Mówię za dużo. Ciesz się tym. To nie potrwa długo.

Don zrobił zdziwioną minę.

— Doktorze Jefferson, czy podoba się panu takie życie?

— Mnie? Jestem równie dekadentki jak miasto, po którym się kręcę. To mój żywioł. Nie znaczy to jednak, że nie wiem, co jest grane.

Orkiestra, której cichy ton dobiegał nie wiadomo dokładnie skąd, przestała nagle grać i system nagłaśniający oznajmił.

— Komunikat z ostatniej chwili.

W tej samej chwili ciemniejące niebo nad nimi stało się czarne i zaczęły się po nim przemieszczać świecące litery. Głos dobiegający z głośników odczytywał słowa biegnące przez sufit:

BERMUDY. KOMUNIKAT OFICJALNY. DEPARTAMENT SPRAW KOLONIALNYCH OGŁOSIŁ PRZED CHWILĄ, ŻE TYMCZASOWY KOMITET KOLONII WENUSJANKICH ODRZUCIŁ NASZĄ NOTE. ZE ŹRÓDEŁ ZBLIŻONYCH DO PRZEWODNICZĄCEGO FEDERACJI WIADOMO, ŻE SPODZIEWANO SIĘ PODOBNEGO OBROTU SYTUACJI I NIE MA POWODÓW DO NIEPOKOJU.

Światła się zapaliły. Ponownie zabrzmiała muzyka. Doktor Jefferson rozciągnął wargi w pozbawionym wesołości uśmiechu.

— Jakże to odpowiednie! — skomentował. — Jak bardzo na czasie! Napis ręką na ścianie.

Don zaczął wypowiadać jakąś uwagę, lecz przerwał mu początek przedstawienia. Podczas gdy wyświetlano komunikat, scena przed nimi obniżyła się niezauważenie. Z utworzonej w ten sposób czeluści wydobył się unoszący się w powietrzu obłok rozświetlony od środka blaskiem fioletowym, różowym i koloru płomienia. Obłok rozwiązał się i Don dostrzegł, że scena wróciła na miejsce, wypełniona tancerzami. W jej tle wznosiła się góra.

Doktor Jefferson miał rację. Dziewczeta, na które warto było się gapić, były na scenie, a nie usługiwały przy stołach. Don był tym tak zaprzątnięty, że nie dostrzegł, iż postawiono przed nim jedzenie. Doktor trącił go w łokieć.

— Zjedz coś, zanim zemdlejesz.

— Co? Och, tak jest!

Zabrał się z apetytem do jedzenia, nie spuszczał jednak oczu z artystek. Był wśród nich jeden mężczyzna, który grał Tannhäusera, ale Don nie wiedział co to za postać, ani nic obchodziło go to. Zauważał go jedynie wtedy, gdy przesłaniał mu widok. Podobnie też skończył dwie trzecie tego, co postawiono przed nim, nie zauważając, co je.

— No i jak? — zapytał doktor Jefferson.

Don dopiero po chwili połapał się, że doktor ma na myśli danie, a nie tancerki.

— Pyszne! — odparł. Przyjrzał się talerzowi. — Ale co to takiego?

— Nie poznałeś? Pieczony młody towarzyszek.

Minęło parę sekund zanim do Dona dotarło, co to jest „towarzyszek”. Jako małe dziecko widywał setki małych, przypominających satyry dwunogów — *faunas gregarius veneris Smythii* — nie skojarzył jednak z początku powszechnie używanej nazwy handlowej z przyjacielskimi, głupiutkimi stworzeniami, które on i jego koledzy, podobnie jak wszyscy wenusjańscy koloniści, zawsze nazywali „wynochami” ze względu na ich stały zwyczaj skupiania się wokół człowieka, potracania go, ocierania się o niego, siadania u jego stóp oraz wyrażania w inny sposób swego nienasyconego apetytu na fizyczne czułości.

Zjeść młodego wynocha? Poczul się jak kanibal. Po raz drugi w ciągu jednego dnia zaczął reagować jak ziemniak w przestrzeni kosmicznej. Przełknął ślinę i zapanował nad sobą, nie mógł już jednak zjeść ani kawałeczka.

Spojrzał z powrotem na scenę. Venusberg zniknął. Zastąpił go człowiek o zmęczonym spojrzeniu, który opowiadał szybką serię dowcipów żonglując jednocześnie płonącymi pochodniami. Dona to nie bawiło. Pozwolił, by jego wzrok wędrował po sali. W odległości trzech stolików pewien mężczyzna spojrzał mu w oczy, po czym jak gdyby nigdy nic odwrócił wzrok. Don zastanawiał się przez chwilę, po czym przyjrzał mu się uważnie i doszedł do wniosku, że go poznał.

— Doktorze Jefferson?

— Słucham, Don?

— Czy zna pan może wenusjańskiego smoka, który używa imienia „sir Isaac Newton”? — Don dodał gwizdaną wersję prawdziwego imienia Wenusjanina.

— Nie rób tego! — ostrzegł go starszy mężczyzna ostrym głosem.

— Czego?

— Nie ujawniaj bez potrzeby skąd pochodzisz. Nie teraz. Dlaczego pytasz o tego, hmm, „sir Isaaca Newtona”? — mówił cicho, niemal wcale nie poruszając wargami.

Donald opowiedział mu o przypadkowym spotkaniu na Gary Station.

— Kiedy to się skończyło, byłem w stu procentach pewien, że obserwuje mnie gliniarz z bezpieki. A teraz ten sam facet siedzi tam przy stoliku, tylko że nie jest w mundurze.

— Jesteś pewien?

— Myślę, że tak.

— Hmm... mogłeś się pomylić. Albo może po prostu przyszedł tu po pracy, choć przy pensji funkcjonariusza policji bezpieczeństwa to raczej wątpliwe. Posłuchaj. Nie zwracaj więcej na niego uwagi i nic o nim nie mów. Nie wspominaj też o tym smoku, ani o niczym, co ma związek z Wenus. Sprawiaj wrażenie, że dobrze się bawisz. Uważaj jednak na wszystko, co powiem.

Don próbował wykonać tę instrukcję, trudno mu jednak było skupić myśli na rozrywce. Nawet gdy ponownie pojawiły się tancerki, miał ochotę odwrócić wzrok i wbić go w człowieka, który zepsuł mu zabawę. Zabrano talerz z pieczonym towarzyszkim i doktor Jefferson zamówił dla niego coś, co zwało się „Góra Etna”. Faktycznie wyglądało to jak wulkan. Z wierzchołka unosił się nawet pióropusz pary. Zagłębił w to łyżeczkę i poczuł jak ogień i lód zaatakowały jego podniebienie sprzecznymi doznaniem. Zastanowił się, jak ktoś mógłby zjeść coś takiego, lecz z uprzejmości spróbował następny kąsek. Po chwili stwierdził, że zjadł cały deser i żałował, że nie było tego więcej.

Podczas przerwy w występach Don spróbował zapytać doktora Jeffersona, co naprawdę sądzi o panice wojennej, lecz ten w stanowczy sposób zmienił temat, mówiąc o pracy jego rodziców, po czym przeszedł do spraw przeszłości i przyszłości układu.

— Nie przejmuj się chwilą obecną, synu. To tylko przejściowe kłopoty, nieuchronne na drodze do konsolidacji układu. Za pięćset lat historycy nie będą prawie poświęcać im uwagi. Nastanie wtedy Drugie Imperium — sześć planet.

— Sześć? Nie myśli pan poważnie, że uda się coś zrobić z Jowiszem i Saturnem? Aha, chodzi panu o księżycy Jowisza.

— Nie. Mówiłem o sześciu prawdziwych planetach. Przesuniemy Plutona i Neptuna bliżej słońca, a Merkurego odciągniemy, żeby się schłodził.

Pomysł przemieszczenia planet zdumiał Dona. Wydało mu się to absolutnie niemożliwe, nie powiedział jednak tego na głos, gdyż doktor Jefferson był człowiekiem, który twierdził, że możliwe jest dosłownie wszystko.

— Gatunkowi potrzeba mnóstwo przestrzeni — ciągnął doktor. — Ostatecznie na Marsie i Wenus są rodzime inteligentne gatunki. Nie możemy wcisnąć tam o wiele więcej ludzi nie posuwając się do eksterminacji, a nie jest takie pewne, kto dokonałby eksterminacji kogo, nawet w przypadku Marsjan. Jednakże rekonstrukcja układu to czysta inżynieria — drobiazg w porównaniu z innymi rzeczami, których dokonamy. Za pół tysiąclecia poza układem będzie mieszkało więcej ludzi niż w jego obrębie. Będzie nas pełno wokół każdej gwiazdy typu G w okolicy. Czy wiesz, co bym zrobił, gdybym był w twoim wieku, Don? Zaciągnąłbym się na *Zwiadowcę*.

Don skinął głową.

— Chciałbym to zrobić.

Zwiadowca, statek międzygwiazdny przeznaczony do podróży w jedną stronę, budowano na Lunie i w jej pobliżu już od czasów poprzedzających jego urodzenie. Wkrótce miał odlecieć. Wszyscy lub niemal wszyscy z pokolenia Dona przynajmniej marzyli o tym, że polecą na nim.

— Rzecz jasna — dodał doktor — potrzebna by ci była żona — wskazał palcem na scenę, która znowu zaczęła się wypełniać. — Na przykład ta blondynka. To dziewczątka wygląda obiecująco. Nie ma wątpliwości, że jest zdrowa.

Don uśmiechnął się, czując się jak człowiek bywały.

— Nie wiem, czy pociągałaby ją pionierka. Jest chyba szczęśliwa tu, gdzie jest.

— Nie wiesz tego, dopóki jej nie zapytasz. Proszę — doktor Jefferson wezwał *maitre d'hôtel*. Pieniądze przeszły z ręki do ręki. Po chwili blondynka podeszła do ich stolika, nie usiadła jednak, lecz swym głosem jak dzwon wyśpiewała z pomocą orkiestry Donowi prosto do ucha życzenie, które zawstydziłoby go nawet wyrażone sam na sam. Nie czuł się już bywalcem. Zrobiło mu się ciepło na twarzy. Podjął stanowcze postanowienie, że nie zabierze tej kobiety do gwiazd. Niemniej sprawiło mu to przyjemność.

Artyści opuszczali już scenę, gdy światła błysnęły po raz wtóry i system nagłaśniający ryknął.

— Alarm! Nalot kosmiczny! Alarm! Nalot kosmiczny!

Wszystkie światła pogasły.

Ścigani

Przez nieskończenie długą chwilę panowała absolutna ciemność i cisza nie maćona nawet przytłumionym furkotem wentylatorów. Nagle na środku sceny pojawiło się maleńkie światełko padające na rysy twarzy występującego właśnie komika, który celowo śmiesznym, nosowym głosem oznajmił.

— Następnym dźwiękiem, który usłyszycie będzie... trąba zwiastująca sąd ostateczny! — zachichotał, po czym ciągnął dziarskim tonem. — Siedzicie państwo spokojnie i trzymajcie się za portfele. Niektórzy z personelu to krewni członków zarządu. To tylko ćwiczenia, a poza tym mamy nad głowami sto stóp betonu — i znacznie grubszą hipotekę. Teraz, by wprowadzić was w nastrój kolejnego występu — to znaczy mojego — następna kolejka drinków na koszt firmy — pochylił się do przodu i zawołał. — Gertie! Wyciągnij to wszystko, czego nie zdołaliśmy się pozbyć w Sylwestra!

Don poczuł, że napięcie w sali opadło. On również się odprężył. Był więc podwójnie zdziwiony, gdy na jego nadgarstku zacisnęła się dłoń.

— Cicho! — szepnął mu do ucha doktor Jefferson.

Don pozwolił, by doktor wyprowadził go poprzez ciemność. Najwyraźniej znał on lub zapamiętał rozkład. Wydostali się z pomieszczenia, nie wpadając na stoły i jedynie raz ocierając się o kogoś lekko w ciemności. Wydawało się, że przechodzą przez długi korytarz, ciemny jak smoła. Następnie minęli narożnik i zatrzymali się.

— Nie może pan wyjść — Don usłyszał czyjś głos. Doktor Jefferson odpowiedział, zbyt cicho, by można było zrozumieć słowa. Coś zaszeleściło, po czym ponownie ruszyli naprzód. Wyszli przez drzwi i skierowali się w lewą stronę.

Posuwali się wzdłuż tego korytarza — Don był pewien, że był to tunel-publiczny tuż obok restauracji, choć wydawało mu się, że w ciemnościach skręcili o dziewięćdziesiąt stopni. Doktor Jefferson wciąż ciągnął go za nadgarstek, nie mówiąc nic. Skręcili po raz drugi i zeszli w dół po schodach.

Byli tam też inni ludzie, choć niewielu. W pewnej chwili ktoś złapał Dona w ciemności. Ten uderzył pięścią na oślep, trafił nią w coś miękkiego i usłyszał stłumiony jęk. Doktor pociągnął go tylko szybciej.

Wreszcie Jefferson zatrzymał się. Wydawało się, że próbuje wyczuć drogę w mroku. Nagle rozległ się kobiecy pisk i doktor cofnął się pospiesznie. Postąpił kilka stóp naprzód i zatrzymał się ponownie.

— Tutaj — oznajmił wreszcie. — Właż.

Pociągnął Dona do przodu i oparł na czymś jego dłoń. Chłopiec pomacał wokół siebie rękami i doszedł do wniosku, że jest to zaparkowana taksówka, otwarta od góry. Wdrapał się do niej. Doktor Jefferson usiadł za nim i zamknął pokrywę.

— Teraz możemy porozmawiać — stwierdził spokojnym tonem. — Ktoś już zajął nam pierwszą. I tak zresztą nie możemy nigdzie pojechać dopóki nie włączą prądu.

Don zdał sobie nagle sprawę, że drży z podniecenia. Gdy zapanował nad sobą na tyle, by być w stanie przemówić, zapytał.

— Doktorze... czy to naprawdę nalot?

— Wątpię w to mocno — odparł tamten. — To niemal na pewno ćwiczenia. Mam nadzieję. To jednak dało nam szansę, na którą czekałem, by wyjść nieopstrzeżenie.

Don zastanowił się nad tym. Jefferson ciągnął.

— Co cię gryzie? Rachunek? Prześlą go.

Donowi nie przyszło do głowy, że wychodzą nic zapłaciwszy rachunku. Powiedział to.

— Chodzi panu o tego policjanta z bezpieki, którego, jak mi się zdawało, rozpoznałem? — dodał.

— Niestety.

— Ale... musiałem się chyba pomylić. Fakt, wyglądało na to, że to ten sam facet, ale nie rozumiem w jaki sposób mógłby mnie śledzić aż do tego miejsca, nawet gdyby wskoczył do następnej taksówki. Przypominam sobie wyraźnie, że przynajmniej w jednym momencie moja taksówka była jedyną na windzie. To niemożliwe. Jeśli nawet gliniarz był ten sam, to był to przypadek. Nie śledził mnie.

— Może chodziło mu o mnie.

— Hę?

— Nieważne. Co do tego, czy mógł cię śledzić, Don, czy wiesz, na jakiej zasadzie działają te taksówki?

— No... w ogólnym zarysie.

— Jeśli ten gliniarz chciał cię śledzić, nie musiał wskakiwać do następnej taksówki. Wystarczy, że przekazał numer twojej. Natychmiast odnaleziono ją na tablicy kontrolnej. Mogli odczytać adres, pod który się udawałeś, prosto z maszyny, chyba że dotarłbyś do miejsca przeznaczenia zanim zdołaliby tego dokonać. Jednocześnie inny funkcjonariusz bezpieki mógł czekać na twoje przybycie. Dalej to już proste. Gdy zadzwoniłem po taksówkę, mój obwód był już na podsłuchu. Później mogli śledzić taksówkę, która odpowiedziała na mój sygnał. W rezultacie

pierwszy z glin siedział już za stolikiem w „Ustroniu” zanim tam dotarliśmy. To był ich jedyny błąd. Użyli człowieka, którego już widziałeś. Możemy im to jednak wybaczyć. Są teraz bardzo przeciążeni!

— Ale dlaczego mieliby mnie śledzić? Nawet jeśli, hmm, wątpię w moją lojalność. Nie jestem aż tak ważny.

Doktor Jefferson zawahał się, po czym powiedział.

— Don, nie wiem jak długo będziemy mogli rozmawiać. W tej chwili możemy mówić swobodnie, ponieważ awaria mocy ogranicza ich możliwości w takim samym stopniu jak nasze. Gdy jednak z powrotem włączą prąd, nie będziemy już mogli rozmawiać, a ja mam sporo do powiedzenia. Gdy to się stanie, nie będziemy mogli mówić nawet tutaj.

— Dlaczego?

— Ukrywają to przed opinią publiczną, ale w każdą z tych taksówek jest wbudowany mikrofon. Zakres częstotliwości, na której one operują, może przenosić modulację głosu nie wpływając na działanie samego pojazdu. Gdy więc włączą prąd, nie będziemy już bezpieczni. Tak, wiem, że to haniebna sytuacja. Nie odważyłem się nic mówić w restauracji, nawet gdy grała orkiestra. Mogli skierować na nas mikrofon kierunkowy. Teraz posłuchaj uważnie. Musimy odnaleźć tę paczkę, którą wysłałem do ciebie. Musimy. Chcę, żebyś ją przekazał ojcu... czy raczej to, co w niej jest. Punkt drugi: musisz zdążyć na tę raketę jutro rano, choćby niebiosy miały runąć na ziemię. Punkt trzeci: nie możesz jednak zostać u mnie na noc. Przykro mi, ale myślę, że tak będzie lepiej. Punkt czwarty: kiedy włączą prąd, pojeździmy przez jakiś czas nie mówiąc o niczym ważnym i nie wymieniając żadnych nazwisk. Po chwili zaaranżuję to tak, że znajdziemy się w pobliżu publicznej budki i będziesz mógł zadzwonić do „Caravansary”. Jeśli paczka tam będzie, pożegnasz się ze mną, wrócisz na stację, zabierzesz bagaże i potem udasz się do hotelu, zameldujesz się i odbierzesz pocztę. Jutro rano wsiądziesz na statek i odlecisz. Nie dzwoń do mnie. Zrozumiałeś wszystko?

— Hmm, myślę że tak, proszę pana — Don odczekał chwilę, po czym wygarnął. — Ale co to znaczy? Może nie powinienem o to pytać, ale wydaje mi się, że powinienem wiedzieć, dlaczego to robimy.

— Czego chcesz się dowiedzieć?

— No więc... co jest w tej paczce?

— Zobaczysz. Możesz ją otworzyć, zbadać zawartość i sam podjąć decyzję. Jeśli postanowisz jej nie przekazać, to masz do tego prawo. Co zaś do reszty... jakie są twoje przekonania polityczne, Don?

— No więc... trudno powiedzieć, proszę pana.

— Hmm.. w twoim wieku również nie miałem zbyt zdecydowanych. Powiedzmy to w ten sposób: czy zechcesz na razie zaufać swoim rodzicom? Zanim wyrobisz sobie własne przekonania?

— No jasne!

— Czy nie wydało ci się trochę dziwne, że matka nalegała, byś mnie odszukał? Nie bądź nieśmiały. Wiem, że młody człowiek, który przyjeżdża do wielkiego miasta, nie szuka celowo kontaktu z facetem, którego ledwo zna. No więc... musiała uważać, że to ważne, byś się ze mną spotkał, tak?

— Myślę, że tak.

— Czy na razie ci to wystarczy? Czego nie wiesz, tego nie możesz powiedzieć — i nie wpakuje cię to w kłopoty.

Don zastanowił się nad tym. Słowa doktora wydały mu się sensowne, bardzo mu jednak nie odpowiadało, że miał zrobić coś tajemniczego, nie wiedząc po co i dlaczego. Z drugiej strony, gdyby po prostu otrzymał paczkę, niewątpliwie przekazałby ją ojcu nie myśląc o tym wiele.

Miał właśnie zadać następne pytania, gdy światła rozbłyły i mały samochód zaczął mrużyć.

— Jedziemy! — powiedział doktor Jefferson. Nachylił się nad tablicą rozdzielczą i pośpiesznie wykręcił adres. Taksówka ruszyła naprzód. Don zaczął coś mówić, lecz doktor pokręcił głową.

Pojazd przedostał się przez kilka tuneli, zjechał w dół po rampie i zatrzymał na wielkim podziemnym placu. Doktor Jefferson zapłacił i poprowadził Dona przez plac do windy pasażerskiej. Panował tam tłok. Można było wyczuć podniecenie tłumu wywołane ostrzeżeniem przed nalotem kosmicznym. Musieli przepychać się przez tłum zgromadzony wokół publicznego ekranu telewizyjnego znajdującego się na środku placu. Don poczuł radość, gdy dotarli do windy, choć ona również była zatłoczona.

Celem, ku któremu kierował się doktor Jefferson, był następny postój mieszczący się na placu kilka pięter wyżej. Wsiadł w taksówkę i ruszyli przed siebie. Jechali nią przez kilka minut, po czym ponownie zmienili taksówki. Don kompletnie stracił orientację. Nie potrafił powiedzieć czy znajdują się na północy czy na południu, na górze czy na dole, na wschodzie czy na zachodzie. Gdy wysiadali z ostatniej z taksówek, doktor spojrzął na zegarek i powiedział.

— Straciliśmy już dosyć czasu. Chodź — wskazał na budkę łącznościową tuż obok nich.

Don wszedł do niej i zadzwonił do „Caravansary”. Czy była dla niego jakaś przesyłka? Nie, nie było. Wyjaśnił, że nie jest zameldowany w hotelu. Recepcjonista sprawdził powtórnie.

— Przykro mi, ale nic nie ma.

Don wyszedł na zewnątrz i powtórzył to doktorowi. Ten przygryzł wargę.

— Synu, popełniłem poważny błąd — rozejrzał się wokół. W pobliżu nie było nikogo. — I zmarnowałem wiele czasu.

— Czy mogę w czymś pomóc?

— Hę? Tak, myślę, że możesz. Jestem nawet pewien — przerwał, by się zastanowić. — Wrócimy do mojego mieszkania. Musimy to zrobić. Nie zostaniemy

tam jednak. Znajdziemy jakiś inny hotel, nie „Caravansary”. Obawiam się, że będziemy musieli pracować całą noc. Wytrzymasz to?

— No jasne!

— Mam parę pigułek „pożyczających czas”. To nam pomoże. Posłuchaj, Don, cokolwiek się stanie, musisz zdążyć na ten statek jutro. Rozumiesz,

Don zgodził się. Miał zamiar zdążyć na statek i nie wyobrażał sobie powodu, dla którego nie miałby tego zrobić. Zaczął się po cichu zastanawiać, czy z głową doktora Jeffersona wszystko jest w porządku.

— Dobrze. Pójdziemy na piechotę. To niedaleko.

Przeszli pół mili tunelami, po czym zjechali windą i dotarli na miejsce. Gdy skręcili w korytarz, w którym mieściło się mieszkanie doktora, ten rozejrzał się w obie strony. Tunel był pusty. Przeszli nim szybko i doktor wpuścił go do środka. W salonie siedziało dwóch nieznajomych mężczyzn.

Doktor Jefferson spojrział na nich i powiedział.

— Dobry wieczór panom — po czym zwrócił się do swego gościa. — Dobranoc, Don. Miło było cię poznać. Pamiętaj o mnie i powtórz wszystko rodzicom.

Złapał Dona za rękę i zdecydowanym ruchem zwrócił w stronę drzwi.

Obaj mężczyźni wstali z krzesel.

— Dotarcie do domu zajęło panu sporo czasu, doktorze — powiedział jeden z nich.

— Zapomniałem o naszym spotkaniu, panowie. A więc do widzenia, Don. Nie chcę, żebyś się spóźnił.

Ostatniej uwadze towarzyszył wzmożony nacisk na dłoń Dona. Ten odpowiedział.

— Hmm, dobranoc, doktorze. I dziękuję.

Odwrócił się w stronę wyjścia, lecz mężczyzna, który przemówił, szybko zagroził mu drogę.

— Proszę chwilkę poczekać.

— Doprawdy, panowie — odparł doktor Jefferson. — Nie ma powodu, by zatrzymywać tego chłopca. Niech sobie idzie, byśmy mogli się zająć naszymi sprawami.

Nieznajomy nie udzielił odpowiedzi, lecz zawołał.

— Elkins! King!

Z drugiego pokoju wyszło dwóch kolejnych mężczyzn. Ten, który ich wezwał — najwyraźniej dowódca — rozkazał.

— Zabierzcie chłopaka do sypialni. Zamknijcie drzwi.

— Chodź ze mną, kolego.

Don, który trzymał usta zamknięte, usiłując się połapać w ten nowej sytuacji, poczuł gniew. Był prawie pewien, że ci ludzie pracowali dla policji bezpieczeństwa, choć nie mieli mundurów. Wychowano go jednak w przeświadczeniu, że uczciwi obywatele nie mają się czego bać.

— Chwileczkę! — sprzeciwił się. — Nigdzie nie idę. Co tu jest grane?

Mężczyzna — który kazał mu pójść ze sobą, zbliżył się do niego i złapał go za ramię. Don odtrącił go. Dowódca powstrzymał swych ludzi przed dalszą akcją ledwie dostrzegalnym gestem.

— Donie Harvey. . .

— He? Słucham.

— Mógłbym udzielić całego szeregu odpowiedzi na twoje pytanie. Oto jedna z nich — pokazał odznakę skrytą w dłoni — można ją jednak podrobić. Albo też, gdybym chciał poświęcić temu więcej czasu, mógłbym cię przekonać za pomocą podstemplowanych kartek papieru, oficjalnych i zgodnych z prawem, podpisanych ważnymi nazwiskami — Don zauważył, że jego głos był łagodny i kulturalny. — Tak się jednak składa, że jestem zmęczony i nie mam ochoty na pogawędki ze szczeniakami. Skończmy więc na tym, że jest nas czterech i wszyscy mamy broń. A więc, czy pójdziesz z własnej woli, czy wolisz dostać po łbie i zostać zaciągnięty?

Don miał ochotę odpowiedzieć jak buńczuczny młodzik, lecz wtrącił się doktor Jefferson.

— Donald, rób jak ci każą!

Zamknął usta i podążył za policjantem. Ten zaprowadził go do sypialni i zamknął drzwi.

— Usiądź — powiedział miłym tonem. Don się nie ruszył. Jego strażnik zbliżył się, oparł mu dłoń o pierś i popchnął go. Don usiadł.

Mężczyzna nacisnął guzik na tablicy rozdzielczej łóżka, unosząc je lekko, po czym położył się. Wydawało się, że zasnął, lecz za każdym razem, gdy Don spoglądał na niego, ich oczy spotykały się. Don wyteżył słuch, usiłując usłyszeć, co się dzieje w pokoju frontowym. Nie warto jednak było zadawać sobie trudu. Ten pokój, jako sypialnia, był w pełni dźwiękoszczelny.

Siedział więc, wierząc się niespokojnie. Usiłował zrozumieć coś z tych niedorzecznych wydarzeń. Nie mógł niemal uwierzyć, że jeszcze dziś rano wyruszyli z Leniuchem na „Grób Domokrążcy”. Zastanowił się, co też porabia teraz Leniuch i czy mały, żarłoczny łobuz tęskni za nim.

Zapewne nie, przyznał z żalem.

Rzucił spojrzenie na strażnika, zastanawiając się czy gdyby napiął mięśnie, podciągnął stopy jak najdalej pod siebie. . .

Strażnik potrząsnął głową.

— Nie próbuj tego — poradził.

— Czego?

— Rzucić się na mnie. Mógłbyś mnie zmusić do akcji i zrobiłbym ci krzywdę. Poważną.

Mężczyzna — jak się zdawało — zasnął na nowo.

Don pograżył się w apatii. Nawet gdyby dał sobie radę z tym jednym, ogłuszył go, czy co, na zewnątrz czekało trzech następnych. Założmy zresztą, że zdołałby im umknąć. Był w obcym mieście, w którym oni byli w pełni zorganizowani i trzymali wszystkich pod kontrolą. Dokąd mógłby uciec?

Widział kiedyś jak kot ze stajni bawił się z myszą. Obserwował to przez chwilę, zafascynowany, choć jego sympatia była po stronie myszy, aż wreszcie wtrącił się, by przerwać męczarnie biednego zwierzątka. Kot ani razu nie pozwolił myszy oddalić się poza zasięg pazurów. Teraz on był myszą. . .

* * *

Wstawaj!

Don zerwał się, zdumiony, na nogi, nie wiedząc, gdzie się znajduje.

— Chciałbym mieć takie czyste sumienie — oznajmił strażnik z podziwem. — To wspaniały dar, móc się przekimnąć w każdej chwili. Chodź, szef cię wzywa.

Don wrócił do salonu. Strażnik podążył za nim. W pokoju nie było nikogo, poza towarzyszem człowieka, który go pilnował. Don odwrócił się.

— Gdzie jest doktor Jefferson?

— Nieważne — odparł strażnik. — Porucznik nie znosi, jak każą mu czekać — zwrócił się w stronę drzwi.

Don się nie śpieszył. Drugi strażnik ujął go od niechcienia za ramię. Poczuł przeszywający ból sięgający do barku. Podążył za nim.

Na zewnątrz czekał na nich sterowany ręcznie samochód, większy niż tak-sówki-roboty. Drugi ze strażników zasiadł za kierownicą, zaś pierwszy wprowadził Dona do pomieszczenia dla pasażerów. Chłopiec usiadł, zaczął się odwracać i stwierdził, że nie może tego dokonać. Nie mógł nawet podnieść rąk. Każda próba poruszenia się, uczynienia czegoś więcej niż siedzenie i oddychanie wywoływała efekt podobny do szarpania się z ciężarem zbyt wielu kocy.

— Spokojnie — poradził mu strażnik. — Walcząc z tym polem możesz sobie naderwać ścięgno, a i tak nic nie osiągniesz.

Don musiał sam sobie udowodnić, że mężczyzna miał rację. Bez względu na to, czym były niewidzialne więzy, im mocniej się szarpał, tym silniej go krępowały. Z drugiej strony, gdy się uspokoił i rozluźnił nie czuł ich w ogóle.

— Dokąd mnie wieziecie? — zapytał.

— Nie wiesz? Do miejskiego biura IBI, rzecz jasna.

— Dlaczego? Nie zrobiłem nic złego!

— W takim razie nie zostaniesz tam długo.

Samochód wjechał do wielkiego garażu. Wszyscy trzej wysiedli i zatrzymali się przed drzwiami. Don miał wrażenie, że ktoś im się przygląda. Po chwili drzwi otworzyły się i weszli do środka.

Panował tam odór biurokracji. Przeszli przez długi korytarz mijając niezliczone gabinety pełne urzędników, biurka, maszyn tłumaczących, mechanicznych segregatorów i furkoczących sorterów kart. Winda zawiozła ich na inne piętro, gdzie przeszli przez jeszcze więcej korytarzy, aż zatrzymali się przed drzwiami do gabinetu.

— Wchodź — powiedział pierwszy ze strażników. Don wszedł. Drzwi zamknęły się za nim. Strażnicy zostali na zewnątrz.

— Usiądź, Don — był to szef całej czwórki. Miał teraz na sobie mundur oficera bezpieczeństwa. Siedział za biurkiem w kształcie podkowy.

— Gdzie jest doktor Jefferson? — zapytał Don. — Co z nim zrobiliście?

— Powiedziałem, usiądź.

Don nie poruszył się. Porucznik ciągnął.

— Czemu pogarszasz swoją sytuację? Wiesz, gdzie jesteś. Wiesz, że mógłbym ograniczyć swobodę twoich ruchów w taki sposób, jaki uznam za stosowny — a niektóre z nich są dość nieprzyjemne. Czy zechcesz, proszę, usiąść i oszczędzić nam obu kłopotów?

Don usiadł i natychmiast zażądał.

— Chcę się widzieć z adwokatem.

Porucznik potrząsnął powoli głową. Wyglądał jak zmęczony i łagodny nauczyciel.

— Chłopcze, naczytałeś się za dużo romantycznych powieści. Gdybyś zamiast tego studiował dynamikę historii, zrozumiałbyś, że logika rządów prawa występuje na przemian z logiką przemocy według wzorca zależnego od charakterystycznych cech danej kultury. Każda kultura posiada swą zasadniczą logikę. Rozumiesz?

Don zawahał się.

— Nieważne — ciągnął mężczyzna. — Rzecz w tym, że twoja prośba o adwokata nie ma żadnego znaczenia, gdyż jest spóźniona o jakieś dwieście lat. Pewne zwroty żyją nadal, choć faktów, które określały, już nie ma. Niemniej, gdy skończę cię przesłuchiwać, możesz dostać adwokata — albo lizaka. Co wolisz. Na twoim miejscu wybrałbym lizaka. Jest bardziej odżywczy.

— Nic nie powiem bez adwokata — odparł stanowczo Don.

— Nie? Przykro mi. Don, planując tę rozmowę, przewidziałem jedenaście minut na dyrdymały. Zużyłeś już cztery — nie, pięć. Gdy upłynie jedenaście i zaczniesz wypluwać zęby, pamiętaj, że nie życzę ci źle. Wracając do tego, czy będziesz mówić, czy też nie, istnieje kilka sposobów, by zmusić człowieka do mówienia i każdy z nich ma swoich entuzjastów, którzy zarzekają się, że ich metoda jest najlepsza. Na przykład narkotyki: podtlenek azotu, skopolamina, pentotal, nie wspominając już o nowych, bardziej subtelnych i stosunkowo nietoksycznych. Agenci wywiadu używali z wielkim sukcesem nawet alkoholi. Ja nie lubię środków farmaceutycznych. Wpływają one na intelekt i zaśmiecają przesłucha-

nie danymi, których nie potrzebuję. Byłbyś zdumiony, ile śmieci może się zebrać w ludzkim mózgu, Don, gdybyś musiał tego wszystkiego wysłuchiwać, tak jak ja. Jest też hipnoza i jej liczne warianty, a również sztuczne pobudzenie potrzeby nie do przewyciężenia, jak uzależnienie od morfiny. Wreszcie jest też staromodna siła. Ból. Znam artystę — myślę, że jest teraz w tym budynku — który potrafi dokonać udanego przesłuchania najbardziej opornych przypadków w minimalnym czasie, posługując się wyłącznie gołymi rękami. Do tej samej kategorii, rzecz jasna, należy prastara sztuczka, w której działaniu siły czy bólu nie poddaje się osoby przesłuchiwanej, lecz kogoś innego, na kogo cierpienie nie może ona patrzeć — na przykład żonę, syna czy córkę. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że tę metodę trudno by było zastosować w twoim przypadku, jako że jedyni twoi bliscy krewni znajdują się na innej planecie — oficer rzucił okiem na zegarek. — Zostało tylko trzydzieści sekund na bzdury, Don. Czy zaczniemy?

— Co? Chwileczkę! Pan zużył cały ten czas. Ja nie powiedziałem prawie nic.

— Brak mi czasu, by grać czysto. Przykro mi. Niemniej — ciągnął — pozorną przeszkodą w użyciu tej ostatniej metody nie ma w twoim przypadku zastosowania. Przez krótki czas, który spędziłeś pozbawiony świadomości w mieszkaniu doktora Jeffersona zdołaliśmy ustalić, że istnieje taka... osoba, która spełnia wszelkie warunki. Raczej powiesz wszystko niż pozwolisz jej cierpieć.

— Hę?

— Kucyk imieniem Leniuch.

Na tę sugestię był całkowicie nieprzygotowany. Zwaliło go to z nóg. Mężczyzna ciągnął pośpiesznie. — Jeśli będziesz nalegał, odłożymy przesłuchanie na jakieś trzy godziny, żebym mógł go tu sprowadzić. To by mogło być ciekawe. Nie sądzę, by kiedykolwiek używano do tej metody konia. O ile wiem, ich uszy są dosyć wrażliwe. Z drugiej strony czuję się zobowiązany, by ci powiedzieć, że jeśli zadamy sobie trud, aby go tu sprowadzić, nie będziemy go odwozić z powrotem, lecz po prostu odeślemy do rzeźni. Konie w Nowym Chicago to anachronizm, nie sądzisz?

Donowi zbyt mocno kręciło się w głowie, by mógł udzielić właściwej odpowiedzi, a nawet zdać sobie sprawę ze wszystkich okropnych implikacji tego, co usłyszał. Wreszcie zawołał.

— Nie robi pan tego! Nie może pan!

— Czas minął, Don.

Don wziął głęboki oddech i osunął się na krzesło.

— Proszę bardzo — powiedział obojętnym tonem. — Niech pan pyta.

Porucznik wziął z biurka rolkę filmu i wsadził ją do projektora, który stał tyłem do niego.

— Nazwisko, proszę.

— Donald James Harvey.

— A twoje wenusjańskie imię? Don zagwizdał „Mgła nad Wodami”.

— Gdzie się urodziłeś?

— Na pokładzie *Ku Obcym Portom* na orbicie pomiędzy Luną i Ganimedem.

Pytania ciągnęły się jedno za drugim. Przesłuchujący Dona najwyraźniej miał wszystkie odpowiedzi wyświetlane przed sobą. Raz czy dwa kazał mu podać więcej szczegółów lub też poprawił go w jakiejś drobnej sprawie. Przeszedłszy przez całą jego przeszłość kazał Donowi opisać ze szczegółami wydarzenia, które zaszły od chwili, gdy otrzymał od rodziców wiadomość nakazującą mu lecieć *Walkirią* na Marsa.

Jedyną rzeczą, którą Don pomiął, były uwagi doktora Jeffersona na temat paczki. Czekał w niepokoju, spodziewając się, że policjant weźmie się za niego. Jeśli jednak wiedział on o paczce, nie dał tego po sobie poznać.

— Czy doktor Jefferson sądził, że ten tak zwany agent bezpieczeństwa śledził ciebie, czy też jego?

— Nie wiem. Chyba też nie wiedział.

— „Ucieka występny, choć go nikt nie goni” — zacytował porucznik. — Powiedz mi dokładnie, co robiliście po tym, jak opuściliście „Ustronie”.

— Czy ten człowiek mnie śledził? — zapytał Don. — Daję słowo, nigdy przedtem nie widziałem na oczy tego smoka. Chciałem być tylko uprzejmy i zabić trochę czasu.

— Jestem pewien, że tak było, ale to ja zadaję pytania. Słucham.

— No więc, zmienialiśmy taksówki dwa razy, może trzy. Nie wiem dokąd pojechaliśmy. Nie znam miasta i wszystko mi się pomieszało. Wreszcie jednak dotarliśmy do mieszkania doktora Jeffersona — ponownie pominął milczeniem fakt, że zadzwonił do „Caravansary”. Jeśli przesłuchujący zdawał sobie z tego sprawę, nie okazał nic po sobie.

— No dobrze, chyba dotarliśmy do chwili obecnej — oznajmił porucznik. Wyłączył projektor i przez parę minut wpatrywał się w pustkę. — Synu, nie mam najmniejszych wątpliwości, że jesteś potencjalnie nielojalny.

— Dlaczego pan tak mówi?

— Nie wciskaj kitu. Nic w twojej przeszłości nie skłania cię do lojalności. Nie ma się jednak czym podniecać. Na moim stanowisku trzeba być praktycznym. Zamierzasz jutro rano odlecieć na Marsa.

— No jasne!

— Dobrze. Nie wyobrażam sobie w jaki sposób w twoim wieku mógłbyś być zamieszany w coś poważnego, zwłaszcza że byłeś izolowany na tym ranchu. Wpadłeś jednak w złe towarzystwo. Nie spóźnij się na statek. Jeśli jutro jeszcze tu będziesz, mogę być zmuszony zmienić zdanie.

Porucznik wstał z krzesła, podobnie jak Don.

— Na pewno nim odleczę! — zgodził się chłopiec. Nagle przerwał. — Chyba że...

— Chyba że co? — zapytał ostrym tonem porucznik.

— No więc, zatrzymali mój bilet do sprawdzenia w bezpieczeństwie — przyznał Don.

— Co ty powiesz? To rutynowa sprawa. Zajmę się tym. Możesz już iść. Otwarte nieba!

Don nie udzielił konwencjonalnej odpowiedzi.

— Nie smuć się — dorzucił mężczyzna. — Łatwiej byłoby stłuc cię na kwaśne jabłko i potem dopiero przesłuchać. Nie zrobiłem tego jednak. Mam syna mniej więcej w twoim wieku. Nigdy też nie zamierzałem skrzywdzić twojego konia. Tak się składa, że lubię konie. Pochodzę ze wsi. Nie masz pretensji?

— Hmm, chyba nie.

Porucznik wyciągnął rękę. Don uściskał ją. Złapał się na tym, że zaczynał go lubić. Postanowił więc zaryzykować jeszcze jedno pytanie.

— Czy mogę powiedzieć „do widzenia” doktorowi Jeffersonowi?

Wyraz twarzy mężczyzny uległ zmianie.

— Obawiam się, że nie.

— Dlaczego? Będziecie mnie przecież obserwować, prawda?

Oficer zawahał się.

— Nie ma powodu, żebyś się nie dowiedział. Doktor Jefferson był człowiekiem o bardzo słabym zdrowiu. Zdenerwował się, dostał ataku i zmarł dziś w nocy. Zatrzymanie akcji serca.

Don wbił w niego wzrok.

— Weź się w garść! — powiedział mężczyzna ostrym tonem. — To się zdarza nam wszystkim.

Nacisnął przycisk na biurku. Zjawił się strażnik, któremu kazano wyprowadzić Dona. Szli inną trasą, lecz chłopiec był zbyt oszołomiony, by to zauważyć. Doktor Jefferson nie żył? To się nie wydawało możliwe. Człowiek tak pełen życia, w tak widoczny sposób je kochający. . . Wciąż o tym myślał, gdy wypchnięto go do jednego z głównych tuneli publicznych.

Nagle przypomniał sobie zdanie, które usłyszał w szkole z ust nauczyciela biologii: „W ostatecznym rozrachunku wszystkie rodzaje śmierci można zakwalifikować jako zatrzymanie akcji serca”. Don uniósł prawą dłoń i spojrzął na nią. Postara się jak najszybciej ją umyć.

Szlak Chwały

Pozostało mu jeszcze parę spraw do załatwienia. Nie mógł tu tak stać całą noc. Przede wszystkim, jak sądził, powinien wrócić na stację i odebrać bagaże z przechowalni. Pogrzebał w worku w poszukiwaniu kwitu. Martwił się o to, jak się tam dostanie. Nadal nie miał bilonu na taksówkę.

Nie znalazł kwitu. Po chwili wyjął wszystko z worka. Cała reszta była na miejscu: list kredytowy, dowód tożsamości, radiogramy od rodziców, dwuwymiarowe zdjęcie Leniucha. Świadcstwo urodzenia i różne drobiazgi. Kwitu jednak nie było. Pamiętał, że go tam wsadził.

Zastanowił się, czy nie wrócić do gmachu IBI. Był całkiem pewien, że musieli zabrać mu kwit gdy spał. Kurczę, to dziwne, że zasnął w takiej chwili. Czy dali mu jakiś narkotyk? Postanowił, że nie wróci tam. Nie, tylko nie znał nazwiska oficera, który go przesłuchiwał, ani nie mógł go zidentyfikować w żaden inny sposób, lecz, co ważniejsze, nie chciał tam wracać, choćby nawet miał stracić bagaż, który zostawił w Gary Station. Mała strata — kupi sobie przed startem nowe skarpetki i szorty!

Postanowił, że zamiast tego uda się do „Caravansary”. Przede wszystkim musiał się jednak zorientować, gdzie to jest. Ruszył powoli naprzód rozglądając się w poszukiwaniu kogoś, kto nie sprawiałby wrażenia, że jest zbyt zajęty lub zbyt ważny, by można go było o to zapytać. Znalazł takiego człowieka w osobie sprzedawcy losów na loterię przy następnym skrzyżowaniu.

Sprzedawca przyjrzał mu się uważnie.

— Nie masz po co tam iść, koleś. Mogę ci załatwić coś naprawdę dobrego — mrugnął.

Don oznajmił, że wie czego chce. Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Jak chcesz, tumanie. Idź prosto przed siebie, aż dojdiesz do placu z elektryczną fontanną, a potem pojedź ruchomym chodnikiem na południe. Spytaj kogoś, gdzie masz z niego zejść. W jakim miesiącu się urodziłeś?

— W lipcu.

— W lipcu! Masz szczęście, chłopcze. Został mi jeszcze jeden los z twoim horoskopem. Proszę.

Don nie miał najmniejszego zamiaru go kupować. Miał ochotę powiedzieć temu kanciarzowi, iż uważa, że horoskopy to coś równie głupiego jak krowa w okularach — okazało się jednak, że kupił los na loterię za swą ostatnią monetę. Wsadził go do kieszeni, czując się głupio.

— Około pół mili ruchomym chodnikiem — powiedział sprzedawca. — Wyczesz siano z włosów zanim wejdiesz do środka.

Don odnalazł ruchomy chodnik bez trudu i stwierdził, że jest to ekspres płatny przy wejściu. Ponieważ maszyna nie była zainteresowana losami na loterię, ruszył ciągnącym się obok wąskim chodnikiem na piechotę. Nie miał trudności z odnalezieniem hotelu. Jasno oświetlone wejście do niego rozciągało się wzdłuż tunelu na przestrzeni stu jardów.

Gdy wszedł do środka, nikt nie pośpieszył, by mu pomóc. Podszedł do recepcji i zapytał o pokój. Recepcjonista przyjrzał mu się z powątpiewaniem.

— Czy ktoś zadbał o pański bagaż?

Don wyjaśnił, że nie ma bagażu.

— No więc... to będzie dwadzieścia dwa pięćdziesiąt, płatne z góry. Proszę tu podpisać.

Don zrobił to i dodał odcisk kciuka, po czym wyjął list kredytowy ojca.

— Czy mogę to zamienić na gotówkę?

— Ile tego jest? — recepcjonista wziął list w rękę. — Oczywiście, proszę pana — powiedział. — Proszę mi pokazać dowód tożsamości.

Don podał mu go. Recepcjonista wziął dowód oraz świeży odcisk kciuka i włożył oba do maszyny porównującej. Ta zabrzączała na znak potwierdzenia. Urzędnik zwrócił mu dokument.

— Zgadza się, to pan — odliczył pieniądze, odejmując od nich opłatę za pokój. — Czy dowiozą pański bagaż?

Jego zachowanie wskazywało, że status społeczny Dona wzrósł gwałtownie.

— Hmrrn, nie, ale może jest dla mnie jakaś poczta? — Don wyjaśnił, że odlatuje rano *Szlakiem Chwały*.

— Zapytam w pokoju pocztowym.

Odpowiedź brzmiała „nie”. Don miał zawiedzioną minę.

— Każę im zaznaczyć pańskie nazwisko — powiedział recepcjonista. — Jeśli coś nadejdzie przed startem, z pewnością to panu dostarczymy, nawet gdybyśmy mieli wysłać gońca do kosmoportu.

— Dziękuję bardzo.

— Nie ma za co. Chłopiec hotelowy!

Gdy go prowadzono do pokoju Don zdał sobie nagle sprawę, że chwieje się na nogach. Wielki zegar w foyer poinformował go, że jest już jutro — od kilku godzin. W istocie zapłacił siedem pięćdziesiąt za godzinę za prawo skorzystania z łóżka, czuł się jednak tak, że byłby gotów zapłacić więcej za to tylko, by móc się wczłgać do nory.

Nie położył się natychmiast. „Caravansary” był luksusowym hotelem. Nawet jego „tanie” pokoje posiadały minimum cywilizowanych urządzeń. Nastawił łazienkę na gorącą, cykliczną niasiadówkę, ściągnął ubranie i pozwolił, by gorąca woda ukołysała go. Po chwili przestawił urządzenie i zaczął unosić się w letniej, stojącej wodzie.

Ocknął się nagle i wyszedł z wanny. Po dziesięciu minutach wytarty i wypudrowany, czując mrowienie pod wpływem masażu, wrócił do sypialni niemal wypoczęty. Szkoła na ranchu miała celowo klasztorny charakter: staroświeckie łóżka i zwykłe prysznice. Ta kąpiel warta była ceny pokoju.

Sygnał przewodu pocztowego rozbłysnął na zielono. Otworzył go i znalazł wewnątrz trzy przedmioty. Pierwszym z nich był spory pakunek owinięty w plastik z napisem: ZESTAW FIRMOWY CARAYANSARY. W środku znajdowały się grzebień, szczoteczka do zębów, pigułka nasenna, proszek na ból głowy, film fabularny do sufitowego projektora łóżka, numer *New Chicago News* oraz menu na śniadanie. Drugim przedmiotem była kartka od jego współlokatora ze szkoły, zaś trzecim mała paczka, typowa rura kartonowa do przesyłania poczty. Na kartce pocztowej napisane było: „Drogi Donie. Po południu dostarczono dla Ciebie paczkę. Poprosiłem kierownika, żeby pozwolił mi ją odwieźć do Alb-Q-Q. Zezol przejmie Leniucha. Pora kończyć. Muszę posadzić tego grata na ziemi. Najlepszego — Jack.”

Dobry, stary Jack, powiedział sam do siebie Don. Wziął rurę w rękę. Spojrzał na adres zwrotny i z lekka wstrząśnięty zdał sobie sprawę, że musi to być ta paczka, o którą tak martwił się doktor Jefferson, będąca najwyraźniej przyczyną jego śmierci. Wpatrując się w nią zadał sobie pytanie, czy rzeczywiście możliwe jest, by wywlec obywatela z jego własnego domu, a następnie zakatować na śmierć?

Czy człowiek, z którym zaledwie kilka godzin temu jadł kolację, naprawdę nie żył? Czy też gliniarz z bezpieki z jakiegoś powodu okłamał go?

Część z tego z pewnością była prawdą. Widział, jak czekali, by aresztować doktora. Jego również aresztowali, przesłuchiwali go i grozili mu. Praktycznie ukradli mu bagaż. I wszystko to bez powodu. Nie zrobił zupełnie, absolutnie nic. Zajmował się tylko własnymi sprawami.

Nagle zaczął dygotać z gniewu. Pozwolił, by nim pomiatało. Dał sobie uroczyste słowo, że nigdy już do tego nie dopuści. Dostrzegał teraz pół tuzina chwil, w których powinien był być uparty. Gdyby od początku stawiał opór, doktor Jefferson mógłby jeszcze żyć. O ile faktycznie nie żył — poprawił się.

Pozwolił jednak, by zastraszyła go przewaga przeciwnika. Obiecał sobie, że nigdy już nie będzie zwracał uwagi na podobne rzeczy, a jedynie na sedno sprawy.

Zapanował nad drżeniem i otworzył paczkę.

W chwilę później na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. W rurze nie było nic poza tanim, plastikowym męskim pierścieniem, jaki można było znaleźć w każdym sklepie z upominkami. Jego oczko stanowiła duża litera H w stylu

angielski gotyk, wprawiona w okrąg. Miał też rowki wypełnione białą emalią. Był efektowny, lecz nie było w nim nic nadzwyczajnego. Mógł przedstawiać wartość jedynie dla kogoś o dziecinny czy wulgarnym guście.

Don obrócił go parę razy w rękę, po czym odłożył na bok i przyjrzał się opakowaniu. Nie było tam nic, żadnej wiadomości, po prostu zwykły, biały papier, w który zawinięto pierścionek. Don zamyślił się.

Pierścionek rzecz jasna nie mógł być przyczyną całego zamieszania. Wydawało mu się, że są dwie możliwości. Po pierwsze policja bezpieczeństwa mogła zamienić paczki. Jeśli tak było, nie mógł zapewne nic na to poradzić. Po drugie, jeśli pierścionek nie był ważny, a była to właściwa paczka, w takim razie istotna musiała być reszta jej zawartości, nawet jeśli wyglądała jak zwykły, niezapisany papier.

Myśl, że może przemycać wiadomość napisaną niewidzialnym atramentem, podnieciła go. Zaczął zastanawiać się nad tym, w jaki sposób uwidocznić tekst. Ciepło? Odczynniki chemiczne? Promieniowanie? Rozpatrując te możliwości zdał sobie z żalem sprawę, że nawet jeśli istotnie ukryto tam wiadomość, nie powinien starać się jej odczytać. Miał ją jedynie dostarczyć ojcu.

Doszedł też do wniosku, iż bardziej prawdopodobne jest, że była to fałszywa paczka, wysłana przez policję. Nie mógł się w żaden sposób dowiedzieć, co wyscisnęli z doktora Jeffersona. To mu przypomniało, że została jeszcze jedna rzecz, którą mógł zrobić, by się upewnić, choć zapewne nic to nie da. Podeszedł do telefonu i zadzwonił do mieszkania doktora. Co prawda polecił mu on, by tego nie robił, lecz okoliczności się zmieniły.

Musiał odczekać chwilę zanim ekran rozbłysnął. Spojrzał prosto w twarz porucznika policji bezpieczeństwa, który go przesłuchiwał. Policjant popatrzył na niego.

— O kurczę! — powiedział zmęczonym głosem. — A więc mi nie uwierzyłeś? Wracaj do łóżka. Gdzieś za godzinę musisz wstawać.

Don przerwał połączenie nie mówiąc nic.

A więc doktor Jefferson nie żył, bądź też nadal znajdował się w rękach policji. Bardzo dobrze, przyjmie, że to on przysłał papier i dostarczy go na przekór wszystkim obleśnie uprzejmym szturmowcom, jakich można znaleźć w Nowym Chicago! Kruczek, którego doktor najwyraźniej użył celem zamaskowania przeznaczenia kartki, sprawił, że zaczął się zastanawiać, co mógłby zrobić, by ukryć jej znaczenie. Po chwili wyciągnął pisak z worka, wygładził kartkę i zaczął pisać list. Papier na tyle przypominał listy, że list na nim wyglądał prawdopodobnie. Być może rzeczywiście był to papier listowy. Zaczął pisać: „Droży Mamo i Tato, dostałem wasz radiogram dziś rano. Byłem bardzo podekscytowany!”

Pisał dalej, wielkimi literami, po to tylko, by zająć miejsce. Skończył, gdy miało mu już zabraknąć papieru, wspominając, że ma zamiar dopisać coś jeszcze

i wysłać cały tekst, gdy tylko Mars znajdzie się w zasięgu nadajników statku. Złożył kartkę i schował ją do portfela, który wsadził do worka.

Skończywszy spojrzął na zegarek. O Boże! Za godzinę powinien wstać. Niemal nie warto było kłaść się do łóżka. Jednakże w tej samej chwili, gdy to pomyślał, oczy mu się zamykały. Zauważył, że tarcza alarmu wbudowanego w łóżko ma skalę od „łagodnego przypomnienia” do „trzęsienia ziemi”. Nastawił ją na maksimum i wczuł się w pościel.

Miotало nim na wszystkie strony. Oślepiające światło raziło go w oczy. Dźwięk syreny przebiegał przez cały zakres słyszalności. Don wolno odzyskał świadomość i wygramolił się z łóżka. To, udobruchane, uspokoilo się.

Postanowił nie jeść śniadania w pokoju w obawie, że może zasnąć na nowo. Zdecydował, że wbije się w ubranie i odszuka hotelową jadalnię. Po czterech filiżankach kawy i solidnym posiłku wymeldował się i uzbrojony w bilon na taksówkę wyruszył w stronę Gary Station. W biurze rezerwacji „Linii Międzyplanetarnych” zapytał o bilet. Nieznajomy urzędnik poszukał go, po czym stwierdził.

— Nie widzę go. Nie ma go wśród zatwierdzonych przez bezpieczeństwo.

Tego, pomyślał Don, już za wiele.

— Niech pan poszuka. Musi tu być!

— Ale to... chwileczkę! — urzędnik wziął w rękę kartkę papieru. — Donald James Harvey? Ma pan odebrać swój bilet w pokoju 4012 na półpiętrze.

— Dlaczego?

— Skąd mani wiedzieć? Ja tu tylko pracuję. Tak napisali.

Zdziwiony i zdenerwowany Don odszukał wspomniane drzwi. Nie było na nich nic oprócz napisu „Wejść”. Zrobił to... i po raz kolejny stanął twarzą w twarz z porucznikiem bezpieczeństwa poznanym poprzedniej nocy.

Oficer podniósł wzrok zza biurka.

— Zmyj z jadaczki tę kwaśną minę, Don — warknął. — Ja też mało spałem.

— Czego pan ode mnie chce?

— Ściągaj ubranie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że mamy zamiar cię przeszukać. Nie myślałeś chyba, że pozwolę ci odlecieć bez tego, prawda?

Don stanął mocno na nogach.

— Mam już tego dość — powiedział powoli. — Nie pozwolę sobą pomiatać. Jeśli chcecie mnie rozebrać, musicie zrobić to sami.

Policjant skrzywił twarz.

— Mógłbym udzielić ci na to paru przekonujących odpowiedzi, ale zabrakło mi cierpliwości. Kelly! Arteem! Rozbierzcie go.

W trzy minuty później Donowi zaczynał się robić siniak pod okiem. Miał też uszkodzone ramię. Doszedł do wniosku, że chyba jednak nie jest złamane. Porucznik oraz jego ludzie zniknęli na zapleczu wraz z jego ubraniami i workiem.

Przyszło mu do głowy, że drzwi za nim nie są chyba zamknięte, porzucił jednak ten pomysł. Ucieczka na golasa przez Gary Station nie wydała mu się czymś sensownym.

Mimo nieuniknionej porażki jego morale było najlepsze od wielu godzin.

Po chwili porucznik wrócił. Cisnął ubranie w jego stronę.

— Proszę bardzo. A to twój bilet. Jak chcesz, możesz założyć czyste łachy. Twoje torby są na biurku.

Don przyjął je w milczeniu. Zignorował sugestię odnośnie do przebrania się, by oszczędzić na czasie. Gdy się ubierał, porucznik zapytał nagle.

— Gdzie znalazłeś ten pierścionek?

— Przesłali mi go ze szkoły.

— Pokaż mi go.

Don zdjął pierścionek i rzucił nim w porucznika.

— Zatrzymaj go sobie, ty złodzieju!

Porucznik złapał pierścionek.

— Posłuchaj, Don, to nie sprawa osobista — powiedział spokojnym tonem. Obejrzał dokładnie przedmiot, po czym powiedział. — Łap!

Don chwycił go, założył z powrotem, podniósł torby i zwrócił się w stronę wyjścia.

— Otwarte nieba — powiedział porucznik. Don zignorował go.

— Powiedziałem „otwarte nieba”!

Don odwrócił się ponownie, spojrzał mu w oczy i odrzekł.

— Mam nadzieję, że któregoś dnia spotkamy się prywatnie.

Wyszedł. A jednak dostrzegli kartkę. Gdy zwrócili mu ubranie i worek, zauważył, że jej nie ma.

Tym razem nie zapomniał wziąć zastrzyku przeciw mdłościom przed wejściem na pokład. Musiał stać po niego w kolejce i ledwie zdążył się zważyć zanim zabrzmiał sygnał ostrzegawczy. Gdy już miał wsiąść do kabiny zauważył wchodzącą do pobliskiej windy towarowej postać, która wydała mu się znajoma. „Sir Isaac Newton”. Przynajmniej wyglądał on jak jego chwilowy znajomy z dnia wczorajszego, choć Don musiał przyznać, że różnica w wyglądzie pomiędzy jednym a drugim smokiem bywała niekiedy zbyt subtelna dla ludzkiego oka.

Powstrzymał się przed zagwizdaniem pozdrowienia. Wydarzenia kilku ostatnich godzin sprawiły, że stał się mniej naiwny i bardziej ostrożny. Zastanawiał się nad tymi wypadkami podczas gdy winda wspiniała się po boku statku. Wydawało mu się niewarygodne, że upłynęły tylko dwadzieścia cztery godziny, w gruncie rzeczy nawet mniej, od chwili, gdy otrzymał radiogram. Miał wrażenie, że był to miesiąc, zaś osobiście czuł się, jakby się postarzał o dziesięć lat.

Pomyślał z goryczą, że jednak go przechytrzyli. Wiadomość ukryta w papierze, w który zawinięto pierścionek, przepadła na dobre. Albo na złe.

Miejsce 64 na *Szlaku Chwały* było jednym z zaledwie sześciu znajdujących się na trzecim pokładzie. Przedział był niemal pusty. Tam, gdzie odśrubowano pozostałe leżanki na pokładzie widoczne były ślady. Don odszukał swe miejsce i przypiął bagaże do wieszaka znajdującego się u jego stóp.

Gdy to robił, usłyszał za sobą głos przemawiający soczystym cockneyem. Odwrócił się i zagwizdał pozdrowienie.

„Sir Isaaca Newtona” wprowadzano ostrożnie do przedziału z ładowni znajdującej się niżej. Pomagało w tym sześciu robotników z kosmoportu. Smok odgwizdnął uprzejme pozdrowienie, nie przestając kierować tym popisem sztuki inżynierskiej za pośrednictwem generatora głosu.

— Spokojnie przyjaciele, tylko spokojnie! Teraz, gdybyście wy dwaj byli tak uprzejmi, by postawić moją lewą środkową nogę na drabinie, nie zapominając, że jej nie widzę... Oj! Uważajcie na swoje palce. Dobra, myślę, że teraz dam sobie radę. Czy w okolicy ogona mam coś, co mogłoby się potłuc?

— Wszystko w porządku, szefie — odparł główny tragarz. — Hopsa!

— Jeśli dobrze zrozumiałem, co ma pan na myśli — odrzekł Wenusjanin. — To na pański znak, raz, dwa, trzy!

Rozległ się metaliczny zgrzyt oraz brzęk tłuczonego szkła i wielki jaszczur wdrapał się przez luk. Gdy znalazł się wewnątrz, obrócił się ostrożnie i ułożył w wolnej przestrzeni, którą dla niego pozostawiono. Robotnicy weszli za nim do środka i przypięli go do pokładu stalowymi pasami. Wenusjanin machnął okiem na przodownika.

— Pan, jak rozumiem, jest kierownikiem tej ekipy?

— Zgadza się.

Witki Wenusjanina opuściły klawiaturę generatora głosu i sięgnęły do znajdującej się obok torby, z której wyjęły plik papierowych pieniędzy. Położyły je na pokładzie i wróciły do klawiatury.

— Czy zechce pan więc uczynić mi zaszczyt i przyjąć ten dowód wdzięczności za dobre wykonanie trudnego zadania i rozdzielić go między swych pomocników sprawiedliwie i zgodnie z tym, co przewidują wasze zwyczaje?

Człowiek podniósł pieniądze i schował je.

— Jasna sprawa, szefie. Dziękuję.

— Cały zaszczyt po mojej stronie.

Robotnicy wyszli i smok skierował swą uwagę na Dona, zanim jednak zdążyli zamienić choć słowo, ze znajdującego się wyżej pokładu zeszła reszta pasażerów mających miejsca w ich przedziale. Była to cała rodzina. Jej głowa płci żeńskiej zajrzała do środka i wrzasnęła.

Pognała z powrotem w górę po drabinie, zabiegając drogę swemu potomstwu i małżonkowi, co doprowadziło do powstania korka. Smok skierował dwa ze swych oczu w jej stronę, machając jednocześnie pozostałymi do Dona.

— Ojej! — powiedział za pośrednictwem generatora. — Czy sądzisz, że pomogłoby, gdybym zapewnił tę damę, że nie mam inklinacji ludożerczych?

Don poczuł się gwałtownie zawstydzony. Chciał znaleźć jakiś sposób, by odciąć się od tej kobiety jako siostry krwi i członka swego gatunku.

— To tylko głupia kretyńka — powiedział. — Proszę nie zwracać na nią uwagi.

— Odczuwam obawę, że czysto negatywne podejście nie będzie wystarczające.

Don zagwizdał nieprzetłumaczalny smoczy zwrot oznaczający pogardę.

— Niech jej życie będzie długie i nudne — dodał.

— Fuf, fuf — odparł smok. — Nieuzasadniony lęk nie jest wcale mniej realny. „Wszystko zrozumieć, znaczy wszystko wybaczyć”, jak powiedział jeden z waszych filozofów.

Don nie rozpoznał cytatu, który zresztą wydał mu się dość przesadzony. Był pewien, że istnieją rzeczy, których nigdy nie wybaczy, bez względu na to, jak dobrze je zrozumie. W gruncie rzeczy dotyczyło to niektórych z ostatnich wypadków. Miał właśnie zamiar to powiedzieć, gdy uwagę ich obu przyciągnęły dźwięki wydobywające się z otwartego luku. Dwa lub więcej głosów męskich wiodło spór z piskliwym głosem kobiecym, który przebijał się przez nie, a nawet czasami je zagłuszał. Wyszło na to, że: a) — chciała mówić z kapitanem b) — starannie ją wychowano i nigdy nie musiała mieć do czynienia z takimi rzeczami c) — tym wstrętnym potworom nie powinno się pozwolić przylatywać na Ziemię, lecz należało je wytępić d) — gdyby Adolf był choć w połowie mężczyzną, nie stałby tak i nie pozwoliłby, by jego żonę traktowano w ten sposób e) — zamierzała napisać skargę do towarzystwa, a jej rodzina nie była pozbawiona wpływów i wreszcie f) — żądała, by pozwolono jej porozmawiać z kapitanem.

Don chciał powiedzieć coś, by złagodzić spór, był jednak zbyt zafascynowany. Po chwili głosy oddaliły się i ucichły, a przez luk wszedł oficer, który rozejrzał się wokół.

— Czy jest panu wygodnie? — zapytał „sir Isaaca Newtona”.

— Tak, dziękuję.

Oficer zwrócił się w stronę Dona.

— Zabieraj bagaże, młody człowieku. Pójdiesz ze mną. Kapitan postanowił, że jego wielmożność będzie miał przedział na własny użytek.

— Dlaczego? — zapytał Don. — Na moim bilecie jest napisane miejsce sześćdziesiąt cztery i podoba mi się tutaj.

Oficer podrapał się w brodę i spojrzał na niego, po czym odwrócił się twarzą do Wenusjanina.

— Czy nie ma pan nic przeciwko temu?

— Absolutnie nic. Towarzystwo tego młodego dżentelmena będzie dla mnie zaszczytem.

Oficer ponownie zwrócił się w stronę Dona.

— No więc... w porządku. Zresztą, gdybym cię przeniósł, musiałbym cię chyba powiesić na haku — spojrzął na zegarek i zaklął. — Jeśli się nie pośpieszę, spóźnimy się ze startem i będziemy musieli czekać cały dzień — powiedziawszy to wypadł szybko z przedziału.

Głośniki podały ostatnie ostrzeżenie, po czym ochrypli głos oznajmił.

— Wszyscy zapiąć pasy! Przygotować się do startu...

Następnie usłyszeli nagranie. Z głośników popłynęły mosiężne dźwięki „Podnieście statek!” le Compte’a. Serce Dona zabiło szybciej. Jego podniecenie osiągnęło szczyt. Pragnął wrócić w kosmos, gdzie było jego miejsce. Złe, wywołujące niepokój wydarzenia ostatniego dnia zniknęły z jego umysłu. Nawet wspomnienie ranca i Leniucha wyblakło.

Nagranie puszczone w takim momencie, że przypominający ryk silników rakiety ostatni takt utworu zbiegł się z hukiem prawdziwych silników. *Szlak Chwały* zadrżał, wzbił się w górę... i poleciał prosto w otwarte niebo.

Circum-Terra

Przyśpieszenie nie było gorsze niż poprzedniego dnia w *Szlaku do Santa Fe*, lecz napęd pracował przez ponad pięć minut, które wydały mu się nieskończonością. Gdy przekroczyli prędkość dźwięku w przedziale zrobiło się stosunkowo cicho. Don z wielkim wysiłkiem zdołał odwrócić lekko głowę. Wielkie cielsko „sir Isaaca Newtona” rozplaszczyło się na pokładzie. Widok ten przywiódł Donowi w nieprzyjemny sposób na myśl jaszczurkę rozjechaną na drodze. Szypułki smoka opadły jak zwiędły asparagus. Wyglądał na martwego.

Don z wysiłkiem zaczerpnął powietrza.

— Nic panu nie jest? — zawołał.

Wenusjanin nie poruszył się. Jego generator głosu skrył się pod obwisłymi fałdami szyi. Nie wydawało się prawdopodobne, by jego witki zdołały wykonać precyzyjne ruchy niezbędne dla obsługi instrumentu, nawet gdyby były swobodne. Nie odpowiedział mu też we własnym języku gwizdów.

Don pragnął podejść do niego, lecz był unieruchomiony przyśpieszeniem jak zawodnik znajdujący się na samym dnie stosu w trakcie walki o piłkę podczas gry w football. Z wysiłkiem ułożył głowę z powrotem we właściwym miejscu, dzięki czemu oddychanie sprawiało mu mniejszy ból, i czekał.

Gdy silniki przestały działać, jego żołądek wywinął jednego koziołka na znak protestu, po czym uspokoił się. Albo zadziałał zastrzyk przeciw mdłościom, albo też odzyskał już swą kosmiczną równowagę — albo i jedno i drugie. Nie czekając na zezwolenie ze sterowni szybko odpiął pasy i popędził do Wenusjanina. Znieruchomiał w powietrzu, trzymając się jedną ręką stalowych pasów krępujących jego towarzysza.

Smok nie był już wgnieciony w pokład. Jedynie stalowe obręcze zapobiegały temu, by wzbił się w powietrze. Z tyłu jego wielki ogon kołysał się swobodnie, ocierając się o metalowe płyty i odrapując z nich farbę.

Szypułki nadal były wiotkie, a oczy zaciągnięte błoną. Smok kołysał się bez celu jak sznurek w wodzie. Nic nie wskazywało, by był żywy. Don zacisnął pięść i walnął nią w płaską czaszkę stworzenia.

— Czy mnie pan słyszy? Nic panu nie jest?

Jedyne, co osiągnął, to stłuczona ręka. Sir Isaac nie odpowiedział. Don zatrzymał się na chwilę, zastanawiając się, co robić. Był pewien, że jego przyjacielowi coś dolega, lecz odbyte przez niego szkolenie w zakresie pierwszej pomocy nie obejmowało wenusjańskich pseudojaszczurów. Sięgnął do wspomnień z dzieciństwa, starając się coś wymyślić.

W przednim, czy też „górnym” luku pojawił się, zwisając głową w „dół” ten sam oficer, który dokonywał zamiany miejsc.

— Wszystko w porządku na pokładzie? — zapytał od niechcienia i zaczął się cofać.

— Nie! — krzyknął Don. — Przypadek szoku startowego.

— He? — oficer wpłynął do przedziału i spojrzał na drugiego z pasażerów. Zaklął bez wyobraźni. Minę miał zmartwioną. — To nie na mój łeb. Nigdy nie miałem takiego pasażera. Jak, u diaska, mam zrobić sztuczne oddychanie takiemu wielkiemu stworowi?

— Nie da rady — powiedział mu Don. — Jego płuca są całkowicie zamknięte w pancerzu.

— Wygląda na martwego. Chyba przestał oddychać.

W umyśle Dona odżyło wspomnienie. Uczepił się go szybko.

— Ma pan papierosa?

— Co? Nie zawracaj mi głowy! Zresztą nie włączyli jeszcze sygnału zezwalającego na palenie.

— Nie zrozumiał mnie pan — nie ustępował Don. — Jeśli pan go ma, proszę go zapalić. Można wydmuchnąć dym na jego płytę nozdrzową, żeby się przekonać, czy oddycha.

— Aha. Może to i dobry pomysł — kosmonauta wyciągnął papierosa i zapalił go.

— Ostrożnie — ostrzegał go Don. — One nie znoszą nikotyny. Jedno mocne dmuchnięcie i niech pan go zgasi.

— A może i nie taki dobry — sprzeciwił się oficer. — Hej, mówisz jak wenusjański kolonista.

Don zawahał się.

— Jestem obywatelem Federacji — odpowiedział. Chwila nie wydawała się odpowiednia na dyskusje polityczne. Podszedł do brody smoka, oparł się mocno stopami o pokład i dźwignął ją, odsłaniając w ten sposób płytę nozdrzową Wenusjanina, umieszczoną poniżej jego głowy, między fałdami szyi. Don nie zdołałby tego dokonać gdyby nie to, że na statku panowała nieważkość i potężne cielsko pozbawione było ciężaru.

Mężczyzna wydmuchnął dym w odsłonięty otwór. Zawirował on ku przodowi, lecz potem część dostała się do wewnątrz. Smok był żywy.

I to bardzo. Wszystkie szypułki wyprężyły się nagle. Wenusjanin dźwignął brodę, unosząc Dona wraz z nią, po czym kichnął. Eksplozja uderzyła w unoszące

się swobodnie ciało chłopca, wprawiając go w ruch wirowy. Don miotał się przez chwilę na oślep w powietrzu, zanim zdołał się uchwycić drabiny znajdującej się przy luku.

Oficer pocierał swój nadgarstek.

— Ten dziad mnie trzepnął — poskarżył się. — Nieprędko się zdecyduję spróbować po raz drugi. No więc, myślę, że nic mu nie będzie.

Smok zagwizdał żałobnym tonem. Don odpowiedział mu. Kosmonauta spojrział na niego.

— Kapujesz to narzecz?

— Co nieco.

— To powiedz mu, żeby skorzystał ze swojej gadaczki. Ja nie kapuję!

— Sir Isaac — powiedział Don. — Proszę użyć generatora.

Wenusjanin spróbował to zrobić. Jego macki poruszyły się, odszukały klawisze maszyny produkującej głos i dotknęły ich. Nie rozległ się żaden dźwięk. Smok zwrócił oko w stronę Dona i zagwizdał serię fraz.

— Informuje z żalem, że urządzenie wyzionęło ducha — przetłumaczył Don. Oficer westchnął.

— I po co było rzucać pracę w sklepie? No dobrze, jeśli damy radę zdjąć z niego ten przyrząd, zobaczę, czy radiooperator potrafi go naprawić.

— Ja to zrobię — powiedział Don i wcisnął się w przestrzeń pomiędzy głową smoka a płytami pokładu. Jak stwierdził, generator przytwierdzony był do czterech pierścieni przynitowanych do płyt tworzących skorupę Wenusjanina. Nie mógł odnaleźć właściwej kombinacji. Witki smoka przebiegły po jego dłoniach, odsunęły je delikatnie na bok, odpięły generator i wręczyły go Donowi. Ten wygramolił się spod smoka i dał urządzenie oficerowi. — Wygląda, jakby na nim zasnął — zauważył.

— Kaput — zgodził się oficer. — No dobra, powiedz mu, że jeśli to możliwe, każe je naprawić i cieszę się, że nic mu się nie stało.

— Niech pan mu sam powie. On rozumie po angielsku.

— Co? No tak, oczywiście — zwrócił się w stronę Wenusjanina, który natychmiast wydał z siebie długi, przenikliwy dźwięk.

— Co on mówi?

Don wsłuchał się.

— Powiedział, że docenia fakt, iż dobrze mu pan życzy, ale z żalem musi się z panem nie zgodzić. Czuje się źle. Potrzeba mu pilnie... — Don przerwał ze zdumioną miną, po czym zagwizdał wenusjański odpowiednik zwrotu „proszę to powtórzyć”.

Sir Isaac odpowiedział mu.

— Mówi — ciągnął Don — że potrzeba mu trochę ulepu.

— Co?

— Tak powiedział.

— A niech mnie... ile? Nastąpiła kolejna wymiana gwizdów.

— No więc — kontynuował Don — przynajmniej ćwierć... nie ma na to słowa. To objętość równa mniej więcej pół baryłki.

— Chcesz powiedzieć, że potrzeba mu pół baryłki syropu cukrowego?

— Nie, nie, ćwierć tego. Jedną ósmą baryłki. Ile to będzie w przeliczeniu na galony?

— Nie wiem jak tego dokonać. Co mam robić? Nie jestem nawet pewien czy mamy ulep na pokładzie — sir Isaac ponownie zagwizdał zapamiętane. — Jeśli jednak nie mamy, każę kucharzowi go zrobić. Powiedz mu, żeby się trzymał i nie denerwował — oficer spojrział na smoka ze skrzywioną twarzą, po czym wyszedł pośpiesznie.

Don przytwierdził się do jednej ze stalowych taśm i zapytał.

— Jak się pan teraz czuje?

Smok odparł przeproszającym tonem, że musiał na chwilę powrócić do jajka. Don zamilkł i czekał.

Sam kapitan przyszedł zająć się chorym pasażerem. Statek, który leciał do stacji kosmicznej po swobodnej orbicie, nie wymagał jego obecności w sterowni aż do chwili, gdy będzie już dobrze po południu według czasu Nowego Chicago, mógł więc swobodnie poruszać się po pokładzie. Przybył w towarzystwie lekarza okrętowego. Za nim podążał mężczyzna ciągnący metalowy zbiornik.

Obaj naradzili się w sprawie smoka, ignorując z początku obecność Dona. Ponieważ jednak żaden z nich nie znał gwizdzącej mowy smoczego plemienia, zmuszeni byli zwrócić się do niego o pomoc. Za jego pośrednictwem sir Isaac ponownie stwierdził, że potrzebny mu roztwór cukru w charakterze środka pobudzającego. Kapitan wyglądał na zmartwionego.

— Czytałem gdzieś, że one upijają się cukrem tak samo, jak my alkoholem.

Don ponownie przetłumaczył odpowiedź Wenusjanina. Dawka, o którą ten prosił, miała charakter wyłącznie leczniczy.

Kapitan zwrócił się w stronę lekarza okrętowego.

— Co pan o tym sądzi, doktorze?

Lekarz wbił wzrok w groź.

— Kapitanie, to równie dalekie od moich obowiązków jak stepowanie.

— Niech to diabli, człowieku, prosiłem o pańską zawodową opinię!

Lekarz okrętowy spojrział mu w twarz.

— Bardzo proszę, sir. Mogę powiedzieć, że jeśli ten pasażer umrze wskutek tego, że odmówi mu pan czegoś, o co prosił, będzie to wyglądało bardzo, bardzo źle.

Kapitan przygryzł wargę.

— Skoro pan tak mówi. Niech mnie jeden szlag trafi, jeśli mam ochotę, żeby kilkutonowy zabzdryngolony smok wałęsał się po moim statku. Proszę podać dawkę.

— Ja, sir?

— Pan, sir.

Ponieważ na statku panowała nieważkość, nie sposób było wylać ulepu i pozwolić, by Wenusjanin go zlizywał, zaś jego anatomia nie pozwalała mu skorzystać z „niemowlęcych” pęcherzy do picia używanych w nieważkości przez ludzi. Niemniej jednak te trudności przewidziano i zbiornik zawierający ulep należał do typu używanego w kuchni okrętowej do przechowywania kawy bądź zupy w stanie nieważkości. Wyposażono go w ręczną pompę oraz przytwierdzalny wąż.

Za zgodą sir Isaaca postanowiono wprowadzić koniec węża głęboko do smoczego gardła. Nikt jednak nie miał ochoty podjąć się tego zadania. Mimo że *Draco Veneris Wilsonii* to cywilizowany gatunek, włożenie głowy wraz z ramionami między te rzędy zębów wydawało się grozić sprowokowaniem kryzysu dyplomatycznego.

Don zgłosił się na ochotnika i pożałował tego, gdy wyrazili zgodę. Ufał sir Isaacowi, pamiętał jednak, że czasem leniuch całkiem niechcący przydeptywał mu nogę. Miał nadzieję, że smok nie miał żadnych niewskazanych, niezależnych od woli odruchów. Trupowi nic po przeprosinach.

Trzymając mocno koniec węża w oznaczonym miejscu był zmuszony wstrzymać oddech. Cieszył się, że wziął ten zastrzyk przeciw mdłościom. Oddech sir Isaaca nie był cuchnący jak na smoka, lecz norma dla smoków jest w tej dziedzinie raczej wysoka. Skończywszy robotę z radością wysunął się na zewnątrz.

Sir Isaac podziękował wszystkim za pośrednictwem Dona i zapewnił ich, że teraz szybko wróci do zdrowia. Wydawało się, że zasnął w samym środku gwizdu. Lekarz okrętowy odsłonił jedną z gałek ocznych i zaświecił w nią latarką.

— Myślę, że cukier zadziałał. Zostawmy go w spokoju i miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Wszyscy wyszli. Don przyjrzał się swemu przyjacielowi i zdecydował, że nie ma sensu siedzieć tu z nim, udał się więc w ślady pozostałych. W przedziale nie było okna. Chciał przynajmniej raz spojrzeć na Ziemię dopóki byli blisko. Musiał przejść trzy pokłady zanim znalazł to, czego szukał.

Znajdowali się dopiero w odległości piętnastu tysięcy mil. Don musiał dopchać się blisko okna, żeby zobaczyć na raz całą Ziemię. Była to, musiał przyznać, nadzwyczaj ładna planeta. Było mu trochę żal, że ją opuszcza. Gdy wisiała tam tak na tle aksamitnej czerni usianej punkcikami gwiazd, skąpana w świetle Słońca tak jasnym, że bolały od niego oczy, omal nie zabrakło mu tchu z wrażenia.

Granica dnia przesunęła się już daleko nad Pacyfik, poza Hawaje. Ameryka Północna leżała rozpostarta przed oczyma. Północny Zachód, nad brzegiem Pacyfiku, przesłaniały chmury burzowe, lecz Środkowy Zachód był w miarę czysty, zaś Południowy widoczny bardzo wyraźnie. Z łatwością mógł dostrzec, gdzie jest Nowe Chicago. Widział też Wielki Kanion, dzięki czemu mógł się niemal poła-

pać, w którym miejscu leży rancho. Czuł się pewien, że gdyby miał mały teleskop, byłby w stanie je zobaczyć.

Wreszcie ustąpił miejsca innym. Pograżony był w melancholii wywołanej tęsknotą za domem i komentarze wygłaszane przez niektórych z pozostałych pasażerów zaczynały go denerwować. Nie radosne bzdury wypowiedane przez turystów, lecz przemądrzałe uwagi samozwańcych starych wygów odbywających swą drugą podróż kosmiczną. Skierował się z powrotem do przedziału.

Ze zdumieniem usłyszał, że ktoś zawołał go po imieniu. Odwrócił się. Zbliżył się do niego oficer, którego spotkał uprzednio. Miał ze sobą generator głosu sir Isaaca.

— Wygląda na to, że zakolegowałeś się z tym przeuczonym krokodylem, z którym dzielisz kabinę. Czy mógłbyś mu to zanieść?

— No jasne.

— Radiooperator powiedział, że potrzebny mu przegląd, ale teraz przynajmniej działa.

Don wziął generator i udał się w stronę rufy. Smok wyglądał, jak gdyby spał, pokiwał jednak do Dona jednym okiem i zagwizdał pozdrowienie.

— Mam pański aparat głosowy — powiedział Don. — Czy chce pan, żebym go przytwierdził?

Sir Isaac odmówił uprzejmie. Don przekazał urządzenie w jego ruchliwe witki i smok umocował je tak, jak mu było wygodnie. Następnie przebiegł witkami po klawiaturze dla próby, wydając z generatora dźwięki przywodzące na myśl kwakanie przestraszonych kaczek. Usatysfakcjonowany, zaczął mówić po angielsku.

— Wzbogaciłem się o dług, który u ciebie zaciągnąłem.

— To nic takiego — odparł Don. — Wpadłem na tego oficera kilka pokładów z przodu. Poprosił mnie, żebym to przyniósł.

— Nie chodzi mi o sztuczny głos, lecz o twoją ochoczą pomoc w moim cierpieniu i niebezpieczeństwie. Gdyby nie twój bystry umysł, gotowość dzielenia błota z niesprawdzonym nieznanym i — mimochodem — znajomości prawdziwej mowy, mógłbym utracić szansę na doczekanie szczęśliwej śmierci.

— Kurczę — odparł Don, cokolwiek różowy na twarzy. — To była czysta przyjemność.

Zauważył, że smok mówił powoli i trochę niewyraźnie, jak gdyby jego macki traciły swą zwykłą zręczność. Ponadto sir Isaac przemawiał w sposób bardziej pedantyczny niż kiedykolwiek i jego cockneyowski akcent był znacznie wyraźniejszy. Generator beztrudnie mieszał ze sobą spółgłoski przydechowe i zamieniał głoskę „th” w „f”. Don był pewien, że Ziemianin, który uczył smoka angielskiego, musiał się urodzić w londyńskim City.

Zauważył też, że jego przyjaciel nie może się zdecydować, którym okiem zamierza na niego spoglądać. Machał na Dona to jednym, to drugim, jak gdyby

w poszukiwaniu tego, które pozwoli mu ujrzeć go wyraźniej. Chłopak zastanawiał się, czy sir Isaac nie przesadził z dawką środka leczniczego.

— Pozwól — ciągnął Wenusjanin, nadal z niezgrabną godnością — bym sam ocenił wartość przysługi, jaką mi wyrządziłeś — zmienił temat. — To słowo „kurczę”. Nie rozumiem, w jakim sensie go użyłeś? Czy chodzi o młodego ptaka domowego?

Don usiłował wyjaśnić smokowi jak mało i jak wiele może znaczyć „kurczę”. Ten zamyślił się nad tym, po czym wystukał odpowiedź.

— Sądzę, że fragmentarycznie zrozumiałem. Wartość semantyczna tego słowa ma charakter emocjonalny i jest zmienna. Nie ma ono ścisłego znaczenia opisowego, lecz odnosi się do stanu ducha mówiącego?

— No właśnie — odparł Don z zadowoleniem. — Można mu nadać dowolne znaczenie. Rzecz w tym, jak się je wypowie.

— Kurczę — powiedział smok na próbę. — Kurczę. Wydaje mi się, że zaczynam pojmować. Cudowne słowo. Kurczę. Subtelnych niuansów języka — ciągnął — trzeba się uczyć od jego użytkowników. Może będę mógł odwzajemnić tę przysługę pomagając ci w jakimś niewielkim stopniu zwiększyć twoją, już teraz imponującą, znajomość mowy mojego ludu? Kurczę.

To potwierdziło podejrzenia Dona, iż jego gwizdanie stało się tak okropne, że — choć mogło wystarczyć do sprzedaży prażonej kukurydzy — nie nadawało się już do prowadzenia normalnej rozmowy.

— Przydałoby mi się odświeżyć jej znajomość — odparł. — Nie miałem okazji rozmawiać w „prawdziwej mowie” od lat. Od dzieciństwa. Nauczył mnie historyk, który pracował razem z moim ojcem w ruinach (gwizd). Może go pan zna? Nazywa się „profesor Charles Darwin”. Don dodał prawdziwą, czyli gwizdaną wersję imienia wenusjańskiego uczonego.

— Pytasz czy znam (gwizd)? To mój brat. Jego prapra-praprapraprapraprababka i moja praprapraprapraprapra-babka były tym samym jajkiem. Kurczę! Jest bardzo wykształcony, jak na kogoś tak młodego — dodał.

Don był nieco zaskoczony, gdy usłyszał, że „profesora Darwina” nazwano „młodym”. Jako dziecko spoglądał na niego tak, jakby był w tym samym wieku co ruiny. Uzmysłowił teraz sobie, że sir Isaac, być może, patrzył na to inaczej.

— Hej, to fajnie! — odparł. — Ciekawe, czy zna pan moich rodziców? Doktora Jonasa Harveya i doktor Cynthię Harvey?

Smok zwrócił wszystkie oczy w jego stronę.

— Jesteś ich jajkiem? Nie miałem zaszczytu ich spotkać, ale wszystkie cywilizowane istoty słyszały o nich i o ich dokonaniach. Nie dziwi już mnie, że jesteś tak znakomity. Kurczę!

Don czuł się zawstydzony, lecz jednocześnie było mu przyjemnie. Nie wiedział, co ma powiedzieć, zaproponował więc, by sir Isaac udzielił mu paru lekcji „prawdziwej mowy” — sugestia, na którą smok chętnie się zgodził. Wciąż byli

zajęci nauką, gdy zabrzmiał sygnał ostrzegawczy i głos dochodzący ze sterowni oznajmił.

— Zapiąć pasy! Rozpoczynamy przyśpieszenie. Przygotować się do dopasowania orbit!

Don oparł dłonie o opancerzone boki przyjaciela i odpychając się od nich wrócił na swoje miejsce. Gdy już się tam znalazł, zapytał.

— Nic panu nie będzie?

Smok wydał z siebie dźwięk, który Don zinterpretował jako czkawkę, po czym wystukał.

— Jestem tego pewien. Tym razem się wzmocniłem.

— Mam nadzieję. Hej, na pewno nie chciałby pan znowu przygnieść generatora. Czy mogę się nim zaopiekować?

— Jeśli zechcesz, to bardzo proszę.

Don ponownie zbliżył się do smoka, odpiął generator i przytwierdził go do swoich bagaży. Ledwie zdążył zapiąć pasy, gdy uderzyła w nich pierwsza fala przyspieszenia. Tym razem nie było tak strasznie. Przyspieszenie było mniejsze niż podczas startu z Ziemi, a ponadto trwało krócej. Nie wrywali się teraz z miążdżącego uścisku planety, a jedynie zmieniali orbitę — przesuwali apogeum eliptycznej trasy *Szlaku Chwały* tak, by pokryło się doskonale z orbitą w kształcie okręgu, po której krążyła Circum-Terra — skrzyżowanie dróg w przestrzeni kosmicznej — będąca miejscem ich przeznaczenia.

Kapitan podał jeden potężny impuls, odczekał moment, po czym włączył silniki na krótką chwilę jeszcze dwa razy. Don zauważył, że nie musiał odwracać statku i podawać impulsów hamujących. Skinął z uznaniem głową. Tak się pilotuje! Kapitan wiedział, co to wektory. Ponownie usłyszeli głośnik.

— Kontakt! Można rozpiąć pasy. Przygotować się do zejścia z pokładu.

Don zwrócił generator sir Isaacowi, po czym stracił go z oczu, gdyż smoka ponownie trzeba było przetransportować w stronę rufy, by wypuścić go przez luk ładowni. Don zagwizdał „do widzenia” i ruszył ku dziobowi, ciągnąc za sobą bagaże, by wysiąść przez przewód dla pasażerów.

* * *

Circum-Terra stanowiła wielką, chaotyczną masę wypełniającą niebo. W ciągu wielu lat budowano ją, przebudowywano, dodawano przybudówki i przerabiano z myślą o tuzinie różnych celów — meteorologiczna stacja obserwacyjna, obserwatorium astronomiczne, stacja licząca meteory, telewizyjna stacja przekątnikowa, stacja kierująca lotem pocisków balistycznych, laboratorium fizyczne działające w wysokiej próżni i w warunkach wolnych od odkształceń, wolna od odkształceń oraz zarazków stacja eksperymentów biologicznych. Miała też wiele innych zastosowań.

Przede wszystkim jednak była to kosmiczna stacja przesiadkową dla pasażerów i towarów, punkt, w którym skrzydlate rakiety krótkiego zasięgu z Ziemi spotykały się z liniowcami kosmicznymi kursującymi między planetami. Dlatego znajdowały się tu zbiorniki paliwa, warsztaty mechaniczne, stanowiska remontowe zdolne do obsłużenia zarówno największych liniowców, jak i najmniejszych rakiet, a również wprawiony w ruch wirowy, wypełniony powietrzem pod normalnym ciśnieniem bęben — hotel „Goddard” — który zapewniał sztuczną grawitację oraz ziemską atmosferę dla pasażerów oraz stałego personelu Circum-Terra.

Hotel „Goddard” widoczny wyraźnie na jednym z boków Circum-Terra wyglądał jak koło od wozu sterczącego z kupy złomu. Piasta, wokół której się obracał, przebiegała prosto przez jego środek i sterczała w przestrzeń. To właśnie do niej statek dołączał swój przewód, gdy ludzie wsiadali na pokład lub zsiadali z niego. Następnie statek holowano do wrót ładunkowych mieszczących się w głównym, nie wirującym wokół osi korpusie stacji. Gdy *Szlak Chwały* wszedł w styczność z Circum-Terra, znajdowały się tam jeszcze trzy statki — *Walkiria*, którą Don Harvey miał polecieć na Marsa, *Nautilus*, świeżo przybyły z Wenus, którym sir Isaac miał zamiar powrócić do domu oraz *Wielki Przyptyw*, wahadłowiec na Lunę kursujący zamiennie z siostrzanym statkiem *Mały Przyptyw*.

Oba liniowce i wahadłowiec były już przycumowane do korpusu stacji. *Szlak Chwały* zaholowano do piasty hotelu, gdzie pasażerowie natychmiast zaczęli schodzić z pokładu. Don zaczekał na swoją kolejkę, po czym zszedł po uchwytych ciągnąc bagaż za sobą i po chwili znalazł się w hotelu. W cylindrycznej piastce „Goddarda” jednak również panowała nieważkość.

Mężczyzna ubrany w kombinezon skierował Dona wraz z tuzinem towarzyszących mu pasażerów do miejsca znajdującego się w połowie długości piasty, gdzie wielka winda blokowała dalsze przejście. Jej okrężne drzwi były otwarte.

Obracały się one bardzo powoli wokół osi wraz z wirującym korpusem hotelu.

— Wsiadajcie — rozkazał mężczyzna. — Pamiętajcie, żeby skierować stopy w stronę podłogi.

Don wsiadł razem z innymi i stwierdził, że od wewnątrz pojazd miał kształt sześcianu. Jedna ze ścian oznaczona była wielkimi literami: „PODŁOGA”. Don złapał się za uchwyt i ustawił się w takiej pozycji, by jego stopy znalazły się na podłodze, gdy pojawi się ciężar. Mężczyzna wszedł do środka i skierował urządzenie w stronę krawędzi.

Z początku Don nie czuł ciężaru, przynajmniej nie skierowanego w stronę „podłogi”. Zakręciło mu się w głowie, gdy zwiększony moment pędu poruszył płynem w jego uchu wewnętrznym. Wiedział, że jechał już tą windą w wieku jedenastu lat, gdy udawał się na Ziemię do szkoły, zapomniał już jednak o nieprzyjemnych tego aspektach.

Po chwili winda zatrzymała się, podłoga stała się prawdziwą podłogą, choć grawitacja była wyraźnie mniejsza od ziemskiej i nieprzyjemne wrażenie ustąpiło. Operator otworzył drzwi.

— Wszyscy wysiadać! — zawołał.

Don wszedł do wielkiego pomieszczenia wewnętrznego z bagażami w rękach. Tłoczyła się tam już więcej niż połowa pasażerów statku. Rozejrzał się w poszukiwaniu swego przyjaciela, smoka, lecz przypomniał sobie, że statek trzeba będzie odholować do wrót ładunkowych, zanim Wenusjanin będzie mógł wysiąść. Postawił torby na podłodze i usiadł na nich.

Tłum, z jakiegoś powodu, wydawał się zaniepokojony. Don usłyszał, jak pewna kobieta powiedziała.

— To niedorzeczność! Jesteśmy tu już przynajmniej pół godziny i nikt nie sprawia wrażenia, by zauważył naszą obecność.

— Cierpliwości, Martho — odpowiedział męski głos.

— Cierpliwości! Też coś! Jest stąd tylko jedno wyjście i to zamknięte. Co będzie, jak wybuchnie pożar?

— Ale, dokąd byś chciała uciekać, najdroższa? Na zewnątrz nie ma nic poza okropnie rzadką próżnią.

Pisnęła.

— Och! Trzeba było jechać na Bermudy, tak jak chciałam!

— Jak ty chciałaś?

— Nie bądź złośliwy!

Winda przywiozła następną grupę pasażerów, potem jeszcze jedną. Statek został opróżniony. Po długich minutach narzekania, podczas których nawet Don zaczął się zastanawiać nad jakością usług, otworzyły się jedyne drzwi oprócz tych prowadzących do windy. Zamiast pragnącego zadowolić gości hotelarza do środka weszło trzech mężczyzn w mundurach. Dwaj stojący po bokach trzymali u bioder pistolety używane do rozpędzania tłumu, zaś trzeci miał jedynie pistolet ręczny, schowany w kaburze. Stojący pośrodku mężczyzna wystąpił naprzód, stanął mocno na nogach i oparł pięści na biodrach.

— Uwaga! Wszyscy cisza!

Posłuchano go. W jego głosie brzmiał ton rozkazu, którego słucha się bez zastanowienia.

— Jestem sierżant szturmowy McMasters — ciągnął — z Wysokiej Straży Republiki Wenus. Mój dowódca kazał mi zaznajomić was z obecną sytuacją.

Nastąpił krótki moment ciszy, po którym rozległ się coraz głośniejszy pomruk zaskoczenia, niepokoju, niedowierzania i oburzenia.

— Cicho tam! — wrzasnął sierżant. — Spokój. Nic się nikomu nie stanie — jeśli będziecie grzeczni. Republika przejęła kontrolę nad stacją — ciągnął. — Wszyscy muszą ją opuścić. Was, ziemniaków, przewiezie się natychmiast z powrotem na Ziemię. Ci z was, którzy wracają do domu, na Wenus, będą się mogli

tam udać, pod warunkiem, że przejdą przez naszą kontrolę lojalności. Teraz się podzielimy.

Tłusty, podenerwowany mężczyzna przepchnął się przez pozostałych.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, co pan mówi? „Republika Wenus”, dobre sobie! To piractwo!

— Wracaj do szeregu, grubasku.

— Nie możecie tego zrobić. Chcę rozmawiać z waszym dowódcą.

— Grubasku — powiedział powoli sierżant. — Wracaj, albo dostaniesz kopa w kałdun.

Mężczyzna oniemiał. Pośpiesznie skrył się w tłumie.

— Ci z was, którzy lecą na Wenus — ciągnął sierżant — mają się ustawić w kolejce do tych drzwi. Przygotujcie swoje dowody tożsamości i świadectwa urodzenia.

Pasażerowie, którzy do tej pory stanowili zaprzyjaźnioną grupę towarzyszy podróży, podzielili się na wrogie obozy. Ktoś krzyknął.

— Niech żyje Republika! — po czym rozległ się miękki odgłos pięści uderzającej w ciało. Jeden ze strażników pognął w tamtą stronę i powstrzymał bijatykę w zarodku. Sierżant wyciągnął pistolet i powiedział znudzonym głosem.

— Proszę bez polityki. Weźmy się do roboty.

W jakiś sposób ustawiła się kolejka. Drugim w niej był mężczyzna, który wydał okrzyk na cześć nowego państwa. Z jego nosa kapłała krew, lecz oczy mu lśniły. Pokazując sierżantowi dokumenty stwierdził.

— To wielki dzień! Czekałem na to całe życie.

— A kto nie czekał? — odparł sierżant. — Dobra, formalności za tymi drzwiami. Następny!

Don z wysiłkiem próbował się uspokoić i uporządkować wirujące mu w głowie myśli. Musiał w końcu przyznać, że to naprawdę była wojna, ta wojna, która — jak sobie powtarzał — była niemożliwa. Jak dotąd nie zbombardowano żadnych miast, był to jednak Fort Sumter nowej wojny. Don był na tyle inteligentny, by to zrozumieć. Nie trzeba mu było grozić kopem w kałdun, by dostrzegł, co się dzieje przed jego oczyma.

Zdał sobie z nerwowym wstrząsem sprawę, że zdążył w ostatniej chwili. *Wal-kiria* mogła być ostatnim statkiem na Marsa przez długi, długi czas. Przez całe lata, skoro stacja przesiadkowa znalazła się w rękach rebeliantów.

Sierżant nie mówił jak dotąd nic o pasażerach na Marsa. Don powiedział sobie, że jego pierwsze wysiłki muszą być rzecz jasna skierowane na rozdzielenie obywateli obu walczących stron. Postanowił, że najlepiej będzie trzymać usta zamknięte i czekać.

W kolejce nastąpiła przerwa. Don usłyszał, jak sierżant powiedział.

— To nie ten rząd, koleś. Wracasz na Ziemię.

Mężczyzna, do którego mówił, odparł.

— Nie, nie! Proszę spojrzeć na moje dokumenty. Emigruję na Wenus.

— Troszkę za późno na emigrację. Sytuacja się zmieniła.

— No i co? Jasne. Wiem, że się zmieniła. Opowiadam się po stronie Wenus. Sierżant podrapał się w głowę.

— Tego nie mamy w przepisach. Atkinson! Przekaż tego faceta wyżej. Niech porucznik się nad tym pogłowi.

Gdy sierżant skompletował już grupę udającą się na Wenus, podszedł do zawieszzonego na ścianie telefonu, przekazującego jedynie dźwięk.

— Jim? Mówi Mac, że żłobka. Czy wysadzili już tego smoka? Nie? No więc, poinformuj mnie, kiedy *Szlak* wróci na miejsce. Chcę ich załadować.

Zwrócił się do tłumu.

— No dobra, ziemniaki. Mamy drobne opóźnienie, przeprowadzę was więc do drugiego pokoju, zanim będziemy mogli wysłać was na Ziemię.

— Chwileczkę, sierżancie! — zawołał jakiś mężczyzna.

— Hę? Czego pan chce?

— Gdzie mają czekać pasażerowie na Lunę?

— Hę? Loty zawieszono. Wracacie na Ziemię.

— Sierżancie, niech pan będzie rozsądny. Nic mnie nie obchodzi polityka. Nie dbam o to, kto zarządza tą stacją. Mam interes do załatwienia na Księżycu. Jest niezbędne, żebym tam dotarł. Zwłoka będzie kosztować miliony!

Sierżant wbił w niego wzrok.

— No, czy to nie pech! Wiesz co, brachu, nigdy w życiu nie miałem na raz nawet tysiąca. Sarna myśl o milionowych stratach mnie przeraża — nagle zmienił ton. — Ty baranie, czy zastanowiłeś się, co może zrobić jedna bomba z dachem Tycho City? Teraz wszyscy do kolejki. — Podwójny rząd.

Don słuchał tego wszystkiego z niepokojem. Sierżant w dalszym ciągu nie powiedział ani słowa o Marsie. Stał w kolejce, ale na samym jej końcu. Gdy dotarł do drzwi, zatrzymał się.

— Ruszaj naprzód, chłopcze — powiedział sierżant.

— Nie wracam na Ziemię — odparł Don.

— Hę?

— Lecę na Marsa. *Walkirią*.

— Aha. Rozumiem. Chciałeś powiedzieć, że leciałeś. Teraz wracasz na Ziemię *Szlakiem Chwały*.

— Niech pan posłucha — ciągnął z uporem Don. — Muszę dostać się na Marsa. Tam są moi rodzice. Czekają na mnie.

Sierżant potrząsnął głową. — Przykro mi z tego powodu, chłopcze. Naprawdę. *Walkiria* nie leci na Marsa.

— Co?

— Zarekwirowano ją na krążownik Wysokiej Straży. Leci na Wenus. Myślę, że chyba lepiej będzie jak wrócisz na Ziemię. Przykro mi, że nie będziesz się mógł spotkać z rodzicami, ale wojna to wojna.

Don zaczerpnął powoli tchu. Zmusił się do policzenia do dziesięciu.

— Nie wracam na Ziemię. Zaczekam tutaj na statek na Marsa.

Sierżant westchnął.

— Jeśli tak zrobisz, będziesz się musiał złapać jakiejś gwiazdy.

— Hę? Co pan mówi?

— Dlatego — odparł powoli sierżant — że w kilka minut po naszym odlocie nie zostanie w tej okolicy nic poza ładną, sympatyczną radioaktywną chmurą. Czy chcesz zagrać główną rolę w liczniku Geigera?

Znak na niebie

Don nie zdołał odpowiedzieć. Jego małpi przodkowie, w każdej chwili osaczeni niebezpieczeństwami mogli przyjąć to ze spokojem, lecz wygodne życie Dona nie przygotowało go na takie powtarzające się ciosy.

— Lepiej więc polec na *Szlaku Chwały*, chłopcze — ciągnął sierżant. — Tego chcieliby twoi rodzice. Wracaj i znajdź sobie jakieś miłe miejsce na wsi. Miasta mogą przez jakiś czas być niezdrowe.

— Nie wracam na Ziemię! — odparł wreszcie Don. — Tam nie ma dla mnie miejsca. Nie pochodzę z Ziemi.

— Hę? Jakie masz obywatelstwo? Co prawda to nieważne. Każdy, kto nie jest obywatelem Wenus wraca na *Szlaku Chwały*.

— Jestem obywatelem Federacji — odparł Don. — Ale mogę rościć pretensje do obywatelstwa Wenus.

— Akcje Federacji — odrzekł sierżant — spadły ostatnio gwałtownie. O co chodzi z tym obywatelstwem Wenus? Skończ tę gadkę i pokaż mi dokumenty.

Don wręczył mu je. Sierżant McMasters spojrzął najpierw na świadectwo urodzenia. Potem przyjrzał się dokumentowi dokładnie.

— Urodzony w stanie nieważkości! Niech się stanę zezowatym pilotem! Posłuchaj, nie ma wielu takich jak ty, prawda?

— Myślę, że nie.

— Kim więc jesteś?

— Niech pan przeczyta wszystko. Moja matka urodziła się na Wenus. Jestem po niej rodowitym Wenusjaninem.

— Ale twój tata urodził się na Ziemi.

— Jestem też rodowitym Ziemianinem.

— Hę? To głupie.

— Tak mówi prawo.

— Wkrótce wprowadzimy nowe prawa. Nie wiem, gdzie mam ciebie wpasować. Posłuchaj, dokąd chcesz lecieć, na Wenus, czy na Ziemię?

— Lecę na Marsa — odparł po prostu Don. Sierżant spojrzął na niego i wręczył mu dokumenty.

— To nie na mój łeb. Nie mogę też wycisnąć z ciebie nic sensownego. Przekażę tę sprawę wyżej. Chodź ze mną.

Poprowadził Dona wzdłuż korytarza do małego pomieszczenia, z którego zrobiono kancelarię. Było tam dwóch innych żołnierzy. Jeden z nich pisał na maszynie, a drugi po prostu sobie siedział. Sierżant wsadził głowę do środka i powiedział do tego, który się obijał.

— Hej, Mike, miej oko na tego typka. Uważaj, żeby nie ukradł stacji — zwrócił się z powrotem do Dona. — Daj mi z powrotem te dokumenty, chłopcze — zabrał je i zniknął.

Żołnierz imieniem Mike spojrzał na Dona, po czym przestał zwracać na niego uwagę. Don postawił bagaże na podłodze i usiadł na nich.

Po kilku minutach powrócił sierżant McMasters, zignorował jednak chłopca.

— Kto ma karty? — zapytał.

— Ja mam.

— Nie twoje, Mike. Gdzie są uczciwe karty?

Trzeci z żołnierzy zamknął maszynę, sięgnął ręką do szuflady i wydobyl z niej talię kart. Cała trójka usiadła za biurkiem i McMasters zaczął tasować. Zwrócił się w stronę Dona.

— Zagrasz partyjkę, chłopcze?

— Hmm, raczej nie.

— Taniej się nie nauczysz.

Żołnierze grali przez jakieś pół godziny. Don siedział cicho, pogrążony w myślach. Zmusił się do tego, by uwierzyć, że sierżant wie, co mówi. Nie mógł polecieć na Marsa *Walkirią* ponieważ *Walkiria* się tam nie udawała. Nie mógł też poczekać na następny statek, ponieważ stacja — ten pokój, w którym siedział — miała być zniszczona.

Co więc zostało? Ziemia? Nie! Nie miał tam krewnych, nikogo bliskiego, do kogo mógłby się zwrócić. Ponieważ doktor Jefferson nie żył, bądź zaginął, nie miał żadnych dorosłych przyjaciół. Być może mógłby wrócić na rancho z podwiniętym ogonem. . .

Nie! Wyrósł już z tego wcielenia. Zrzucił tę skórę. Szkoła na ranchu nie była już miejscem dla niego.

Głęboko wewnątrz krył się inny, mocniejszy powód: policja bezpieczeństwa z Nowego Chicago uczyniła z niego obcego. Nie chciał wracać na Ziemię, ponieważ nie była już ona jego planetą.

Z dwojga złego — powiedział sobie — lepiej wybrać Wenus. Mogę tam znaleźć ludzi, których niegdyś znałem, albo którzy znali tatę i mamę. Coś wykombinuję, żeby znaleźć sposób na dotarcie na Marsa. Tak będzie najlepiej. Podjąwszy decyzję, poczuł się niemal zadowolony.

Odezwał się telefon.

— Sierżant McMasters! — sierżant rzucił karty i podszedł do telefonu, włączając pole osłaniające. Po chwili odłożył słuchawkę i zwrócił się w stronę Dona.

— No więc, chłopcze, nasz stary określił twój status. Jesteś uchodźcą.

— He?

— Zostałeś na lodzie, gdy Wenus stała się niezależną republiką. Nie masz żadnego obywatelstwa, dlatego stary powiedział, żebyśmy cię wysłali tam, skąd przyleciałeś... z powrotem na Ziemię.

Don wstał. Wyprostował ramiona.

— Nie zgadzam się.

— Nie zgadzasz, co? — zapytał łagodnym tonem McMasters. — W takim razie usiądź sobie wygodnie. W odpowiedniej chwili zawlecemy cię gdzie trzeba.

Zaczął ponownie rozdawać karty. Don nie usiadł.

— Proszę posłuchać. Zmieniłem zdanie. Jeśli nie mogę się dostać na Marsa, polecę na Wenus.

McMasters przerwał rozdawanie i odwrócił się.

— Kiedy komandor Higgins rozstrzyga jakąś sprawę, to jest ona rozstrzygnięta. Mike, weź tę primadonnę i zamknij ją z resztą ziemniaków.

— Ale...

Mike wstał.

— Chodź ze mną.

Dona wepchnięto do pomieszczenia pełnego urażonych uczuć. Z Ziemianami nie było żadnych strażników ani kolonistów, wyrażali więc swobodnie opinię na temat wypadków.

— ...skandal! Powinniśmy zbombardować wszystkie ich osady, zrównać je z ziemią! — Uważam, że powinniśmy wysłać przedstawicieli do ich dowódcy i oznajmić mu stanowczo... — Mówiłam, że nie powinniśmy tu lecieć! — Negocjacje? To oznaka słabości. — Czy nie rozumiesz, że wojna już się skończyła? Człowieku, to nie jest tylko stacja przesiadkowa. To główny ośrodek kontroli pocisków balistycznych. Mogą stąd zbombardować wszystkie miasta na Ziemi, jakby strzelali do kaczek!

Don zwrócił uwagę na tę ostatnią wypowiedź. Przemyślał ją dokładnie. Pozwolił, by zapadła w jego umysł. Nie był przyzwyczajony do rozumowania w kategoriach taktyki wojennej. Do tej chwili nie dotarło do niego, jakie znaczenie miał atak na Circum-Terra. Myślał o nim jedynie jako o przeszkodzie w swych osobistych planach.

Czy naprawdę posunęliby się tak daleko? Zbombardowali miasta Federacji, starli je z mapy? Jasne, koloniści mieli masę powodów, by czuć się pokrzywdzonymi, ale... Rzecz jasna kiedyś się to już zdarzyło, ale to była historia. W dzisiejszych czasach ludzie byli bardziej cywilizowani. Prawda?

— Harvey! Donald Harvey!

Wszyscy zwrócili się w stronę wejścia. Stał tam wenus-jański żołnierz, wołający go po nazwisku.

— Jestem — odparł Don.

— Chodź ze mną.

Zabrał bagaże i podążył za żołnierzem do korytarza. Zaczekał, aż ten zamknie drzwi.

— Dokąd mnie pan zabiera?

— Dowódca chce się z tobą widzieć — spojrzał na bagaże Dona. — Nie musisz ciągnąć tego ze sobą.

— Hmm, chyba lepiej, żebym je miał pod ręką.

— Jak chcesz. Tylko nie wnoś ich do gabinetu dowódcy.

Sprowadził Dona dwa pokłady w dół, gdzie „grawitacja” była wyraźnie silniejsza. Zatrzymał się przed drzwiami, pod którymi stał wartownik.

— To jest ten gość, po którego wysłał stary — Harvey.

— Właź do środka.

Don usłuchał polecenia. Pokój był wielki i pełen ozdób. Był to gabinet kierownika hotelu. Teraz zajmował go człowiek w mundurze. Był jeszcze młody, choć włosy miał przyprószone siwizną. Gdy Don wszedł, mężczyzna podniósł wzrok. Chłopiec pomyślał, że spojrzenie ma czujne, lecz zmęczone.

— Donald Harvey?

— Tak jest.

Don pokazał dokumenty. Dowódca odsunął je ruchem ręki.

— Już je widziałem. Harvey, przyprawiasz mnie o ból głowy. Już raz załatwiłem twoją sprawę.

Don nie odpowiedział.

— Teraz wygląda na to, że muszę ją rozpatryć ponownie — ciągnął mężczyzna. — Czy znasz Wenusjanina imieniem. . . — oficer zagwizdał.

— Trochę — odrzekł Don. — Dzieliliśmy ze sobą przedział na *Szlaku Chwały*.

— Hmm. . . zastanawiam się, czy zaplanowałeś to w ten sposób?

— Co? Jak mógłbym to zrobić?

— Można by to było załatwić. . . i nie byłby to pierwszy przypadek, gdy młodą osobę wykorzystano w charakterze szpiega.

Don zrobił się czerwony.

— Myśli pan, że jestem szpiegiem?

— Nie, to tylko jedna z możliwości, które muszę wziąć pod uwagę. Żaden dowódca wojskowy nie lubi, gdy wywierają na niego naciski polityczne, Harvey, wszyscy jednak muszą przed nimi ustępować. Ja ustąpiłem. Nie wracasz na Ziemię. Lecisz na Wenus — podniósł się z miejsca. — Ostrzegam cię jednak. Jeśli jesteś wtyką, wszystkie smoki na Wenus nie uratują twojej głowy — zwrócił się w stronę telefonu łączącego ze statkiem. Nacisnął klawisze i czekał. Po chwili

powiedział. — Przekaż mu, że jego przyjaciel tu jest i że zająłem się tą sprawą. Weź słuchawkę — powiedział, zwracając się w stronę Dona.

Po chwili chłopiec usłyszał ciepły głos mówiący cockneyem.

— Don, mój drogi chłopcze, jesteś tam?

— Tak, sir Isaac.

Smok wydał przenikliwy dźwięk, znamionujący ulgę.

— Kiedy zapytałem o ciebie, usłyszałem o niedorzecznym zamiarze wystania ciebie z powrotem do tego okropnego miejsca, które właśnie opuściliśmy. Powiedziałem im, że zaszła pomyłka. Obawiam się, że musiałem się zachować bardzo stanowczo. Kurczę!

— Wszystko już załatwione, sir Isaac. Dziękuję.

— Nie ma za co. Nadal jestem twoim dłużnikiem. Przyjdź mnie odwiedzić, gdy będzie to możliwe. Zrobisz to, prawda?

— No jasne!

— Dziękuję. Uszy do góry! Kurczę.

Don odwrócił się od telefonu i stwierdził, że dowódca oddziału specjalnego przygląda mu się z pytaniem w oczach.

— Czy wiesz, kim jest twój przyjaciel?

— Kim jest? — Don zagwizdał imię Wenusjanina, po czym dodał. — Używa nazwiska „sir Isaac Newton”.

— I to wszystko, co wiesz?

— Chyba tak.

— Hmm... — przerwał, po czym ciągnął. — Możesz się właściwie dowiedzieć, co wywarło na mnie wpływ. „Sir Isaac”, jak go nazywasz, wywodzi swój rodowód prosto od Pierwszego Jajka, umieszczonego w błocie Wenus w dniu stworzenia. Dlatego jestem na ciebie skazany. Ordynans!

Don pozwolił się wyprowadzić bez słowa. Niewielu Ziemian — jeśli w ogóle tacy byli — nawróciło się na panującą religię Wenus. Nie cechował jej prozelityzm. Nikt się jednak z niej nie śmieje. Wszyscy traktują ją poważnie. Ziemianin na Wenus może nie wierzyć w Boskie Jajko i wszystko, co się z tym wiąże, lecz znacznie korzystniej — i bezpieczniej — dla niego jest mówić o nim z szacunkiem.

Sir Isaac Dzieckiem Jajka! Don czuł pełen nieśmiałości podziw, który ogarnia nawet najbardziej zagorzałego demokrate, gdy po raz pierwszy spotyka on członka rodziny królewskiej. A on rozmawiał z nim jak gdyby był to zwykły stary smok, powiedzmy taki, który sprzedaje jarzyny na targu miejskim.

Po chwili zaczął spoglądać na to w bardziej praktyczny sposób. Jeśli ktokolwiek mógł załatwić sposób na to, by mógł się dostać na Marsa, to sir Isaac był zapewne odpowiednim kandydatem. Przemyślał to dokładnie. Jeszcze wróci do domu!

* * *

Jednakże Don nie znalazł okazji na spotkanie ze swym wenusjańskim przyjacielem. Zaprowadzono go do *Nautilusa* wraz z udającymi się na Wenus pasażerami ze *Szlaku Chwały* oraz garstką techników z Circum-Terra, którzy opowiedzieli się po stronie Wenus, a nie Ziemi. W chwili, gdy dowiedział się, że sir Isaaca przetransportowano na *Walkirie* było już za późno, by coś w tej sprawie zrobić.

Flagę dowódcy oddziału specjalnego, wielkiego komandora Higginsa, przeniesiono z Circum-Terra z powrotem na *Nautilusa* i natychmiast przystąpił on do wykonania reszty planu. Szturm na Circum-Terra przeprowadzono niemal bez rozlewu krwi, opierając się na zaskoczeniu i precyzyjnym zgraniu akcji. Teraz trzeba było wykonać pozostałą część operacji, zanim na Ziemi zauważą zakłócenia w rozkładzie lotów statków.

Nautilus i *Walkiria* były już przygotowane do długiej podróży. Z *Wielkiego Przyływu* zdjęto załogę, którą miano wysłać na Ziemię. Zastąpią ją ludzie wybrani spośród żołnierzy oddziału specjalnego. Zbiorniki statku napełniono paliwem i wyposażono go w zapasy niezbędne do dalekiego lotu. Choć skonstruowano go z myślą o krótkich podróżach na Lunę, był w pełni zdolny do odbycia lotu na Wenus. Podróże kosmiczne nie są kwestią odległości, lecz poziomów potencjału grawitacyjnego. Lot z Circum-Terra na Wenus wymagał zużycia mniejszej ilości energii niż straszliwe zadanie przebicia się przez pole grawitacyjne Ziemi w trakcie podróży z Nowego Chicago do Circum-Terra.

Wielki Przyływ poleciał po swobodnej, oszczędnej paraboli. Całą trasę na Wenus odbędzie w nieważkości. *Walkiria* wyruszyła po szybkiej, niemal płaskiej orbicie hiperbolicznej. Przybędzie na miejsce równie szybko, a może nawet szybciej niż *Nautilus*, który miał wyruszyć jako ostatni, ponieważ wielkiemu komandorowi Higginsowi pozostało do wykonania jeszcze jedno zadanie, zanim zniszczy stację. Zamierzał nadać transmisję telewizyjną za pośrednictwem sieci globalnej.

Wszystkie przekazy globalne nadawane były z ośrodka komunikacyjnego Circum-Terra bądź przekazywane za jego pośrednictwem. Od chwili, gdy *Nautilus* dotarł do stacji jako kosmiczny koń trojański, pozwolono, by płynęły one bez przeszkód. Oficer sztabu komandora o kryptonimie G-6 (propaganda i wojna psychologiczna) wybrał na czas ogłoszenia oświadczenia o ataku chwilę, w której zwykle nadawano program „Mówi Steve Brodie”. Steve Brodie był najpopularniejszym komentatorem telewizyjnym na Ziemi. Jego program nadawano zaraz po nadzwyczaj popularnym serialu „Rodzina Kallikaków”, co dodatkowo zwiększało oglądalność.

Pozwolono wreszcie, by *Szlak Chwały* wystartował w kierunku Ziemi, zabierając wszystkich uchodźców. Uszkodzono jednak nadajniki radiowe statku. *Nautilus* czekał w kosmosie, w odległości stu mil, zawieszony na orbicie parkingo-

wej. Wewnątrz stacji kosmicznej, w której nie było już nikogo żywego, ośrodek telewizyjny kontynuował swą działalność bez obsługi. Przemowę komandora nagrano wcześniej, a taśmę wprowadzono do sterownika. Miano ją nadać, gdy tylko skończy się tasiemiec.

Don obserwował to z sali wypoczynkowej liniowca wraz z mniej więcej setką innych cywilów. Wszystkie oczy zwrócone były na wielki odbiornik telewizyjny, ustawiony w końcu pomieszczenia. Wiązka kontrolna, nastawiona specjalnie w tym celu, przenosiła transmisję z Circum-Terra do *Nautilusa* i radiooperatorzy przekazywali ją na cały statek, by mogli ją obejrzeć i usłyszeć pasażerowie oraz załoga.

W momencie, gdy skończył się dzisiejszy odcinek, Celeste Kallikak była zatrzymana jako podejrzana o zamordowanie męża, Buddy Kallikak nadal przebywał w szpitalu i spodziewano się, że nie wyżyje, taty Kallikaka wciąż nie można było odnaleźć, zaś sama mama Kallikak była podejrzana o podrobienie kartek żywnościowych, stawiała jednak śmiało temu wszystkiemu czoła, pocieszana wiedzą, że tylko dobrzy umierają młodo. Po zwykłej wstawce reklamowej („Jedynne mydło z gwarantowaną zawartością witamin zapewnia większą żywotność!!”) w zbiorniku pojawił się znak firmowy Steve’a Brodiego — ślad lotu rakiety obrazujący rysy jego twarzy. Zagrzemiał głos. — Stevie Brodie przynosi wam jutrzejsze wiadomości DZISIAJ!

Nagle program został przerwany. Zbiornik był pusty. Rozległ się głos mówiący.

— Przerwywamy program, by nadać komunikat specjalny.

Zbiornik wypełnił się ponownie. Tym razem widniała w nim twarz komandora Higginsa.

Brak było na niej syntetycznego uśmiechu obowiązującego wszystkich, którzy występują w programach telewizyjnych. Zarówno z jego zachowania, jak i z rysów twarzy biła surowość.

— Jestem wielki komandor Higgins, dowódca oddziału specjalnego „Wyzwolenie” Wysokiej Straży Republiki Wenus. Straż opanowała satelitę Ziemi Circum-Terra. Wszystkie miasta Ziemi są teraz całkowicie zdane na naszą łaskę — przerwał, by jego słowa dotarły do słuchaczy. Don zastanowił się nad tym. Nie spodobała mu się ta myśl. Wszyscy wiedzieli, że na Circum-Terra znajdowała się wystarczająca liczba rakiet wyposażonych w bomby atomowe, by rozbić każdą siłę, czy grupę sił, która mogłaby przeciwstawić się Federacji. Dokładna liczba bomb przenoszonych przez rakiety była tajemnicą wojskową. Oceniano ją różnie — od dwustu do tysiąca. Między cywilami na pokładzie *Nautilusa* rozeszła się plotka głosząca, że Straż znalazła siedemset trzydzieści dwie bomby gotowe do użytku oraz części pozwalającej na wyprodukowanie jeszcze wielu, a także ilość seuteru i trytu wystarczającą do zbudowania około dwunastu bomb piekielnych.

Bez względu na to, czy plotka ta była prawdziwa, na Circum-Terra z pewnością znajdowało się wystarczająco wiele bomb, by zamienić Ziemią Federację w radioaktywną rzeźnię. Niewątpliwie znaczna część mieszkańców ocaleje, biorąc pod uwagę, że tak wielkie fragmenty miast znajdowały się pod ziemią, ponieważ jednak każde zbombardowane miasto trzeba będzie opuścić, efekt militarny będzie ten sam. Ponadto wielu ludzi zginie. Ilu? Czterdzieści milionów? Pięćdziesiąt? Don nie wiedział.

— Okażemy jednak litość — ciągnął komandor. — Powstrzymamy się od zbombardowania ziemskich miast. Wolni obywatele Republiki Wenus nie chcą dokonać rzezi swoich kuzynów, którzy pozostają na Terrze. Naszym jedynym celem jest zdobycie niezależności, prawa do kierowania własnymi sprawami, zrzućenie okrutnego jarzma nieobecnych właścicieli oraz uwolnienie się od podatków bez prawa do reprezentacji, które doprowadziły nas do nędzy. Czyniąc to, deklarując się jako wolni ludzie, wzywamy wszystkie uciśnione i wyzyskiwane narody, by podążyły za naszym przykładem i przyjęły naszą pomoc. Spójrzcie w górę, na niebo! Nad waszymi głowami unosi się stacja, z której teraz do was przemawiam. Spasieni i głupi władcy Federacji uczynili z Circum-Terra bicz nadzorczy. Groźba, jaką stanowiła ta baza wojskowa na niebie, broniła ich imperium przed sprawiedliwym gniewem jego ofiar przez ponad stulecie. Teraz ją zniszczymy. W ciągu kilku minut ten skandal na czystym niebie, ten pistolet wymierzony w głowy ludzi na całej waszej planecie przestanie istnieć. Wyjdźcie przed drzwi. Obserwujcie niebo. Ujrzycie, jak nowe słońce rozbłyśnie na chwilę, i wiedźcie, że jego blask to światło wolności zapraszające całą Ziemię, by się wyzwoliła. Ujarmione narody Ziemi, my wolni obywatele wolnej Republiki Wenus pozdrawiamy was tym salutem!

Komandor wciąż siedział bez ruchu, patrząc prosto w oczy ogromnej liczbie swych słuchaczy, gdy po jego słowach rozległy się podnoszące na duchu nuty „Jutrzenki nadziei”. Don nie znał hymnu nowego państwa, nie mógł jednak nie odczuć obietnicy zawartej w jego rytmie.

Nagle odbiornik zgasł. W tej samej chwili nastąpił błysk tak jasny, że przebił się przez zamknięte luki, dręcząc nerw wzrokowy. Don nie przestał jeszcze potrząsać głową pod jego wpływem, gdy z głośników statku rozległy się słowa.

— Można odsłonić!

Młodszy oficer wyznaczony do obsługi luku przedziału odsuwał już za pomocą korby zasłaniającą widok metalową tarczę. Don podszedł bliżej, by się przyrzec.

Drugie słońce grzało białym blaskiem, powiększając się wyraźnie, gdy na nie patrzył. To co na Ziemi utworzyłoby — tak wiele straszliwych razy faktycznie utworzyło — wzbijającą się ku górze chmurę w kształcie grzyba, tu, w otwartej przestrzeni, miało kształt doskonałej geometrycznej kuli, która rosła w niewiarygodny sposób. Rozdymała się coraz bardziej, przechodząc z bieli światła wapien-

nego do srebrzystego fioletu, na którym pojawiły się plamy purpury, czerwieni i koloru ognia. Obłok nie przestawał rosnąć, aż wreszcie przesłonił znajdującą się za nim Ziemię.

W chwili przekształcenia się w radioaktywny obłok kosmiczny Circum-Terra przechodziła nad Północnym Atlantykiem, czy naprzeciw niego. Spuchnięty, żarzący się obłok widoczny był z większości zamieszkałych terenów globu — płonący symbol na niebie.

Objazd

Natychmiast po zniszczeniu Circum-Terra zawyły syreny ostrzegawcze statku. Głośniki ryknęły, wzywając całą załogę na stanowiska przyśpieszeniowe. *Nautilus* odleciał, wchodząc na orbitę, która będzie jego długą trasą na Wenus. Gdy nabrał już prędkości i wprawiono go w ruch wirowy, by zapewnić załodze oparcie dla nóg, które sterownia chroniła przed wpływem silników, Don odpiął pasy i pognął do pomieszczenia radiooperatora. Dwukrotnie musiał spierać się ze strażnikami, by go przepuścili.

Napotkał otwarte drzwi. Wszyscy wewnątrz byli zajęci i nie zwracali na niego uwagi. Zawahał się, po czym wszedł do środka. Ktoś wyciągnął rękę i złapał go za kark.

— Hej! Gdzie, do diaska, idziesz?

— Chciałem wysłać radiogram — odparł Don pokornym tonem.

— Radiogram, co? Co o tym myślisz, Charlie? — zapytał trzymający go człowiek żołnierza pochylonego nad urządzeniem.

Tamten podniósł do góry jedną ze słuchawek.

— To na pewno sabotażysta. Pewnie ma w kieszeni bombę atomową.

Z wewnętrznego pomieszczenia wyszedł oficer.

— Co tu się dzieje?

— Zakradł się tu. Mówi, że chce wysłać radiogram.

Oficer obejrzał Dona od stóp do głów.

— Przykro mi. Nic z tego. Cisza radiowa. Żadnych rozmów.

— Ale — zawołał z rozpaczą Don — ja muszę go wysłać.

Wyjaśnił szybko swą sytuację.

— Muszę ich powiadomić, gdzie jestem, proszę pana.

Oficer potrząsnął głową.

— Nie moglibyśmy połączyć się z Marsem, nawet gdybyśmy nie byli w ciszy radiowej.

— Nie, ale mógłby się pan połączyć z Luną, a oni przekazaliby wiadomość na Marsa.

— Tak, myślę, że to możliwe, ale nie zrobimy tego. Posłuchaj, młody człowieku, przykro mi z powodu twoich kłopotów, ale nie ma żadnej, po prostu żadnej

możliwości, by dowódca pozwolił na złamanie ciszy z jakiegokolwiek powodu, nawet znacznie ważniejszego niż twój. Bezpieczeństwo statku przede wszystkim.

Don zastanowił się nad tym.

— Zresztą nie martwiłbym się za bardzo. Twoi rodzice dowiedzą się, gdzie jesteś.

— Tak myślę — zgodził się z żalem w głosie.

— He? Nie widzę sposobu. Myślą, że lecę na Marsa.

— Nie — a przynajmniej wkrótce się dowiedzą, że tak nie jest. To, co się stało, nie jest już tajemnicą. Wie o tym cały układ. Mogą się dowiedzieć, że dotarłeś do Cicrum-Terra, a również, że nie wróciłeś na *Szlaku Chwały*. Drogą eliminacji musisz lecieć na Wenus. Wyobrażam sobie, że już teraz pytają o ciebie w „Liniach Międzyplanetarnych”.

Oficer odwrócił się i powiedział.

— Wilkins, wymaluj na drzwiach znak mówiący: „Cisza radiowa — żadnych radiogramów”. Nie chcemy, żeby przyłąził tu każdy cywil ze statku, by wysłać pozdrowienia dla cioci.

* * *

Dona zakwaterowano w przedziale trzeciej klasy wraz z trzema tuzinami mężczyzn i kilkoma chłopcami. Część z pasażerów, którzy opłacili wyższą klasę, skarżyła się na to. Sam Don miał wykupiony bilet pierwszej klasy — na *Walkirię* i na Marsa — ucieszył się jednak, że nie był na tyle głupi, by zgłaszać obiekcje, gdy ujrzał, jak skarżący się wrócili z podwiniętymi ogonami. Przedziały pierwszej klasy, mieszczące się z przodu, zajmowała Wysoka Straż.

Jego leżanka była wystarczająco wygodna, a podróż kosmiczna, zawsze nudna, jest nieco bardziej interesująca w pełnym hałasie i plotek wspólnym pomieszczeniu niż w ciszy jednoosobowego przedziału pierwszej klasy. Podczas pierwszego tygodnia podróży lekarz okrętowy oznajmił, że każdy, kto sobie tego życzy, może skorzystać z hibernacji. Po upływie dnia czy dwóch pomieszczenie stało się w połowie puste. Brakujących pasażerów poddano narkozie, oziębiono i umieszczono w zbiornikach snu znajdujących się na rufie, gdzie mogli przespać długie tygodnie oczekującej ich podróży.

Don nie skorzystał z hibernacji. Wysłuchał toczony w pomieszczeniu pełnej półprawd dyskusji na temat tego, czy czas spędzony w hibernacji wlicza się do długości życia.

— Spójrzmy na to tak — przemówił tonem wyroczni jeden z pasażerów. — Masz przewidziany okres życia, zgadza się? To jest wbudowane w twoje geny? Jeśli nie padniesz ofiarą wypadku, będziesz żyć dokładnie tyle. Jeśli jednak włożą cię do lodówki, funkcje twojego ciała stają się wolniejsze. Twój zegar się zatrzymuje, że tak powiem. Ten czas się nie liczy. Jeśli twój przewidziany okres życia

wynosił osiemdziesiąt lat, to teraz będzie to osiemdziesiąt lat i trzy miesiące, czy ile tam. Ja skorzystam z hibernacji.

— Nie mógłbyś mylić się mocniej — odpowiedziano mu. — Chciałem powiedzieć „bardziej”. W ten sposób po prostu utniesz trzy miesiące ze swego życia. To nie dla mnie!

— Zwariowałeś. Ja wybieram hibernację.

— Jak sobie chcesz. I jeszcze jedno — pasażer sprzeciwiający się hibernacji pochylił się do przodu i powiedział konfidencjonalnym szeptem, tak że mogła go słyszeć jedynie cała sala. — Mówią, że te chłopaki z epoletami siedzące z przodu statku przesłuchują tych, których poddają hibernacji. Wiesz dlaczego? Dlatego, że komandor uważa, że na Circum-Terra na pokład zakradli się szpiedzy.

Dona nie obchodziło, który z nich ma rację. Był zbyt pełen życia, by pociągała go myśl o poddaniu się dobrowolnej, tymczasowej „śmierci” po to tylko, by zaoszczędzić sobie długiej, nudnej podróży. Niemniej ta ostatnia uwaga zdumiała go. Szpiedzy? Czy było możliwe, by IBI miało swych agentów pod samym nosem Wysokiej Straży? Co prawda mówiono, że IBI może wśliznąć się wszędzie. Przyjrzał się swym pasażerom, zastanawiając się, który z nich może posługiwać się fałszywą tożsamością.

Przestał sobie zaprzęcać tym głowę, gdyż IBI przynajmniej nie było już zainteresowane nim.

Gdyby Don nie wiedział, że znajduje się na pokładzie *Nautilusa lecącego* na Wenus, mógłby sobie wyobrazić, że jest na *Walkirii* udającej się na Marsa. Oba statki należały do tej samej klasy, a jeden kawałek pustej przestrzeni wygląda tak samo jak inny. Słońce co dzień stawało się odrobinę większe, a nie mniejsze, lecz na Słońce nie patrzy się bezpośrednio, nawet z Marsa. Rozkład dnia na statku — jak na każdym liniowcu kosmicznym — był ułożony według czasu Greenwich. Śniadanie podawano na początku rannej wachty, w „południe” informowano o położeniu statku, a na „noc” przygaszano światła.

Nawet obecność żołnierzy nie rzucała się w oczy. Trzymali się oni swych kwater na dziobie, gdzie cywilów nie wpuszczano, chyba że mieli coś do załatwienia. Nadszedł już czterdziesty drugi dzień podróży, zanim Don miał powód, by się tam udać — chciał, by opatrzone mu w izbie chorych skaleczony palec. Gdy szedł w stronę rufy poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu. Odwrócił się.

Rozpoznał sierżanta McMastersa. Nosił on gwiazdę szefa żandarmerii, okrętowego policjanta.

— Dlaczego się tu czaisz? — zapytał.

Don uniósł w górę swój uszkodzony palec.

— Nie czaję się. Chciałem, żeby mi to opatrzone.

McMasters spojrzął na palec.

— Zmiażdżyłeś go sobie, co? No dobra, trafiłeś do złego korytarza. Ten prowadzi do składu bomb, nie do kwater pasażerskich. Hej, widziałem cię już kiedyś, prawda?

— Jasne.

— Pamiętam. Ty jesteś ten chłopak, który myślał, że leci na Marsa.

— Nadal tam lecę.

— Tak? Wydaje mi się, że wybrałeś okrężną drogę. Co najmniej sto milionów mil dłuższą. Skoro już mowa o okrężnej drodze, nie wyjaśniłeś mi, dlaczego złapałem cię, gdy szedłeś w stronę składu bomb.

Don poczuł, że się czerwieni.

— Nie wiem, gdzie jest skład bomb. Jeśli trafiłem do złego korytarza, niech mi pan pokaże właściwy.

— Chodź ze mną — sierżant powiodł go dwa pokłady w dół, gdzie ruch wirowy statku czynił ich nieco cięższymi i wprowadził go do gabinetu. — Usiądź. Oficer dyżurny zaraz przyjdzie.

Don nie usiadł.

— Nie chcę się widzieć z oficerem dyżurnym. Chcę wrócić do swego przedziału.

— Powiedziałem, usiądź. Pamiętam twoją sprawę. Może po prostu zabłądziłeś, ale możliwe też, że celowo skręciłeś nie w ten korytarz.

Don zapanował nad swym rozdrażnieniem i usiadł.

— Bez obrazy — powiedział McMasters. — Co powiesz na dawkę rozpuszczalnej?

Podszedł do podgrzewacza do kawy i napełnił dwie filiżanki.

Don zawahał się, po czym przyjął kubek. To była wenusjańska kawa, czarna, gorzka i bardzo mocna. Don stwierdził, że zaczyna lubić McMastersa. Sierżant wypił łyk kawy, skrzywił twarz i powiedział.

— Jesteś w czepku urodzony. Powinieneś już być trupem.

— Hę?

— Miałeś lecieć na *Szlaku Chwały*, zgadza się. I co powiesz?

— Nie rozumiem.

— Czy na rufę nie dochodzą wieści? *Szlak* nie dotarł do portu.

— Co? Rozbił się?

— Bynajmniej! Ziemiaki z Federacji dały się ponieść nerwom i zestrzeliły go. Nie mogli nawiązać łączności radiowej, więc pewnie doszli do wniosku, że to pułapka. Tak czy inaczej, zestrzelili go.

— Och...

— Dlatego właśnie jesteś w czepku urodzony, biorąc pod uwagę, że miałeś wrócić nim na Ziemię.

— Nie miałem. Lecę na Marsa.

McMasters spojrział na niego, po czym roześmiał się.

— Chłopcze, masz naprawdę jednotorowy umysł! Jesteś nie lepszy od „wynocha”.

— Może tak jest, ale i tak lecę na Marsa.

Sierżant odstawił filiżankę.

— Dlaczego nie chcesz zmańdrzeć? Ta wojna potrwa może dziesięć albo piętnaście lat. Najprawdopodobniej przez cały ten czas nie będzie regularnych kursów na Marsa.

— No więc... jakoś tam dotrę. Ale dlaczego pan sądzi, że to będzie trwało tak długo?

McMasters przerwał, by zapalić papierosa.

— Uczyłeś się historii?

— Trochę.

— Pamiętasz, jak amerykańskie kolonie wyzwoliły się spod panowania Anglii? Ciągnęło się to osiem lat. Walczyli tylko od czasu do czasu. Anglia była wtedy tak silna, że powinna być w stanie załatwić się z koloniami przez jeden weekend. Dlaczego tak się nie stało?

Don nie wiedział.

— No więc — odparł McMasters — może nie jesteś znawcą historii, ale komandor Higgins nim jest. Zaplanował to uderzenie. Możesz go zapytać o każdą rebelię, jaka kiedykolwiek miała miejsce, a powie ci dlaczego zakończyła się sukcesem albo porażką. Anglia nie załatwiła się z koloniami, ponieważ była po uszy pogrążona w większych wojnach toczonych gdzie indziej. Amerykańska rebelia to była tylko „akcja policyjna”. Mało ważna. Anglia nie mogła jej poświęcić odpowiedniej uwagi, a po pewnym czasie sprawa stała się zbyt kosztowna i kłopotliwa, więc Anglia zrezygnowała z walki i uznała niepodległość kolonii.

— Sądzi pan, że teraz będzie tak samo?

— Tak — dlatego, że komandor Higgins ruszył sprawy we właściwym kierunku. Licząc na papierze Republika Wenus nie może odnieść zwycięstwa nad Federacją. Rozumiesz, jestem równie wielkim patriotą jak każdy, ale potrafię się pogodzić z faktami. Wenus nie ma nawet ułamka ludności Federacji i mniej niż jeden procent jej bogactwa. Nie może zwyciężyć, chyba że Federacja będzie zbyt zajęta, by toczyć walkę. Tak właśnie jest albo wkrótce będzie.

Don zastanowił się nad tym.

— Chyba jestem głupi.

— Czy nie zrozumiałeś znaczenia wysadzenia Circum-Terra? Po tym jednym ataku komandor miał Ziemię całkowicie na swojej łasce. Mógł zbombardować każde z miast Terry. Co by to jednak dało? Po prostu cała planeta byłaby na nas wściekła. W obecnej sytuacji dwie trzecie mieszkańców Ziemi trzyma za nas kciuki. A nawet więcej. Sami się ożywili i są gotowi do buntu, kiedy na niebie nie wisi już Circum-Terra, gotowa zbombardować ich na pierwszą oznakę niepokoju. Miną lata, zanim Federacja zdoła spacyfikować stowarzyszone państwa — jeśli

kiedykolwiek tego dokona. Och, nasz komandor to spryciarz! — McMasters podniósł wzrok. — Baczość! — zawołał i zerwał się na nogi. W drzwiach pojawił się porucznik Wysokiej Straży.

— To był bardzo interesujący wykład, profesorze — powiedział. — Ale trzeba go było zachować dla uczniów.

— Nie „profesorze”, poruczniku — odparł McMasters poważnym tonem — „Sierzancie”, jeśli pan pozwoli.

— Bardzo dobrze, sierzancie, ale niech pan nie wraca do dawnych nawyków — zwrócił się w stronę Dona. — Kto to jest i dlaczego tu siedzi?

— Czeka na pana, panie poruczniku — McMasters wyjaśnił sytuację.

— Rozumiem — odparł oficer dyżurny. — Czy zrzekasz się prawa do nie składania obciążających cię zeznań? — zapytał Dona.

Don zrobił zdumioną minę.

— Porucznik chce się dowiedzieć — wyjaśnił McMasters — czy mamy zastosować pewne ustrojstwo, czy też wolisz spędzić resztę podróży w pace?

— Ustrojstwo?

— Wykrywacz kłamstw.

— Och. Proszę bardzo. Nie mam nic do ukrycia.

— Chciałbym móc to powiedzieć o sobie. Usiądź tutaj

McMasters otworzył szafę, przytknął do głowy Dona elektrody, a na przedramię założył mu aparat do mierzenia ciśnienia. — Teraz — zaczął — powiedz dlaczego naprawdę kręciłeś się w pobliżu składu bomb?

Don powtórzył swą opowieść. McMasters zadał jeszcze kilka pytań, podczas gdy porucznik obserwował wskazówkę „kołyszącą się” za głową Dona. Po chwili oznajmił.

— To wszystko, sierzancie. Niech go pan pogoni z powrotem tam, skąd przyszedł.

— Tak jest. Chodź ze mną.

Wyszli razem z pokoju. Gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu porucznika, McMasters ponownie rozpoczął wykład.

— Jak już ci mówiłem w chwili, gdy nam tak bezceremonialnie przerwano, dlatego właśnie można oczekiwać długiej wojny. „Status” pozostanie „quo” dopóty, dopóki Federacja będzie zajęta zwalczaniem powstań oraz rozruchów na Ziemi. Od czasu do czasu będą wysyłać chłopców, żeby wykonali robotę męczyzn. Damy im łupnia i odeślemy do domu. Po kilku latach tej zabawy Federacja dojdzie do wniosku, że kosztujemy ją więcej niż jesteśmy warci i uzna naszą niepodległość. Tymczasem jednak żaden statek nie poleci na Marsa. To pech!

— Dostanę się tam — nie ustępował Don.

Dotarli na pokład G. Don rozejrzał się wokół i powiedział.

— Stąd już trafię. Musiałem zejść w dół o jeden pokład za wiele.

— Dwa pokłady — poprawił go McMasters. — Odprowadzę cię na właściwe miejsce. Istnieje pewien — być może jedyny — sposób na to, byś mógł się dostać na Marsa.

— Hę? Jaki? Niech mi pan powie?

— Domyśl się sam. Dopóki wojna się nie skończy, nie będzie żadnych kursów pasażerskich, pewne jednak jest, że prędzej czy później zarówno Federacja, jak i Republika wyślą na Marsa oddziały specjalne, celem zajęcia tamtejszych urzędzeń portowych. Na twoim miejscu zaciągnąłbym się do Wysokiej Straży. Nie do Średniej, czy do Sił Lądowych. Do Wysokiej Straży.

Don zastanowił się nad tym.

— Ale nie miałbym wielkich szans, żeby mnie tam zabrali, prawda?

— Wiesz, jak wygląda polityka w koszarach? Znajdź sobie pracę za biurkiem. Jeśli choć w niewielkim stopniu potrafisz całować właściwy tyłek, to robota zapewni ci pobyt w Bazie Głównej. Będziesz blisko fabryki plotek i dowiesz się, kiedy wreszcie zdecydują wysłać statek na Marsa. Ponownie pocałujesz kogo trzeba i znajdziesz się na liście załogi. To jest jedyna szansa, żebyś dotarł do celu. Oto twoje drzwi. Pamiętaj, żebyś drugi raz nie zabłądził na dziobie.

* * *

Don zastanawiał się nad słowami McMastersa przez najbliższych kilka dni. Trzymał się uparcie wyobrażenia, że gdy tylko dotrze na Wenus, wykombinuje jakiś sposób, by polecieć na Marsa. McMasters zmusił go do przegrupowania myśli. Można było sobie mówić o dostaniu się na pokład statku lecącego na Marsa — w jakikolwiek sposób, legalny czy nie, jako płacący pasażer, członek załogi lub pasażer na gapę — założmy jednak, że żadnych statków na Marsa nie będzie. Pies, który się zgubił, może znaleźć drogę z powrotem do pana, lecz człowiek nie przebędzie ani jednej mili pustej przestrzeni bez pomocy statku. To niemożliwe. . .

Ale zaciągnąć się do Wysokiej Straży? Wydawało się to drastycznym rozwiązaniem, nawet gdyby miało się udać, a — choć Don nie wiedział wiele o zasadach stosowanych w wojsku — żywił ponure podejrzenie, że sierżant zbytnio uprościł sprawę. Użycie Wysokiej Straży celem dostania się na Marsa mogło być rozwiązaniem równie niezadowolającym jak autostop na kansaskim tornado.

Z drugiej jednak strony był w wieku, w którym sama idea służby wojskowej pociągała go mocno. Gdyby jego uczucia w sprawie Wenus były choć odrobinę silniejsze, mógłby z łatwością przekonać sam siebie, że jest jego obowiązkiem poprzeć sprawę kolonistów i zaciągnąć się bez względu na to czy umożliwi mu to dotarcie na Marsa, czy nie.

Zaciągnięcie się było atrakcyjne również z innego powodu: nadałoby jego życiu cel. Zaczął odczuwać podstawową, dojmującą tragedię uchodźcy wojennego:

utrata własnych korzeni. Człowiek potrzebuje wolności, lecz niewielu ludzi jest tak silnych, by uszczęśliwiła ich pełna wolność. Człowiek pragnie być częścią grupy, z którą łączą go uznane i szanowane więzy. Niektórzy zaciągają się do legii cudzoziemskich w poszukiwaniu przygód, inni, liczniejsi, składają przysięgę na kawałku papieru, by uzyskać zestaw obowiązków i zobowiązań, obyczajów i zakazów, czas na pracę i czas na obijanie się, towarzysza, z którym można dyskutować i sierżanta, którego można nienawidzić — jednym słowem, by należeć.

Don był „uchodźcą” w stopniu nie mniejszym niż jakikolwiek wędrowiec w dziejach. Nie miał nawet własnej planety. Nie zdawał sobie sprawy z potrzeby swego ducha, zaczął jednak gapić się na żołnierzy Wysokiej Straży, gdy tylko na nich natrafił, wyobrażając sobie, jakby to było, gdyby nosił ten mundur.

* * *

Nautilus nie wylądował, ani też nie przybił do stacji kosmicznej. Gdy zbliżył się do planety, jego prędkość zmniejszono tak, że wszedł na dwugodzinną orbitę parkingową przebiegającą ponad biegunami, zaledwie kilkaset mil ponad srebrzystą zasłoną obłoków. Kolonie wenusjańskie były zbyt młode i biedne by pozwolić sobie na luksus wielkiej orbitalnej stacji kosmicznej, lecz szybka orbita nadbiegunowa sprawiała, że statek przelatywał ponad każdym fragmentem obracającego się wokół osi globu — tak jakby obierać pomarańczę czy owijać piłkę sznurkiem.

Wahadłowiec mógł wystartować z każdego miejsca na powierzchni Wenus, spotkać się ze statkiem na orbicie, po czym wylądować w miejscu, z którego wystartował lub gdziekolwiek indziej, zużywwszy możliwie najmniejszą ilość paliwa. Gdy tylko *Nautilus* wszedł na orbitę, pognąły do niego takie wahadłowce. Były one raczej samolotami niż statkami kosmicznymi, gdyż, choć każdy z nich był hermetycznie zamknięty i przystosowany do funkcjonowania poza atmosferą podczas łączenia się z orbitującymi statkami kosmicznymi, miały skrzydła i napędzane były nie tylko silnikami raketowymi, lecz również strumieniowymi silnikami atmosferycznymi. Jak żaby, były przystosowane do dwóch różnych środowisk.

Wahadłowiec startował z katapulty na powierzchni. Później zaczynały działać silniki strumieniowe i wzbijał się na swych skrzydłach aż ku rozrzedzonym, chłodnym wyżynom górnej stratosfery z prędkością przekraczającą trzy tysiące mil na godzinę. Tam, gdzie silniki strumieniowe nie mogły już działać ze względu na brak powietrza, zadanie przejmowały silniki raketowe, które nadawały mu prędkość orbitalną — około dwunastu tysięcy mil na godzinę — i pozwalały zbliżyć się do statku kosmicznego.

Niezły manewr! Wymagał on zarówno precyzyjnego matematycznego wyliczenia czasu, orbit, zużycia paliwa oraz pogody panującej w wyższych warstwach atmosfery, jak i wirtuozerii pilota pozostającej poza wszelką matematyką, przy-

nosił jednak oszczędności. Gdy tylko wahadłowiec przejął ładunek ze statku kosmicznego, potrzeba było jedynie drobnego impulsu silników rakietowych w kierunku przeciwnym do prędkości orbitalnej, by opadł on na niższą orbitę, która po jakimś czasie zaprowadzi go w obręb atmosfery, co pozwoli pilotowi wrócić na powierzchnię bez zużycia paliwa, unosząc się jak szybowiec i wytracając swą przeraźliwą prędkość przez jeszcze głębsze zanurzenie się w coraz gęstsze powietrze. Tu po raz kolejny pilot musiał okazać się artystą, by zarówno wytracić swój pęd, jak i zachować go, aby móc dotrzeć do miejsca przeznaczenia. Wahadłowiec, który wylądował na pustkowiach tysiąc mil od portu nigdy już nie odbędzie następnego lotu, nawet jeśli pilot i pasażerowie wyjdą z tego cało.

Don odbył podróż w dół w *Cyrusie Buchananie* — małym, schludnym statku o rozpiętości skrzydeł zaledwie trzystu stóp. Obserwował przez luk, jak holują go, tak by jego śluzi zetknęły się ze śluzami statku i dostrzegł, że potrójne globy „Linii Międzyplanetarnych” na jego dziobie zamalowano pośpiesznie i niedokładnie, po czym zastąpiono je napisem: „ŚREDNIA STRAŻ — REPUBLIKA WENUS”. Te zatarte odznaki uprzytomniły mu fakt rebelii w stopniu niemal większym niż wysadzenie Circum-Terra. „Linie” były równie silne jak rząd. Niektórzy mówili nawet, że to one sprawowały władzę. Teraz śmiali buntownicy odważyli się skonfiskować statki wielkiego trustu transportowego i zamalować jego dumne potrójne globy.

Don poczuł jak chłodny wiatr historii owiał jego uszy. McMasters miał rację. Teraz już wierzył, że żaden statek nie polecą na Marsa.

Gdy nadeszła jego kolej, przeszedł przez śluzi do *Cyrusa Buchanana*. Steward statku wciąż miał na sobie mundur „Linii”, lecz zdjęto z niego odznaki towarzystwa i na rękawy przyszyto szewrony. Wraz z tą zmianą zmieniło się również jego zachowanie. Zajmował się pasażerami sprawnie, lecz bez płatnej uniżoności pół-ślugi.

Podróż na dół była długa, nudna i gorąca, jak każde zejście przez atmosferę. Minęła ponad godzina od chwili startu, zanim płyty nośne wahadłowca miały się na czym oprzeć. Po chwili Don i pozostali pasażerowie poczuli, jak niemal normalny ciężar wcisnął ich w poduszki. Nagle pilot podniósł statek, gdyż zdecydował, że nagrzał się on zbyt i pozwolił mu lecieć do góry w stanie nieważkości. Powtarzało się to raz za razem, jakby puszczał kaczki na wodzie — wywołująca mdłości kosmiczna kolejka górską, bardzo nieprzyjemna.

Don nie miał nic przeciwko temu. Znów czuł się kosmonautą. Jego żołądek przyjmował obojętnie zmiany przyspieszenia, a nawet jego całkowity brak. W pierwszej chwili poczuł podniecenie faktem, że wrócił między obłoki Wenus, lecz po chwili znudziło go to. Po długim, nudnym okresie obudziła go zmiana charakteru ruchu. Statek opadał z gwizdem w swym ostatnim zejściu. Pilot wysyłał przed siebie impulsy radaru w poszukiwaniu miejsca lądowania. Nagle *Cyrus Buchanan* dotknął powierzchni, podskoczył i zakołysał się na pędzących pod jego

kadłubem falach. Zwolnił i zatrzymał się. Po dość długiej chwili zaholowano go na miejsce. Steward wstał i zawołał.

— Nowy Londyn! Republika Wenus! Przygotujcie dokumenty.

„Lisy mają nory i ptaki powietrzne gniazda. . .” — EWANGELIA ŚW. MATEUSZA 8, 20

Pierwszym zamiarem Dona było dowiedzieć się o drogę do biura IT&T, skąd mógłby nadać radiogram do rodziców, nie mógł jednak udać się tam natychmiast. Pasażerom musiano sprawdzić papiery, a również poddać ich fizycznym oględzinom i przesłuchaniom. Po wielu godzinach Don wciąż jeszcze siedział przed biurkiem bezpieczeństwa, czekając na przesłuchanie. Jego nietypowy status sprawił, że znalazł się na samym końcu kolejki.

Nie tylko był głodny, zmęczony i znudzony, lecz w dodatku swędziały go ręce, pokryte od barków aż po nadgarstki śladami ukłuc spowodowanych szerokim zakresem testów odporności na różne dziwaczne choroby i grzybopodobne infekcje drugiej planety. Ponieważ mieszkał tu kiedyś, zachował odporność na te specyficznie wenusjańskie zagrożenia — i całe szczęście, pomyślał, gdyż w przeciwnym razie musiałby zmarnować całe tygodnie w kwarantannie, podczas gdy poddawano by go szczepieniom. Pocierał właśnie ramiona, zastanawiając się, czy nie wywołać chryi, gdy drzwi się otworzyły i wywołano jego nazwisko.

Wszedł do środka. Za biurkiem siedział oficer Średniej Straży przeglądający jego dokumenty.

— Donald Harvey?

— Tak jest.

— Szczerze mówiąc, nie wiem co począć z pańskim przypadkiem. Nie mieliśmy kłopotów ze zidentyfikowaniem pana. Pańskie odciski zgadzają się z tymi, które pobrano, gdy był pan tu poprzednio. Nie jest pan jednak obywatelem.

— Jasne, że jestem! Moja matka się tu urodziła.

— Hmmm — urzędnik zabębnił palcami po biurku. — Nie jestem prawnikiem. Rozumiem pański punkt widzenia, ale ostatecznie, gdy pańska matka się urodziła, nie było takiego państwa jak Republika Wenus. Wydaje mi się, że to sprawa precedensowa.

— Więc co to dla mnie oznacza? — zapytał powoli Don.

— Nie wiem. Nie jestem pewien, czy w ogóle ma pan prawo tu pozostać.
— Ale ja nie chcę tu pozostać! Jestem tu tylko przejazdem.
— He? —
— W drodze na Marsa.
— Aha, o to chodzi! Widziałem pańskie dokumenty. Ma pan pecha. Teraz porozmawiajmy z sensem, zgoda?
— Polecę na Marsa — powtórzył z uporem Don.
— No jasne! A ja po śmierci pójdę do nieba. Tymczasem jednak jest pan stałym mieszkańcem Wenus, czy chce pan tego, czy nie. Niewątpliwie kiedyś sądy podejmą decyzję, czy jest pan również jej obywatelem. Panie Harvey, postanowiłem pana zwolnić.
— He? — Don był zdumiony. Nie przyszło mu do głowy, że jego wolność może być zagrożona.
— Tak jest. Nie wydaje się, by stanowił pan zagrożenie dla Republiki Wenus i nie mam ochoty przetrzymywać pana bez końca w kwarantannie. Proszę się tylko w nic nie mieszać i gdy znajdzie pan jakieś lokum, zadzwonić, żeby podać adres. Oto pańskie dokumenty.
Don podziękował mu, podniósł bagaże i wyszedł pośpiesznie. Znalazłszy się na zewnątrz zatrzymał się, by się porządnie podrapać w ramiona.
W doku przed budynkiem stał przycumowany barkas-amfibia. Jego sternik rozsiadł się za kołem sterowym.
— Przepraszam — zapytał Don. — Chciałbym wysłać radiogram. Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie się mam udać?
— Jasne. Do budynku IT&T przy Buchanan Street, na Głównej Wyspie. Właśnie przyleciałeś *Nautilusem*?
— Zgadza się. Jak mam się tam dostać?
— Wskakuj. Za jakieś pięć minut będę miał następny kurs. Będą jeszcze jacyś pasażerowie?
— Nie sądzę.
— Nie mówisz jak mgłojad — sternik przyjrzał mu się uważnie.
— Jestem mgłą wykarmiony — zapewnił go Don. — Ale nie było mnie tu kilka lat. Wyleciałem do szkoły.
— Wróciłeś w ostatniej chwili, co?
— No. Tak mi się wydaje.
— Masz szczęście. Nie ma to jak w domu, nie? — sternik spojrzął z zachwytem w oczach na mroczne niebo i ciemne wody.
Po chwili zapuścił silnik i zwolnił cumy. Małeńki statek mijał z pluskiem wąskie kanały, prześlizgując się obok wysepek i ledwie wystających nad wodę ławic. W kilka minut później Don wysiadł na początku Buchanan Street, głównej ulicy Nowego Londynu, stolicy planety.

Po przystani kręciło się kilku ludzi, którzy przyjrzeni mu się uważnie. Dwaj z nich byli to naganiacze z hoteli. Przepędził ich i ruszył w górę ulicy. Była ona pełna ludzi, lecz wąska, kręta i bardzo zabłocona. Po obu jej stronach świeciły neony przebijające się przez nigdy nie znikającą mgłę. Jeden z nich głosił:

„ZACIĄGNIJ SIĘ ZARAZ!
TWÓJ KRAJ CIĘ POTRZEBUJE”,

zaś drugi, większymi literami, namawiał:

„Pij COCA-COLE — Rozlewnia Nowolondyńska”.

Budynek IT&T znajdował się — jak się okazało — w odległości kilkuset jardów wzdłuż ulicy, niemal po drugiej stronie Głównej Wyspy, łatwo go było jednak odnaleźć, gdyż był to największy gmach na całej wyspie. Don przeszedł ponad zrębnicą przy wejściu i znalazł się w lokalnym biurze „Interplanetary Telephone and Televideo Corporation”. Za ladą siedziała młoda dama.

— Chciałbym wysłać radiogram — powiedział do niej.

— Od tego tutaj jesteśmy — wręczyła mu pisak i formularz.

— Dziękuję — Don skomponował wiadomość, marszcząc intensywnie czoło. Chciał by radiogram brzmiał uspokajająco, a również przeniósł jak najwięcej informacji w jak najmniejszej liczbie słów. Po chwili wręczył go jej.

Dziewczyna podniosła brwi ujrawszy adres, nie powiedziała jednak nic. Policzyła słowa, zajrzała do książki i stwierdziła.

— To będzie sto osiemdziesiąt siedem pięćdziesiąt.

Don odliczył pieniądze, zauważając z niepokojem, jaką dziurę zrobiło to w jego zasobach.

Spojrzała na banknoty i odsunęła je.

— Żartujesz?

— O co chodzi?

— Dajesz mi walutę Federacji. Chcesz mi narobić kłopotów?

— Och — Don ponownie poczuł nieprzyjemne ssanie w żołądku, które przeszło mu niemal w nawyk. — Posłuchaj. Przed chwilą przyleciałem z *Nautilusa*. Nie miałem czasu wymienić pieniędzy. Czy nie mogę wysłać radiogramu płatnego przez odbiorcę?

— Na Marsa?

— Co więc mam zrobić?

— Cóż, niedaleko stąd jest bank. Na twoim miejscu spróbowałabym tam.

— Chyba masz rację. Dziękuję — chciał zabrać kartkę z tekstem, lecz powstrzymała go.

— Miałam właśnie powiedzieć, że, jeśli chcesz, możesz złożyć go u nas. Masz dwa tygodnie czasu na zapłacenie.

— He? Dziękuję!

— Nie dziękuj. Nie możemy wysłać go wcześniej, a ty nie musisz płacić, dopóki nie będziemy gotowi tego zrobić.

— Dwa tygodnie? Dlaczego?

— Dlatego, że Mars jest dokładnie po przeciwnej stronie Słońca. Wiadomość nie dotrze. Musimy czekać, aż się przesunie.

— Czy coś się stało z przekaźnikiem?

— Trwa wojna. Może to zauważyłeś?

— Och. . . — Don poczuł się głupio.

— Nadal przyjmujemy prywatne radiogramy na trasie Terra-Wenus — poddane parafrazie i cenzurze — nie możemy jednak zagwarantować, że przekażą twój radiogram z Terry na Marsa. A może mógłbyś poinstruować kogoś na Ziemi, by zapłacił za drugą transmisję?

— Hmm. . . obawiam się, że nie.

— Może to i lepiej. Mogliby go nie przekazać, nawet gdybyś znalazł kogoś, kto zapłaciłby rachunek. Jest możliwe, że zatrzymaliby go cenzorzy Federacji. Daj mi go więc, a ja go przechowam. Będziesz mógł zapłacić później — spojrzała na tekst. — Wygląda na to, że miałeś ostatnio pecha. Ile masz lat. . . — ponownie spojrzała na formularz — Donie Harvey?

Don odpowiedział jej.

— Hmm. . . wyglądasz na więcej. Jestem starsza od ciebie. Można powiedzieć, że jestem twoją babcią. Jeśli będziesz potrzebował jakiejś rady, wejdź tu i zapytaj o babcię Isobel. Isobel Costello.

— Hmm, dziękuję, Isobel.

— Nie ma za co. To standardowa usługa IT&T — obdarzyła go ciepłym uśmiechem. Don wyszedł czując się cokolwiek niepewnie.

Bank znajdował się w pobliżu środka wyspy. Pamiętał, że przechodził obok niego. Na szybie widniał napis: „BANK OF AMERICA & HONGKONG”. Zaklejono go taśmą maskującą i pod spodem umieszczono wykonany ręcznie wapnem napis: „Nowolondyńskie Towarzystwo Kredytowe i Inwestycyjne”. Don wszedł do środka, wybrał najkrótszą kolejkę i po chwili wyjaśniał już, czego mu trzeba. Kasjer wskazał kciukiem w stronę biurka stojącego z tyłu.

— Zgłoś się do niego.

Za biurkiem siedział starszy Chińczyk odziany w długą, czarną szatę. Gdy Don się zbliżył, wstał, uklonił się i zapytał.

— Czym mogę panu służyć?

Don wyjaśnił sprawę po raz kolejny i położył plik banknotów na biurku. Bankier spojrzał na nie, nie dotykając ich.

— Bardzo mi przykro. . .

— W czym rzecz?

— Minał już termin, do którego mógł pan w legalny sposób wymienić walutę Federacji na pieniądze Republiki.

— Ale nie mogłem tego zrobić przedtem! Dopiero przyleciałem.

— Bardzo mi przykro. Nie ja wymyślam przepisy.

— Co więc mam zrobić?

Bankier zamknął oczy i po chwili je otworzył.

— W tym niedoskonałym świecie człowiekowi potrzebne są pieniądze. Czy ma pan coś, co mógłby pan zaoferować w charakterze zastawu?

— Hmm, chyba nie. Tylko ubranie i te bagaże.

— Żadnej biżuterii?

— No więc, mam pierścionek, ale nie przypuszczam, by miał zbyt wielką wartość.

— Proszę mi go pokazać.

Don zdjął pierścionek, który przysłał mu doktor Jefferson, i wręczył go Chińczykowi. Ten włożył w oko szkiełko zegarmistrzowskie i przyjrzał mu się uważnie.

— Obawiam się, że ma pan rację. To nawet nie prawdziwy bursztyn, tylko plastik. Niemniej dla uczciwego człowieka symboliczny zastaw będzie równie wiążący jak łańcuchy. Mogę pod niego pożyczyć pięćdziesiąt kredytów.

Don wziął pierścionek w rękę. Wahał się. Nie mógł on być wart nawet jednej dziesiątej tej sumy. . . a jego żołądek przypominał mu o swoich wymaganiach. Mimo to. . . matka zapłaciła przynajmniej dwa razy tyle, by się upewnić, że pierścionek trafi w jego ręce (albo papier, w który go zawinięto — poprawił się). Również śmierć doktora Jeffersona była w jakiś sposób powiązana z tą błyskotką.

Założył go z powrotem na palec.

— To by nie było uczciwe. Lepiej chyba będzie, jak znajdę pracę.

— Ma pan w sobie dumę. W nowym, rosnącym mieście nie jest trudno o robotę. Życzą szczęścia. Kiedy już pan ją znajdzie, proszę do nas wrócić. Udzielimy panu pożyczki na konto wypłaty — bankier sięgnął do fałdów swej szaty i wy dobył stamtąd banknot jedno kredytowy. — Najpierw jednak proszę coś zjeść. Pełny brzuch dobrze wpływa na rozsądek. Niech pan uczyni mi ten zaszczyt i przyjmie to w charakterze daru dla nowego przybysza.

Jego duma mówiła „nie”, lecz żołądek zawołał „TAK!”. Don wziął banknot.

— Hmm, dziękuję! — powiedział. — To strasznie miło z pana strony. Zwrócę dług przy pierwszej okazji.

— Niech pan lepiej przekaże go innemu bratu, któremu będzie potrzebny — bankier nacisnął przycisk na biurku i wstał z miejsca.

Don powiedział „do widzenia” i wyszedł.

Przy drzwiach banku wąsał się jakiś mężczyzna. Gdy tylko Don wyszedł krok czy dwa za drzwi, podążył za nim, lecz chłopiec nie zwracał na niego uwagi. Miał pod dostatkiem własnych zmartwień. Zaczęło do niego powoli docierać, że

jego świat rozleciał się na kawałki i być może, nie ma sposobu, by go złożyć z powrotem. Zawsze dotąd żył bezpiecznie. Nigdy nie doświadczył emocjonalnie, na własnej skórze, podstawowego historycznego faktu, że ludzie zawsze muszą z największym wysiłkiem walczyć o utrzymanie się przy życiu, czasem wygrywając, lecz częściej przegrywając i ginąc.

Nigdy jednak nie poddając się. Na odcinku stu jardów zabłoconej ulicy zaczął dojrzewać. Dokonał przeglądu sytuacji, w jakiej się znalazł. Znalazł się w odległości ponad stu milionów mil od miejsca, do którego pragnął dotrzeć. Nie widział żadnego sposobu, by powiadomić natychmiast rodziców o tym, gdzie jest. Nie była to też prosta sprawa oczekania dwóch tygodni. Nie miał ani grosza i nie mógł zapłacić wysokiej taryfy.

Był splukany, głodny i nie miał gdzie spać... nie miał przyjaciół, nie miał tu nawet nikogo znajomego — chyba, przypomniał sobie, żeby policzyć „sir Isaaca”, ale jego przyjaciel smok mógł się równie dobrze znajdować na drugim końcu planety. Z pewnością nie był tak blisko, by rozwiązać problem jaj na szynce!

Postanowił załatwić tę sprawę natychmiast, wydając banknot, który otrzymał od bankiera. Przypomniał sobie, że przed chwilą mijał restaurację. Zatrzymał się nagle tak, że jakiś mężczyzna wpadł na niego.

— Przepraszam — powiedział Don. Zauważył, że ten mężczyzna również jest Chińczykiem. Nie zdziwiło go to, gdyż niemal połowa kontraktowych robotników, których przywieziono tu we wczesnych dniach kolonii wenusjańskich, należała do rasy żółtej. Wydawało mu się, że skądś zna tę twarz. Towarzysz podróży z *Nautilusa*? Nagle przypomniał sobie, że widział go na przystani u początku ulicy.

— To moja wina — odparł tamten. — Trzeba było patrzeć, gdzie idę. Przepraszam, że na ciebie wpadłem — uśmiechnął się nadzwyczaj czarująco.

— Nic się nie stało — odparł Don — ale to moja wina. Nagle postanowiłem zawrócić.

— Do banku?

— Hę?

— To nie mój interes, ale widziałem, jak stamtąd wychodziłeś.

— Prawdę mówiąc — odrzekł Don — nie wybierałem się do banku. Szukam restauracji i przypomniałem sobie, że widziałem jedną po drodze.

Mężczyzna spojrzał na jego bagaż.

— Dopiero co przyleciałeś?

— Prosto z *Nautilusa*.

— Ta restauracja nie jest dla ciebie... chyba, że masz pieniądze do wyrzucenia. To prawdziwa pułapka na turystów.

Don pomyślał o jednokredytowym banknocie, który miał w kieszeni, i zaczął się martwić.

— Hmm, gdzie człowiek może coś przekąsić? Dobra, tania restauracja?

Mężczyzna ujął go za ramię.

— Pokażę ci. Lokal nad wodą. Należy do mojego kuzyna.
— Nie chciałbym sprawić panu kłopotu.
— Nie ma sprawy. Sam zamierzałem wzmocnić czymś żołądek. Swoją drogą, nazywam się Johnny Ling.

— Miło mi pana poznać, panie Ling. Jestem Don Harvey.

Restauracja znajdowała się w ślepych zaułku odchodzącym od podstawy Buchanan Street. Na szyldzie napisane było: STOŁOWNIA „DWA ŚWIATY” — Stoły dla pań — ZAPRASZAMY KOSMONAUTÓW.

Przy wejściu wałęsały się trzy wynochy, które węszyły z oskoma, przyciskając ruchliwe nosy do przepierzenia. Johnny Ling odepchnął je na bok i wprowadził Dona do środka.

Za ladą stał tłusty Kantończyk, odpowiadający zarówno za piec, jak i kasę.

— Cześć, Charlie! — zawołał Ling.

— Się masz, Johnny — odpowiedział grubas, po czym wypuścił z siebie wiązkę przekleństw, mieszając ze sobą po równi język kantoński, angielski, portugalski oraz mowę gwizdów. W chwili, gdy drzwi były otwarte, jeden z wynochów zdołał się wśliznąć do środka. Pognał prosto ku półce z ciastami. Jego małe kopytka zastukały w podłogę. Mężczyzna zwany Charliem mimo swych rozmiarów poruszył się bardzo szybko. Przeciął mu drogę, złapał go za ucho i wyprowadził na zewnątrz. Nie przestając przeklinać wrócił do półki, odciął połowę ciasta, które widziało już lepsze czasy i z powrotem podszedł do drzwi. Cisnął ciasto faenom, które rzuciły się na nie z bekiem i pojękiwaniem.

— Gdybyś ich nie karmił, Charlie — zauważył Johnny — nie kręciłyby się tutaj.

— Pilnuj, do diabła, własnego interesu!

Za ladą spożywało posiłek kilku klientów, którzy nie zwrócili uwagi na cały incydent. Ling podszedł bliżej do kucharza i zapytał.

— Łoża wolna?

Charlie skinął głową i odwrócił się plecami. Ling poprowadził Dona przez wahadłowe drzwi. Wylądowali w łoży mieszczącej się z tyłu budynku. Don usiadł i sięgnął po menu, zastanawiając się, co mógłby zamówić, by wykorzystać swój jeden kredyt w maksymalny sposób. Ling zabrał mu kartę.

— Pozwól, że ja za ciebie zamówię. Charlie to naprawdę przedni kucharz.

— Ale...

— Jesteś moim gościem. Nie sprzeciwiaj się. Nalegam.

W tej chwili pokazał się Charlie, który wszedł bezgłośnie do łoży przez zasłone. On i Ling wymienili serię uwag w szybkim, śpiewnym języku. Charlie wyszedł. Po chwili wrócił, niosąc chrupkie, gorące rolki. Aromat był cudowny i żołądek Dona łatwo powstrzymał jego protesty.

Następnie nadeszło główne danie, którego Don nie potrafił rozpoznać. Była to kuchnia chińska, lecz z pewnością nie typowe *chop suey*. Donowi zdawało się, że

rozpoznaje w tym wenusjańskie rośliny, które pamiętał z czasów dzieciństwa, nie mógł jednak być tego pewien. Cokolwiek to było, tego właśnie było mu trzeba. Zaczął odczuwać zadowolenie i przestał się martwić o wszystko.

Podczas gdy jadł, złapał się na tym, że opowiada Lingowi historię swego życia, eksponując ostatnie wypadki, które nieoczekiwanie zaprowadziły go na Wenus. Z Lingiem łatwo było rozmawiać, a wydawało się nieuprzejme siedzieć tak, pochłaniać jedzenie, które mu zafundował, i nic nie mówić.

Po chwili Chińczyk wyprostował się na krześle i wytarł usta.

— Z pewnością przytrafiły ci się dziwne przygody, Don. Co masz teraz zamiar zrobić? Don zmarszczył brwi.

— Chciałbym to wiedzieć. Muszę znaleźć jakąś robotę i dach nad głową. Potem będę musiał uciuć, zaoszczędzić albo pożyczyć pieniądze potrzebne, by wysłać słówko do rodziców. Będą się martwić.

— Przywiozłeś ze sobą trochę pieniędzy?

— He? No jasne, ale to waluta Federacji. Nie przyjmują jej.

— A wuj Tom nie chciał ci jej wymienić. Mimo tych jego uśmieszków ten taki-owaki ma serce z kamienia. W głębi duszy nadal pozostał lichwiarzem.

— Wuj Tom? Bankier to pański wujek?

— Co? Och, nie, nie. Tak tylko się mówi. Założył tu lombard, dawno temu. Przychodzili do niego poszukiwacze, zastawić liczniki Geigera. Następnym razem brał od nich udział w zyskach. Wkrótce stał się właścicielem połowy gorących szybów w okolicy i został bankierem. Nadal jednak nazywamy go „wujem Tomem”.

Don odniósł niewyraźne wrażenie, że Ling zbyt gorąco wypiera się pokrewieństwa, nie zbadał jednak sprawy bliżej, gdyż nie wydało mu się to istotne.

— Wiesz co, Don — ciągnął Ling. — Bank nie jest jedynym miejscem, w którym można wymienić walutę Federacji.

— Co pan chce powiedzieć?

Ling zanurzył palec wskazujący w kałużę wody na blacie stołu i nakreślił znak powszechnie stosowany na określenie kredytów.

— Oczywiście jest to jedyne miejsce, w którym można to zrobić legalnie. Czy to ci przeszkadza?

— No więc...

— Nie ma w tym przecież nic złego. To arbitralnie wprowadzone prawo. Nie pytali cię o zdanie, kiedy je uchwalali. Ostatecznie to twoje pieniądze. Mam rację, nie?

— Tak myślę.

— To twoje pieniądze i możesz z nimi zrobić co ci się podoba. Ale nikomu ani mru mru. Rozumiesz?

Don nie odpowiedział.

— Mówiąc hipotetycznie — ciągnął Ling. — Ile masz tych pieniędzy Federacji?

— Hmm, około pięciuset kredytów.

— Pokaż mi je.

Don zawahał się.

— Daj spokój — powiedział ostrym tonem Ling. — Czy mi nie ufasz? Ostatecznie to tylko trochę makulatury.

Don wyjął pieniądze. Ling spojrzał na nie, wyciągnął portfel i zaczął odliczać banknoty.

— Niektóre z tych dużych nominałów trudno będzie opchnąć — zauważył. — Powiedzmy, piętnaście procent.

Pieniądze, które wyjął, wyglądały dokładnie tak samo, jak te, które położył na stole Don, z tym że na każdym banknocie widniał nadruk: REPUBLIKA WENUS.

Don dokonał pośpiesznych obliczeń. Piętnaście procent tego, co miał, oznaczało około siedemdziesięciu pięciu kredytów — nawet nie połowę tego, czego potrzebował na opłacenie radiogramu na Marsa. Wziął swoje pieniądze i zaczął je chować z powrotem do portfela.

— Co się stało?

— To mi nic nie da. Powiedziałem panu, że potrzebne mi sto osiemdziesiąt siedem pięćdziesiąt, żeby zapłacić za radiogram.

— No... niech będzie dwadzieścia procent. Robię ci przysługę, ponieważ jesteś młodym człowiekiem w trudnej sytuacji.

— Dwadzieścia procent to nadal tylko sto kredytów. Nie.

— Bądź rozsądny! Nie mogę ich opchnąć za więcej niż punkt czy dwa drożej. Mogę na tym stracić. Przy obecnej hossie banki dają osiem procent. Te pieniądze trzeba będzie ukryć, tracąc osiem procent za każdy rok. Jeśli wojna potrwa bardzo długo, dołożę do interesu. Na co liczysz?

Teoria finansów była zbyt trudna dla Dona. Wiedział jedynie, że nie interesuje go suma mniejsza niż cena radiogramu na Marsa. Potrząsnął głową.

Ling wzruszył ramionami i zabrał pieniądze.

— Twoja strata. Hej, masz ładny pierścionek.

— Dziękuję.

— Jak mówiłeś, ile ci potrzeba?

Don powtórzył to.

— Rozumie pan, muszę powiadomić rodzinę. Nie potrzebuję właściwie pieniędzy na nic innego. Mogę pracować.

— Czy mogę obejrzeć ten pierścionek?

Don nie chciał się z nim rozstawać, wydawało się jednak, że nie ma sposobu by tego uniknąć nie będąc nieuprzejmym. Ling założył go. Był wyraźnie za duży na jego kościsty palec.

— Akurat mój rozmiar. Jest też na nim mój inicjał.

— Jak?

— Moje mleczne imię. „Henry”. Coś ci powiem, Don, naprawdę chciałbym ci pomóc. Powiedzmy dwadzieścia procent za twoje pieniądze i wezmę pierścionek za sumę brakującą ci do ceny radiogramu. Pasuje?

Don nie potrafiłby odpowiedzieć, dlaczego odmówił. Przestał już jednak lubić Linga. Zaczynał żałować, że zaciągnął wobec niego zobowiązanie przez przyjęcie obiadu. Ta nieoczekiwana propozycja pobudziła jego wrodzony upór.

— To pamiątka rodzinna — odparł. — Nie na sprzedaż.

— Hę? Nie możesz sobie pozwolić na sentymenty. Ten pierścionek jest tu wart więcej niż na Ziemi, ale ja i tak chcę ci dać znacznie więcej niż wynosi jego wartość. Nie bądź głupi!

— Wiem, że tak jest — odparł Don. — I nie rozumiem dlaczego pan to robi. W każdym razie pierścionek nie jest na sprzedaż. Proszę mi go oddać.

— A jeśli nie oddam?

Don zaczerpnął głęboko tchu.

— W takim razie — powiedział powoli — będziemy się chyba musieli o niego bić.

Ling popatrzył na niego przez chwilę, po czym zdjął pierścionek, rzucił go na stół i wyszedł z łoży nie odzywając się już ani słowem.

Don popatrzył za nim. Nie mógł się w tym wszystkim połapać. Wciąż się nad tym zastanawiał, gdy zasłona odchyliła się i wszedł właściciel restauracji. Rzucił na stół rachunek.

— Jeden i sześć — powiedział flegmatycznym tonem.

— Czy pan Ling za to nie zapłacił? Zaprosił mnie na obiad.

— Jeden i sześć — powtórzył Charlie. — Ty jadłeś. Ty zapłać.

Don wstał z krzesła.

— Gdzie tu się zmywa naczynia? Właściwie mogę już zacząć.

Pieniądze „na kości”

Zanim wieczór się skończył umowa o zmywaniu naczyń w zamian za kolację przekształciła się w stałe zatrudnienie. Płaca była niska — Don obliczył, że zaoszczędzenie pieniędzy na radiogram do rodziców zajmie mu mniej więcej wieczność — ale jej elementem były trzy posiłki dziennie, a Charlie był wyśmienitym kucharzem. Wydawał się też — pod pokrywą szorstkości — bardzo przyzwoitym facetem. Wyraził w skomplikowany sposób bardzo niepochlebłą opinię o Johnnym Lingu, używając tej samej, pełnej pikanterii *lingua franca*, którą zastosował wobec wynochów. Zaprzeczył też jakoby między nim a Lingiem istniało jakieś pokrewieństwo, przypisując jednocześnie tamtemu inne powiązania rodzinne, które na pierwszy rzut oka nie wydawały się prawdopodobne.

Gdy wyszedł już ostatni klient i wyszło ostatnie naczynie, Charlie przygotował dla Dona legowisko na podłodze pokoiku, w którym jadł on posiłek. Gdy chłopiec rozebrał się i wśliznął do łóżka, przypomniał sobie, że powinien zadzwonić do biura bezpieczeństwa kosmoportu i podać im adres. Mogę to zrobić jutro, pomyślał sennie. Zresztą w restauracji nie było telefonu.

Obudził się w ciemności, czując, że coś go przygniata. Przez wypełnioną przeżeniem chwilę myślał, że trzyma go ktoś, kto pragnie go obrabować. Gdy rozbudził się w pełni, zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje i co go przygniata. Wynochy. Dwa z nich dostały się do jego łóżka. Jeden wśliznął się za plecy i przycisnął do barków, a drugi ułożył się przed nim, jak łyżka. Oba pochrapywały cichutko. Niewątpliwie ktoś pozostawił na chwilę drzwi otwarte i fauny zakradły się do środka.

Don zachichotał sam do siebie. Nie sposób było się gniewać na małe, uczuciowe stworki. Podrapał jednego z nich z przodu głowy między rogami i powiedział.

— Słuchajcie, dzieciaki, to moje łóżko. Zmiatajcie stąd zanim się zrobię zły.

Beknęły oba i przycisnęły się mocniej. Don wstał, złapał każdego z nich za ucho i wyprowadził za zasłonę.

— Teraz jazda stąd!

Były w łóżku szybciej od niego.

Pomyślał nad tym chwilę i postanowił dać spokój. W pomieszczeniu nie było drzwi, które można by zamknąć. Jeśli zaś chodzi o wyrzucenie ich na zewnątrz budynku, to panowała tu ciemność, miejsce było obce i nie pamiętał dokładnie,

gdzie są wyłączniki. Nie chciał też budzić Charliego. Ostatecznie spanie z wynochem nikomu nie zaszkodzi. To czyste, małe stworzenie. To tak samo, jakby przytulił się do ciebie pies. Nawet lepiej, bo psy mają pchły.

— No, wynocha — powiedział, powtarzając niechcący ich nazwę. — Zróbcie mi trochę miejsca.

Nie zasnął natychmiast. Sen, który spowodował jego przebudzenie, nadal go niepokoił. Usiadł, pomacał na oślep rękoma w ciemności i znalazł pieniądze, które schował pod sobą. Nagle przypomniał sobie o pierścionku i czując się odrobinę głupio, wciągnął skarpetkę i wepchnął pierścionek głęboko do środka.

Po chwili cała trójka chrapała.

Obudziło go przestraszone beczenie. Przez kilka następnych chwil panowało zamieszanie. Don usiadł i szepnął.

— Cisza! — i chciał dzielić swego towarzysza snu, gdy nagle poczuł, że za nadgarstek złapała go jakaś ręka — nie mała, pozbawiona kciuka łapka wynocha, lecz ludzka dłoń.

Kopnął na oślep i trafił w coś. Rozległ się jęk, któremu towarzyszyło dalsze, pełne strachu beczenie i klik-klik-klik małych kopytek po nagiej podłodze. Kopnął po raz drugi i omal nie złamał sobie palca u nogi. Dłoń zwolniła uścisk.

Cofnął się, stając jednocześnie na nogi. Tuż obok słyhać było odgłosy walki oraz głośne beczenie. Dźwięki ucichły, podczas gdy Don nadal próbował prześzyć wzrokiem ciemność, by dostrzec, co się dzieje. Nagle rozbłysło oślepiające światło i dostrzegł, że w drzwiach stoi odziany w spódnicę Charlie z wielkim, lśniącym tasakiem w dłoni.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał Chińczyk.

Don zrobił, co mógł, by to wyjaśnić, ale wynochy, sny i ręce chwytające go w ciemności pomieszały się ze sobą.

— Za dużo zjadłeś na noc — stwierdził Charlie, sprawdził jednak pokój. Don podążał jego śladami.

Gdy odnalazł okno ze złamanym haczykiem, nie powiedział nic, lecz poszedł natychmiast do kasy i sejfu. Wyglądały na nienaruszone. Przybił złamany haczyk, wygnał wynochy w noc i powiedział Donowi.

— Idź spać — po czym wrócił do swego pokoju.

Don próbował zasnąć, minęło jednak trochę czasu zanim zdołał się uspokoić. Zarówno pieniądze, jak i pierścionek nadal były pod ręką. Założył ten drugi z powrotem na palec i zasnął z zaciśniętą pięścią.

Rankiem Don miał mnóstwo czasu na myślenie, podczas zmagania z niekończącym się stosem brudnych naczyń. Pierścionek zaprzętał jego myśli. Nie założył go. Nie tylko pragnął uniknąć ciągłego zanurzania go w wodę, lecz również nie miał teraz ochoty go pokazywać.

Czy to możliwe, by złodziej chciał zabrać pierścionek, a nie pieniądze? Wydawało się, że nie — nędzna pamiątka warta pół kredytu! A może pięć kredytów —

poprawił się — tu, na Wenus, gdzie wszystkie ważne artykuły kosztowały drogo. Góra dziesięć.

Zaczął się jednak zastanawiać. Zbyt wielu ludzi interesowało się tą błyskotką. Przypomniawszy sobie dokładnie, w jaki sposób wszedł w jej posiadanie. Na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, jakby doktor Jefferson naraził życie — a nawet je oddał — by się upewnić, że pierścionek dotrze na Marsa. Była to jednak niedorzeczność. Z tego powodu Don doszedł do wniosku za pośrednictwem — jak mu się zdawało — logicznego rozumowania, że to papier, w który zawinięto pierścionek, musi trafić do rąk jego rodziców na Marsie. Wniosek ten potwierdził fakt, że gdy IBI go przeszukało, zabrało mu ową kartkę.

Przyjmyśmy jednak, że przyjmie nieprawdopodobne założenie, iż to sam pierścionek jest ważny? Nawet jeśli tak było, jak było możliwe by ktoś tutaj, na Wenus, chciał go zdobyć? Wylądował dopiero wczoraj. Opuszczając Ziemię nawet nie wiedział, że leci na Wenus.

Mógłby pomyśleć o kilku możliwościach, by ta wiadomość mogła dotrzeć tu przed nim, tak się jednak nie stało. Ponadto trudno mu było sobie wyobrazić, dlaczego ktoś miałby zadawać sobie szczególny trud z jego powodu.

Miał jednak pewną właściwość, która cechowała go w wysokim stopniu: był uparty. Złożył przed brudną wodą solenną przysięgę, że on i pierścionek razem polecą na Marsa i że odda go ojcu zgodnie z prośbą doktora Jeffersona.

W godzinach popołudniowych ruch nieco osłabł. Don nadrobił zaległości. Wytarł ręce i powiedział Charliemu.

— Chcę wyjść na chwilę na miasto.

— Co jest? Lenisz się?

— Pracujemy wieczorem, prawda?

— Jasne, że tak. Myślisz, że co to jest? Herbaciarnia?

— Dobra. Pracuję rano i wieczorem, więc mogę mieć po południu trochę wolnego. Masz tyle czystych naczyń, że wystarczy ci na kilka godzin.

Charlie wzruszył ramionami i odwrócił się plecami. Don wyszedł.

Przebiwszy się przez błoto i tłum dotarł do budynku IT&T. W zewnętrznym pomieszczeniu było wielu klientów, lecz większość z nich korzystała z automatów lub stała w kolejce przed kabinami. Isobel Costello siedziała za biurkiem i nie sprawiała wrażenia zajętej, choć gawędziła z jakimś żołnierzem. Don podszedł do drugiego końca biurka i czekał, aż będzie wolna.

Po chwili pozbyła się przedsiębiorczego żołnierza i podeszła do Dona.

— Proszę, to moje trudne dziecko! Jak sobie radzisz, synu? Wymieniłeś pieniądze?

— Nie, bank nie chciał ich przyjąć. Możesz mi chyba zwrócić mój radiogram.

— Nie ma się co śpieszyć. Mars wciąż jest w koniunkcji. Może zdobędziesz majątek.

Don roześmiał się z żalem.

— Bardzo wątpię! — Opowiedział jej co robi i gdzie. Skinęła głową.

— Mogłeś trafić gorzej. Stary Charlie jest w porządku. Ale to niebezpieczna dzielnica. Don. Uważaj na siebie, zwłaszcza po zmroku.

— Będę uważał. Isobel, czy mogłabyś wyświadczyć mi przysługę?

— Tak, jeśli nie jest to nic niemożliwego, nielegalnego bądź skandalicznego.

Don wyciągnął z kieszeni pierścione.

— Czy mogłabyś to dla mnie o przechować w bezpiecznym miejscu dopóki nie poproszę o zwrot?

Wzięła go w rękę i uniosła, aby mu się przyjrzeć.

— Ostrożnie! — powiedział Don. — Nie pokazuj go nikomu.

— Hę?

— Nie chcę, żeby ktoś wiedział, że go masz. Niech nikt go nie zobaczy.

— Hmm... — odwróciła się. Gdy zwróciła się z powrotem w jego stronę, pierścionek zniknął. — Co to za tajemnica, Don?

— Sam chciałbym wiedzieć.

— Hę?

— Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Chcę go po prostu schować w bezpiecznym miejscu. Ktoś próbuje mi go odebrać.

— Ale... posłuchaj, czy te twoja własność?

— Tak. To wszystko, co mogę ci powiedzieć.

Przyjrzała się jego twarzy.

— W porządku, Don. Zaopiekuję się nim.

— Dziękuję.

— To żaden kłopot, mam nadzieję. Posłuchaj, wpadnij znowu niedługo. Chciałabym, żebyś poznał kierownika.

— Dobra, wpadnę.

Odwróciła się, by załatwić nowego klienta. Don odczekał, aż zwolni się budka telefoniczna, po czym zgłosił swój adres do biura bezpieczeństwa w kosmoporcie. Zrobiwszy to wrócił do swoich naczyń.

Okolo północy, całe setki naczyń później, Charlie odprawił ostatniego klienta i zamknął drzwi frontowe. Wspólnie zjedli posiłek, na który nie mieli wcześniej czasu. Jeden używał pałeczek, drugi widelca. Don był niemal zbyt zmęczony, by jeść.

— Charlie — zapytał. — Jak dałeś radę prowadzić ten lokal bez pomocy?

— Miałem dwóch pomocników. Obaj się zaciągnęli. Chłopcom nie chce się teraz pracować. W głowie im tylko zabawa w żołnierzy.

— A więc pracuję za dwóch, co? Lepiej wynajmij drugiego chłopca, albo ja też się zaciągnę.

— Praca nikomu nie zaszkodzi.

— Może. Z pewnością ty w to wierzysz. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś pracował tak ciężko.

Charlie odchylił się do tyłu i skręcił sobie papierosa z miejscowego, włochoatego „szalonego zielska”.

— Podczas pracy myślę o tym, że któregoś dnia wrócę do domu. Będę miał mały ogród otoczony murem i małego ptaszka, który będzie dla mnie śpiewał — wskazał ręką poprzez dławiący dym na ponure ściany restauracji. — Kiedy gotuję, nie widzę tego. Widzę mój ogródek.

— Och.

— Oszczędzam na powrót do domu — wydmuchnął dym z wściekłością. — Wrócę tam, albo moje kości wrócą.

Don zrozumiał go. Jeszcze w dzieciństwie słyszał o „pieniądzach na kości”. Wszyscy imigranci z Chin pragnęli wrócić do domu. Nazbyt często podróż odbywała tylko paczuszka z kośćmi. Młodszy, urodzeni na Wenus Chińczycy śmiali się z tego. Dla nich Wenus była domem, a Chiny tylko nudną bajką.

Don postanowił opowiedzieć Charliemu o własnych kłopotach. Zrobił to, omijając jedynie sprawę pierścionka i wszystko, co się z tym wiązało.

— A więc, sam widzisz, pragnę się dostać na Marsa równie gorąco, jak ty wrócić do Chin.

— Na Marsa jest daleko.

— Tak, ale muszę się tam dostać. Charlie skończył papierosa i wstał z krzesła.

— Trzymaj się Charliego. Pracuj ciężko, to dam ci udział w zyskach. Kiedyś ta głupia wojna się skończy i wtedy obaj polecimy — odwrócił się do wyjścia. — Dobranoc.

— Dobranoc.

Tym razem Don osobiście sprawdził, czy żadne wynochy nie zdołały się wśliznąć do środka zanim nie ułożył się w swoim kąciku. Zasnął niemal natychmiast. Śniło mu się, że wdrapuje się na nie mające końca łańcuchy górskie brudnych naczyń, za którymi gdzieś leżał Mars.

Don miał szczęście, że znalazł choć kącik w taniej restauracji. Miasto pękało w szwach. Jeszcze przed kryzysem politycznym, który uczynił z niego stolicę nowego państwa, Nowy Londyn był pełen ruchu. Stanowił on miasto targowe dla obszaru miliona mil kwadratowych. Był też głównym kosmoporciem planety. Faktyczne embargo na loty międzyplanetarne, wywołane wybuchem wojny, mogło po pewnym czasie doprowadzić do odchudzenia miasta, jak dotąd jednak jedynym jego skutkiem było pojawienie się w Nowym Londynie pozbawionych zajęcia kosmonautów, którzy wałęsali się po ulicach w poszukiwaniu dostępnych rozrywek.

Kosmonautów jednak niemal nie było widać. Znacznie więcej było polityków. Na Wyspie Gubernatora oddzielonej od Głównej Wyspy stojącym strumieniem zebrały się Stany Generalne nowej republiki. W pobliżu, w dawnej rezydencji gubernatora, głowa państwa, jej szef gabinetu oraz ministrowie użerali się pomiędzy sobą o lokale biurowe i przydział urzędników. Już w tej chwili pączkująca

biurokracja zaczęła się przelewać na Główną Wyspę, Wyspę Południową, Mierzeję Wschodnią oraz Wyspę Nagrobka, konkurując sama ze sobą o budynki, co spowodowało niebotyczną zwyczajną czynszu. W ślad za mężami stanu i wybranymi urzędnikami — i znacznie od nich liczniejsi — podążali pieczeniarze rządu i drobne płatki, urzędnicy, którzy coś robili, i specjaliści asystenci, którzy nie robili nic, zbawcy świata, ludzie z własnym orędnem, lobbyści za i przeciw czemuś, ludzie, którzy twierdzili, że reprezentują interesy tubylczych smoków, lecz jakoś nigdy nie nauczyli się mowy gwizdów oraz same smoki, które były w pełni zdolne przemawiać we własnym imieniu i robiły to.

Mimo to Wyspa Gubernatora nie pogrążyła się w falach pod tym ciężarem.

Na północ od Nowego Londynu, na Wyspie Buchanana, zaczęło pączkować drugie miasto — obozy szkoleniowe Średniej Straży i Sił Lądowych. W Stanach protestowano przeciw temu gorąco, twierdząc, że obecność takich obozów w stolicy państwa równała się jego samobójstwu, gdyż jedna bomba wodorowa mogła zniszczyć zarówno rząd Wenus, jak i większość sił zbrojnych, niemniej jednak nic w tej sprawie nie uczyniono. Padły opinie, że ludziom potrzebne są rozrywki, i że gdyby obozy przeniesiono w leśne ostępy zaczęliby oni dezercerować i wracać do swych farm i kopalń.

Wielu faktycznie zdezercerowało. Tymczasem jednak Nowy Londyn roił się od żołnierzy. Stołownia „Dwa Światy” była zapchana od rana aż do północy. Stary Charlie odchodził od pieca jedynie po to, by zająć się kasą. Ręce Dona były czerwone od gorącej wody i detergentów. Od czasu do czasu palił pod kotłem znajdującym się na zapleczu, używając do tego oleistych kłód drzewa *chika* przywożonych przez smoka zwanego „Daisy” (który, mimo imienia, był płci męskiej). Piecyk elektryczny byłby tańszy, gdyż prąd nie kosztował prawie nic — był produktem ubocznym stosu atomowego znajdującego się na zachód od miasta. Jednakże sprzęt niezbędny do korzystania z prądu był bardzo drogi i niemal nie można go było dostać.

Nowy Londyn pełen był takich, charakterystycznych dla pogranicza kontrastów. Jego błotniste ulice oświetlone były, tu i ówdzie, przy użyciu energii atomowej. Wahadłowce o napędzie rakietowym łączyły go z innymi ludzkimi osiedlami, lecz wewnątrz jego granic jedynymi środkami transportu były własne nogi oraz gondole zastępujące taksówki i przewozy. Niektóre z nich miały silniki, lecz większość napędzana była siłą ludzkich mięśni.

Nowy Londyn był miastem brzydkim, niewygodnym i nieukończonym, niemniej jednak działał pobudzająco. Donowi podobał się gwałtowny, pełen życia charakter tego miasta, znacznie bardziej niż cieplarniany przepych Nowego Chicago. Pulsowało ono życiem jak koszyk wypełniony szczeniętami, było witalne jak cios w szczękę. W powietrzu wisiało poczucie, że zaraz zaczną się nowe rzeczy, nowe nadzieje, nowe problemy...

Po tygodniu pracy w restauracji Don czuł się niemal tak, jakby spędził tam całe życie. Co więcej nie był z tego powodu nieszczęśliwy. Fakt, że praca była ciężka i nadal był zdecydowany polecieć na Marsa — prędzej czy później — tymczasem jednak spał dobrze, jadł dobrze, miał czym zająć ręce. . . i nigdy nie brakowało klientów, z którymi mógł rozmawiać i toczyć spory — kosmonautów, członków straży czy pomniejszych polityków, których nie było stać na lepsze restauracje. Lokal był politycznym klubem dyskusyjnym, miejskim referatem prasowym oraz źródłem plotek. To, co powiedziano przy posiłku u Charliego, często stawało się następnego dnia główną wiadomością w miejscowym Timesie.

Don podtrzymał precedens popołudniowej przerwy, nawet gdy nie miał do załatwienia żadnych interesów. Jeśli Isobel nie była zbyt zajęta, zabierał ją na drugą stronę ulicy na colę. Była jak dotąd, jedyną jego przyjaciółką poza restauracją. Przy jednej z takich okazji powiedziała.

— Nie, wejdz do środka. Chcę, żebyś się zobaczył z kierownikiem.

— Hę?

— W sprawie twojego radiogramu.

— Aha. Chciałem to zrobić, Isobel, na razie jednak to nie ma sensu. Poczekam jeszcze tydzień i wystartuję do starego Charliego z prośbą o pożyczkę. Nie może mnie zbyt łatwo zastąpić. Myślę, że się zgodzi, by mnie zatrzymać w tej nędznej celi.

— To nic nie da. Powinieneś jak najszybciej znaleźć lepszą pracę. Chodź.

Otworzyła przejście w kantorze i poprowadziła go do mieszczącego się z tyłu gabinetu, gdzie przedstawiła go mężczyźnie w średnim wieku o zmartwionej minie.

— To jest Don Harvey, młody człowiek, o którym ci opowiadałam.

Starszy mężczyzna uściśnął mu dłoń.

— Aha. Moja córka wspominała chyba coś o radiogramie na Marsa.

Don zwrócił się w stronę Isobel.

— Córka? Nie mówiłaś mi, że kierownik to twój ojciec.

— Nie pytałeś mnie o to,

— Ale. . . nieważne. Miło mi pana poznać.

— Mnie też. Wracając do tego radiogramu. . .

— Nie wiem dlaczego Isobel mnie tu przyprowadziła. Nie mogę za niego zapłacić. Mam tylko walutę Federacji.

Pan Costello przyjrzał się z zakłopotaną miną własnym paznokciom.

— Panie Harvey, przepisy wymagają, bym za przekazy międzyplanetarne żądał zapłaty gotówką. Chciałbym przyjąć od pana banknoty Federacji, ale nie mogę tego zrobić. To sprzeczne z prawem — spojrzął na sufit. — Rzecz jasna istnieje czarny rynek na walutę Federacji. . .

Don uśmiechnął się z żalem.

— Przekonałem się o tym, ale piętnaście, czy nawet dwadzieścia procent to za mało. Nie wystarczy na mój radiogram.

— Dwadzieścia procent! Obecny kurs wynosi sześćdziesiąt.

— Naprawdę? Muszę chyba wyglądać na frajera.

— Nieważne. Nie miałem zamiaru proponować panu, by udał się pan na czarny rynek. Po pierwsze... panie Harvey, jestem w dziwnej pozycji. Reprezentuję federacyjną korporację, która nie została wywłaszczona, lecz jestem lojalny w stosunku do Republiki. Gdyby wyszedł pan stąd i po chwili powrócił z pieniędzmi Republiki w miejsce banknotów Federacji, po prostu zawiadomiłbym policję.

— Och, tato, nie zrobiłbyś tego!

— Cicho, Isobel. Po drugie nie jest dobrze, kiedy młody człowiek ma podobne kontakty — przerwał. — Może jednak znajdziemy jakieś rozwiązanie. Pański ojciec zapłaciłby za ten radiogram, prawda?

— No jasne!

— Nie mogę jednak wysłać radiogramu płatnego przez odbiorcę. No dobrze, proszę mi wystawić weksel trasowany na tę sumę na nazwisko pańskiego ojca. Przyjmę ją w charakterze zapłaty.

Zamiast odpowiedzieć od razu, Don zastanowił się nad tym. Wydawało się, że to to samo, co wysłać radiogram płatny przez odbiorcę — co był gotowy zrobić — jednakże zaciąganie długów w imieniu ojca bez jego wiedzy wydało mu się trudne do przełknięcia.

— Niech pan posłucha, panie Costello, i tak nie mógłby pan w żaden sposób szybko zamienić weksla na gotówkę. Dlaczego nie mogę po prostu dać panu skryptu dłużnego i spłacić go jak najszybciej? Czy tak nie będzie lepiej?

— Tak i nie. Kwit od pana oznaczałby po prostu, że wysłałem międzyplanetarny radiogram na kredyt — czego właśnie zabraniają przepisy. Z drugiej strony weksel na nazwisko pańskiego ojca to dokument handlowy równoznaczny z gotówką, nawet jeśli nie mogę go natychmiast na nią zamienić. Fakt, że tylko prawnik widzi tu różnicę, jest to jednak różnica między tym co wolno i czego nie wolno mi zrobić zgodnie z przepisami korporacji.

— Dziękuję — odparł powoli Don. — Myślę jednak, że poczekam jeszcze trochę. Może uda mi się pożyczyć te pieniądze.

Pan Costello przeniósł wzrok z Dona na Isobel i wrzucił bezsilnie ramionami.

— Och, niech mi pan da ten skrypt dłużny — powiedział zgryźliwym tonem. — Proszę go wystawić na moje nazwisko, a nie na towarzystwo. Może mi pan zapłacić, kiedy będzie pan mógł — ponownie spojrzał na córkę, która uśmiechnęła się z aprobatą.

Don wypisał kwit. Gdy on i Isobel znaleźli się poza zasięgiem słuchu pana Costello, Don powiedział.

— To była diabelna hojność ze strony twojego ojca.

— Phi! — odparła. — To tylko pokazuje, jak daleko może się posunąć rozpuszczający córkę ojciec, aby nie przeszkodzić jej szansom.

— Hę? Co masz na myśli?

Uśmiechnęła się do niego.

— Nic. Zupełnie nic. Babcia Isobel żartowała z ciebie. Nie traktuj mnie poważnie.

Odwzajemnił jej uśmiech.

— Czym więc mam cię potraktować? Cola u „Holendra”?

— Sam mnie na to namówiłeś.

Gdy wrócił do restauracji, napotkał tam, oprócz nieuniknionego stosu brudnych naczyń, ożywioną dyskusję na temat projektu ustawy o poborze, nad którym obradowały Stany Generalne. Nadstawiał uszu. Jeśli nadejdzie pobór, z pewnością stanie się mięsem armatnim. Miał zamiar uprzedzić ich i zaciągnąć się do Wysokiej Straży. Rada McMastersa na temat „jedynej drogi na Marsa” utkwiała w jego umyśle.

Większość najwyraźniej była za poborem. Don nie potrafił przedstawić żadnych argumentów przeciwko. Wydawało to mu się rozsądne, mimo że sam miał się stać jego ofiarą. Jakiś mały, milczący mężczyzna wysłuchał wszystkich, po czym odkaszlnął głośno.

— Nie będzie poboru. — oznajmił.

Człowiek, który przemawiał poprzednio, drugi pilot, wciąż noszący na kołnierzyku potrójne globy, odparł.

— Hę? A co ty o tym wiesz, mikrusie?

— Całkiem sporo. Pozwólcie, że się przedstawię. Jestem senator Ollendorf z Prowincji CuiCui. Po pierwsze pobór nie jest nam potrzebny. Natura naszego sporu z Federacją nie jest taka, by wymagał on licznej armii. Po drugie temperament naszych ludzi nie pozwoli im się z tym pogodzić. Dzięki drastycznemu procesowi selektywnej imigracji mamy tu, na Wenus, naród śmiałych indywidualistów, niemal anarchistów. Nie spodoba im się przymusowa służba. Po trzecie podatnicy nie zechcą utrzymywać wielkiej armii. Mamy więcej ochotników niż pieniędzy na ich utrzymanie. Po czwarte i ostatnie ja i moi koledzy odrzucimy ten projekt stosunkiem głosów mniej więcej trzy do jednego.

— Mikrusie — poskarżył się drugi pilot — po co było wymieniać trzy pierwsze powody?

— Po prostu wprawiam się przed mową, którą mam wygłosić jutro — tłumaczył się senator. — A teraz, skoro jest pan takim wielkim zwolennikiem poboru, czy zechce mi pan powiedzieć, dlaczego nie zaciągnął się pan do Wysokiej Straży? Niewątpliwie ma pan kwalifikacje.

— No więc, odpowiem panu w taki sam sposób jak pan mnie. Najpierw, albo po pierwsze, nie jestem kolonistą, a więc to nie moja wojna. Po drugie to mój

pierwszy urlop od chwili gdy uziemili statki klasy *Comet*. Po trzecie zaś zaciągnąłem się wczoraj i właśnie przepijam moją premię zanim się zgłoszę na służbę. Czy to pana zadowala?

— Całkowicie! Czy mogę postawić panu drinka?

— Stary Charlie nie podaje nic oprócz kawy. Powinien pan o tym wiedzieć. Proszę, oto kubek. Niech nam pan opowie, co się gotuje na Wyspie Gubernatora. Prosimy o dane z pierwszej ręki.

Don trzymał uszy otwarte, a usta (z reguły) zamknięte. Między innymi dowiedział się, dlaczego „wojnie” nie towarzyszyła żadna akcja militarna — nie licząc zniszczenia Circum-Terra. Nie tylko odległość wahająca się od około trzydziestu do ponad stu pięćdziesięciu milionów mil była co najmniej niewygodna dla połączeń pozafrontowych, lecz również — co ważniejsze — strach przed akcją odwetową doprowadził najwyraźniej do sytuacji patowej.

Sierżant techniczny ze Średniej Straży wyjaśnił to wszystkim, którzy chcieli go słuchać.

— Teraz chcą, żeby alarm bombowy co noc zrywał wszystkich na nogi. Dyr-dymały! Terra nie zaatakuje. Ważniacy, którzy rządzą Federacją są na to za mądrzy. Jest już po wojnie.

— Dlaczego sądzi pan, że nie zaatakują? — zapytał Don. — Jesteśmy bezbronnym celem.

— Jasne, że tak. Jedna bomba i wymażą tę dziurę z powierzchni bagien. Tak samo Buchanana. Tak samo CuiCui Town. Ale co to im da?

— Nie wiem, ale nie uśmiecha mi się, żeby rzucili na mnie bombę atomową.

— Nie rzuca! Rusz głową. Załatwią w ten sposób kilku sklepikarzy i kupę polityków, ale nie ruszą głębi kraju, Republika Wenus będzie równie silna jak przedtem, dlatego że te trzy miasta stanowią jedyne nadające się do zbombardowania cele na tym całym spowitym mgłą świecie. I co się stanie wtedy?

— Pan wie. Niech mi pan powie.

— Dojdzie do akcji odwetowej, przy użyciu tych wszystkich bomb, które komandor Higgins zdmuchnął z Circum-Terra. Mamy niektóre z ich najszybszych statków i najfajniejsze cele w całej historii. Wszystko od Detroit do Bolivar. Huty, elektrownie, fabryki. Nie odważą się pociągnąć nas za nos, kiedy wiedzą, że jesteśmy gotowi dać im kopa w kałdun. Bądźmy logiczni! — sierżant odstawił kubek i rozejrzał się wokół triumfalnie.

Milczący mężczyzna, który siedział przy końcu baru słuchając tego wszystkiego, odezwał się cicho.

— Tak, ale skąd pan wie, że mocni ludzie Federacji myślą logicznie?

Sierżant zrobił zdumioną minę.

— Hę? Och, niech pan da spokój! Mówię panu, że już po wojnie. Powinniśmy wracać do domu. Mam czterdzieści akrów najlepszego ryżu na całej planecie. Ktoś musi go zebrać, a ja siedzę tutaj ćwicząc alarmy bombowe. Rząd powinien coś zrobić.

„Gdy rozmyślałem, zapłonął ogień” — PSALM 39, 4

Rząd faktycznie coś zrobił. Następnego dnia uchwalono ustawę o poborze. Don usłyszał o tym w południe. Gdy tylko skończyła się pora obiadowa, wytarł ręce i wyruszył do miasta do punktu werbunkowego. Stała tam kolejka. Ustawił się na jej końcu i czekał.

W ponad godzinę później stanął twarzą w twarz z siedzącym za stołem starszym podoficerem o udreżonej twarzy, który podsunął mu formularz.

— Wpisz nazwisko drukowanymi literami. Podpisz pod spodem i dodaj odcisk kciuka. Potem podnieś prawą rękę.

— Minutkę — odparł Don. — Chcę się zaciągnąć do Wysokiej Straży. Na formularzu jest napisane „Siły Lądowe”.

Podoficer zaklął łagodnie.

— Wszyscy chcą do Wysokiej Straży. Posłuchaj, synu, kontyngent został wyczerpany o dziewiątej rano. Teraz nie wpisuję nawet na listę oczekujących.

— Ale ja nie chcę do Sił Lądowych. Ja... jestem kosmonautą.

Mężczyzna zaklął po raz drugi, już nie tak łagodnie.

— Nie wyglądasz na to. Niedobrze mi się robi, kiedy patrzę na was, patriotów z ostatniej chwili. Chcecie się zaciągnąć do podniebnych chłopaków, żeby uniknąć żołnierki w błocie. Wracaj do domu. Kiedy będziesz nam potrzebny, wyślemy po ciebie, i to nie będzie Wysoka Straż. Będziesz służył w piechocie i polubisz to.

— Ale...

— Powiedziałem, znikaj.

Don zniknął. Gdy wrócił do restauracji, stary Charlie spojrzął na zegarek, a potem na niego.

— Zostałeś żołnierzem?

— Nie chcieli mnie przyjąć.

— I bardzo dobrze. Umyj mi trochę kubków.

Gdy pochylił się nad mydlinami, miał czas się nad tym wszystkim zastanowić. Choć Don nie miał skłonności do żalów nad rozlanym mlekiem, zrozumiał teraz, że sierżant McMasters udzielił mu mądrej rady. Ominęła go zapewne jedyna (acz-

kolwiek raczej niewielka) szansa na dostanie się na Marsa. Wydawało się pewne na mur, że spędzi okres wojny (miesiące? lata?) jako żołnierz Sił Lądowych, nie zbliżając się do Marsa bardziej niż na dystans dzielący obie planety podczas opozycji — powiedzmy sześćdziesiąt, siedemdziesiąt milionów mil. Z tej odległości nie usłyszą krzyku.

Zastanowił się nad możliwością powołania się na terrańskie obywatelstwo, odrzucił ją jednak natychmiast. Uzyskał prawo przybycia tutaj jako obywatel Wenus. Zaprzeczanie własnemu słowu nie było w jego stylu. Poza tym popierał sprawę Wenus, bez względu na to, jak rozstrzygną kiedyś prawnicy kwestię jego obywatelstwa.

Ponadto, nawet gdyby mógł przełknąć takie posunięcie, nie widział siebie za drutami obozu dla internowanych. Wiedział, że na Mierzei Wschodniej jest taki obóz. Może przesiedzieć tam wojnę i niech Isobel przynosi mu paczki w niedzielne popołudnia?

Nie oszukuj się Don, mój chłopcze. Isobel jest zagorzałą patriotką. Rzuciłaby ciebie jak wesz błotną.

„Głową muru nie przebijesz” — Konfucjusz, czy ktoś taki. Don nie mógł się z tego wykręcić, ale nie przejmował się zbytnio. Zresztą Federacja nie miała powodu pchać się na Wenus. W końcu czyja to planeta?

Pragnął gorąco nawiązać kontakt z rodzicami i powiadomić ich, że ma pierścionek doktora Jeffersona, nawet jeśli nie mógł im go w tej chwili przekazać. Będzie musiał zajrzeć do biura IT&T i sprawdzić, czy dzisiaj można nawiązać łączność. Charlie powinien zamontować w tej norze telefon.

Nagle przypominał sobie, że pozostała jeszcze jedna osoba, do której mógł się zwrócić o pomoc. „Sir Isaac”. Miał szczery zamiar nawiązać kontakt ze swym przyjacielem smokiem, gdy tylko wylądował, okazało się to jednak niełatwe. „Sir Isaac” nie zszedł na ląd w Nowym Londynie. Don nie zdołał się dowiedzieć w miejscowym biurze, w jakim miejscu smok wylądował. Zapewne w CuiCui Town lub Buchanan, lub też, skoro „sir Isaac” był ważną osobistością, Średnia Straż mogła urządzić dla niego specjalne lądowanie. Mógł się znajdować w każdym miejscu na planecie o powierzchni lądów większej niż Ziemia.

Rzecz jasna podobną osobistość można było odszukać, lecz w tym celu musiałby najpierw zwrócić się do Urzędu Spraw Tubylczych na Wyspie Gubernatora. To oznaczało dwugodzinną podróż, wliczając przejazd gondolą w obie strony oraz biurokratyczne formalności, na które z pewnością się natknie. Powiedział sobie, że po prostu nie ma na to czasu.

Teraz jednak musiał go znaleźć. „Sir Isaac” mógł mu załatwić przydział bądź przeniesienie do Wysokiej Straży, bez względu na kontyngent. Rząd gorąco pragnął zadowolić smoki i pozyskać ich przyjaźń dla nowego porządku. Ludzkość mogła przebywać na Wenus jedynie za zgodą smoków i politycy o tym wiedzieli.

Czuł nieco nieśmiałości na myśl o wykorzystaniu wpływów politycznych, lecz czasem nic innego nie skutkuje.

— Charlie!

— He!

— Ostrożnie z łyżkami. Muszę znów pójść do miasta.

Charlie chrząknął z niechęcią. Don powiesił fartuch i wyszedł. Za biurkiem w IT&T nie było Isobel. Don przekazał swe nazwisko za pośrednictwem pełniącego służbę urzędnika. Gdy wszedł do środka, ujrzał jej ojca. Pan Costello podniósł wzrok i powiedział.

— Cieszę się, że pan przyszedł, panie Harvey. Chciałem się z panem zobaczyć.

— Czy mój radiogram dotarł?

— Nie. Chciałem oddać panu kwit.

— He? Co się stało?

— Nie byłem w stanie wysłać pańskiego radiogramu. Nie wiem, kiedy będę mógł to zrobić. Jeśli później się okaże, że istnieje taka możliwość, przyjmę pański kwit — albo gotówkę, jeśli będzie ją pan miał.

Don miał nieprzyjemne poczucie, że zbywa się go w sposób uprzejmy.

— Chwileczkę, panie Costello. Miałem wrażenie, że dzisiaj jest pierwszy dzień, w którym możliwe będzie nawiązanie łączności. Czy jutro warunki nie będą lepsze, a pojutrze jeszcze lepsze?

— Tak, teoretycznie. Dzisiaj jednak były wystarczająco dobre. Nie ma łączności z Marsem.

— Ale jutro?

— Nie wyraziłem się jasno. Próbowaliśmy połączyć się z Marsem i nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Sprawdziliśmy więc to za pomocą radaru. Sygnał powrócił w prawidłowym czasie — dwa tysiące dwieście trzydzieści osiem sekund. To na pewno nie była „zjawą”. Wiemy więc, że kanał działa jak należy i nasz sygnał dotarł do celu. Jednakże Stacja Schiaparelli nie odpowiedziała. Kontakt nie nawiązano.

— Może awaria?

— Mało prawdopodobne. To stacja dwuzestawowa. Używają jej do astronawigacji, rozumie pan. Nie, obawiam się, że odpowiedź jest oczywista.

— Słucham?

— Siły Federacji zajęły stację, by wykorzystać ją do własnych potrzeb. Nie będziemy mogli nawiązać łączności z Marsem, dopóki nam na to nie pozwolą.

Don opuścił gabinet kierownika w nastroju tak ponurym, jak wskazywał na to jego wygląd. Gdy wychodził z budynku, wpadł na Isobel.

— Don!

— Och... cześć, babciu.

Była podekscytowana i nie zauważyła jego nastroju.

— Don, właśnie wracam z Wyspy Gubernatora. Wiesz co? Mają założyć Korpus Kobiocy!

— Naprawdę?

— Komisja rozpatruje projekt ustawy. Nie mogę się doczekać. Wstąpię do niego, oczywiście. Wpisałam się już na listę.

— Naprawdę? Tak, myślę, że to zrobisz — po zastanowieniu dorzucił. — Dziś rano próbowałem się zaciągnąć.

Zarzuciła mu ramiona na szyję ku wielkiemu zainteresowaniu klientów zebranych w holu. — Don!

Gdy uwolniła go ku jego uldze z uścisku, był cały czerwony na twarzy.

— Nikt tak naprawdę tego od ciebie nie oczekiwał, Don — dodała. — Ostatecznie to nie twoja walka. Twoim domem jest Mars.

— No więc, sam nie wiem. Mars właściwie też nie jest moim domem. Zresztą nie wzięli mnie. Kazali mi czekać na pobór.

— No... i tak jestem z ciebie dumna.

Wrócił do restauracji, czując się zawstydzony tym, że zabrakło mu odwagi, by jej powiedzieć, dlaczego chciał się zaciągnąć i dlaczego go nie przyjęto. W chwili gdy dotarł do lokalu podjął już niemal decyzję, że następnego dnia wróci do biura werbunkowego i pozwoli, by przyjęto go do piechoty. Powiedział sobie, że przerwanie łączności z Marsem przecięło ostatnią więź łączącą go z jego starym życiem. Mógł równie dobrze przyjąć to nowe z całego serca. Lepiej zgłosić się na ochotnika niż zostać wziętym przymusowo.

Po zastanowieniu doszedł jednak do wniosku, że najpierw wybierze się na Wyspę Gubernatora i wyśle jakąś wiadomość do „sir Isaaca”. Nie było sensu zostawać w Siłach Lądowych, jeśli jego przyjaciel mógł załatwić przeniesienie do Wysokiej Straży. Było teraz w stu procentach pewne, że prędzej czy później wyśle ona ekspedycję na Marsa. Mógł równie dobrze wziąć w niej udział. Jeszcze tam się dostanie!

Po jeszcze głębszym zastanowieniu postanowił, że lepiej będzie zaczekać dzień czy dwa aż „sir Isaac” się odezwie. Z pewnością łatwiej będzie od razu otrzymać przydział do Straży niż później załatwić przeniesienie.

Tak, to było najrozsądniejsze. Niestety nie sprawiło to, że poczuł się z siebie zadowolony.

Tej nocy nastąpił atak Federacji.

* * *

Rzecz jasna nie powinno do niego dojść. Sierżant, który uprawiał ryż, miał całkowitą rację. Federacja nie mogła sobie pozwolić na narażenie swych wielkich miast na niebezpieczeństwo po to tylko, by ukarać wieśniaków z Wenus. Miał rację, ale tylko ze swojego punktu widzenia.

Rolnik uprawiający ryż kieruje się swoją logiką, zaś ludzie żyjący władzą i dla władzy swoją — całkiem odmienną. Ich życie opiera się na subtelnych założeniach i łatwej do utracenia reputacji. Nie mogą sobie pozwolić na zlekceważenie wyzwania rzuconego ich władzy. Federacja nie mogła nie ukarać zuchwałych kolonistów.

Walkiria, orbitująca wokół Wenus w stanie nieważkości, została bez ostrzeżenia zamieniona w radioaktywny gaz. Adonis, który krążył po tej samej orbicie o tysiąc mil za nią, ujrzał eksplozję i zawiadomił o niej Planetarną Kwaterę Główną w Nowym Londynie, po czym również zamienił się w eksplodującą kulę ognia.

Zawodzenie syren obudziło Dona ze snu ciężkiego ze zmęczenia. Usiadł na łóżku w ciemności, potrząsnął głową, by oprzytomnieć i zdał sobie z nagłym podnieceniem sprawę co to za dźwięk i co on oznacza. Potem powiedział sobie: „Nie bądź głupi.” Mówiono coś o nocnym alarmie. To były tylko ćwiczenia.

Wstał jednak i pomacał na oślep w poszukiwaniu wyłącznika światła, po to tylko, by stwierdzić, że prąd najwyraźniej wyłączono. Poszukał rękoma ubrania, włożył prawą nogę w lewą nogawkę i potknął się. Mimo to zdążył się już praktycznie ubrać do chwili, gdy zbliżyło się do niego małe, migoczące światełko. Był to Charlie. W jednym ręku trzymał świeczkę, a w drugim swój ulubiony tasak, którego używał do celów zawodowych i towarzyskich.

Ciągłe zawodzenie syren nie cichło.

— Co to jest, Charlie? — zapytał Don. — Czy myślisz, że to naprawdę atak?

— Najpewniej jakiś jełop oparł się o wyłącznik.

— Możliwe. Wiesz co ci powiem? Pójdę do miasta sprawdzić, co się stało?

— Lepiej zostań w domu.

— Zaraz wrócę.

Po wyjściu musiał się przepychać przez tłum wynochów. Wszystkie pobekiwały ze strachu i usiłowały wepchnąć się do środka, by być blisko swego przyjaciela Charliego. Przedostał się przez nie i dotarł po omacku na ulicę. Tuż za nim podążały dwa wynochy, które sprawiały wrażenie, że chcą mu się schować do kieszeni.

W porównaniu z wenusjańską nocą najczarniejszy mrok na Ziemi wydaje się zaledwie szary. Wyglądało na to, że w całym mieście nie ma prądu. Dopóki nie skręcił w Buchanan Street nie mógłby policzyć własnych palców nie dotykając ich. Wzdłuż ulicy gdzieś widać było błyski zapalniczek i okno, czy dwa, za którymi coś świeciło się słabo. Daleko w górze ulicy ktoś miał ręczną latarkę. Don ruszył w tym kierunku.

Na ulicach panował tłok. Co chwila wpadał na kogoś po ciemku. Słyszał urywki rozmów.

— ...całkowicie zniszczone.

— To rutynowe ćwiczenia. Jestem kosmicznym strażnikiem. Wiem, co mówię.

— Po co wyłączono światło? I tak ich detektory mogą wykryć stos atomowy.
— Hej, zjeżdż z moich nóg!

Gdzieś po drodze zgubił swą eskortę. Niewątpliwie towarzyszki znalazły sobie kogoś cieplejszego do przytulania.

Zatrzymał się w miejscu gdzie tłum był najgęstszy, w pobliżu biura nowolondyńskiego *Timesa*. Wewnątrz paliły się awaryjne światła, dzięki którym można było czytać biuletyny przyklepione do okna. Na samym szczycie widać było:

BIULETYN Z OSTATNIEJ CHWILI (NIEOFICJALNY). KRAŻOWNIK ADONIS MELDUJE, ŻE KRAŻOWNIK WALKIRIA EKSPLODOWAŁ O GODZINIE 0300. PRZYCZYNY EKSPLOZJI NIE PODANO. LOKALNE WŁADZE WYKLUCZAJĄ MOŻLIWOŚĆ ATAKU. SUGERUJĄ RACZEJ SABOTAŻ. OCZEKIWANE DALSZE MELDUNKI. DOWÓDCA ADONISA.

BERMUDY (KOMUNIKAT PRZECHWYCONY). ZAMIESZKI W AFRYCE ZACHODNIEJ OKREŚLONE JAKO „DROBNY INCYDENT” WYWOŁANE PRZEZ AGITATORÓW RELIGIJNYCH. MIEJSCOWA POLICJA WSPOMAGANA PRZEZ PATROL FEDERACJI OPANOWAŁA W PEŁNI SYTUACJĘ (JAKOBY).

BERMUDY (KOMUNIKAT PRZECHWYCONY). ŹRÓDŁA ZBLIŻONE DO MINISTRA SPRAW ZEWNĘTRZNYCH PODAJĄ, ŻE OCZEKUJE SIĘ SZYBKIEGO ROZSTRZYGNIĘCIA WENUSJAŃSKIEGO INCYDENTU. PRZEDSTAWICIELE ZBUNTOWANYCH KOLONISTÓW KONFERUJĄ JAKOBY Z PEŁNOMOCNIKAMI FEDERACJI GDZIEŚ NA LUNIE W ATMOSFERZE DOBREJ WOLI I WZAJEMNEGO ZROZUMIENIA. (UWAGA: OTRZYMALIŚMY NIEOFICJALNE DEMENTI TEJ WIADOMOŚCI Z WYSPY GUBERNATORA.)

NOWY LONDYN (PLANETARNA KWATERA GŁÓWNA — KOMUNIKAT OFICJALNY). SZEF SZTABU POTWIERDZIŁ FAKT USZKODZENIA WALKIRII! TWIERDZI JEDNAK, ŻE JEJEGO ZAKRES ZOSTAŁ ZNACZNIE PRZESADZONY. WSTRZYMANO OPUBLIKOWANIE LISTY OFIAR DO CHWILI POWIADOMIENIA RODZIN. W KAŻDEJ CHWILI OCZEKIWANY PEŁNY RAPORT OD DOWÓDCY ADONISA.

KOMUNIKAT Z OSTATNIEJ CHWILI (NIEOFICJALNY). CUCICUI — RADAR WYKRYŁ NIEZIDENTYFIKOWANE STATKI ŁADUJĄCE NA PÓŁNOC I PÓŁNOCNY ZACHÓD OD OSIEDLA. ZMIENIONO LOKALNY GARNIZON. PLANETARNA KWATERA GŁÓWNA ODMAWIA KOMENTARZA. NA TYM NIE KONIEC. OCZEKUJCIE DALSZYCH KOMUNIKATÓW.

Don dopchał się do biuletynów i zdołał je odczytać. Słuchał też, co mówiono. Pozbawiony twarzy głos oznajmił.

— Przecież nie wylądują. To równie przestarzałe jak atak na bagnety. Gdyby naprawdę zniszczyli nasze statki — w co wątpię — zatrzymaliby się po prostu na orbicie i nadali ultimatum.

— A jeśli to zrobili? — sprzeciwił się ktoś.

— Niemożliwe. Ten biuletyn to tylko wojna psychologiczna, nic więcej. Wśród nas są zdrajcy.

— To nie nowina.

Przypominająca cień postać za szybą przylepiła następny biuletyn. Don użył łokci, by przepchnąć się bliżej.

Z OSTATNIEJ CHWILI — odczytał — PLANETARNA KWARTERA GŁÓWNA (KOMUNIKAT OFICJALNY). OFICER SZTABU GENERALNEGO ODPOWIADAJĄCY ZA INFORMACJĘ PUBLICZNĄ POTWIERDZA, ŻE DOSZŁO DO ATAKU NA NIEKTÓRE Z NASZYCH STATKÓW DOKONANEGO PRZEZ NIEZIDENTYFIKOWANE SIŁY, ZAPEWNE FEDERACYJNE. SYTUACJA JEST NIEPEWNA, LECZ NIE KRYTYCZNA. WSZYSTKICH OBYWATELI UPRASZA SIĘ O POZOSTANIE W DOMACH, UNIKANIE PANIKI I ZBYTECZNEJ GADANINY ORAZ PEŁNĄ WSPÓŁPRACĘ Z LOKALNYMI WŁADZAMI. PÓŹNIEJ W CIĄGU DNIA BĘDZIE MOŻLIWE PODANIE WIĘKSZEJ ILOŚCI SZCZEGÓŁÓW. POWTARZAM — PROSIMY O POZOSTANIE W DOMACH I WSPÓŁPRACĘ.

Samozwańczy herold stojący z przodu odczytał biuletyn na głos. Tłum przyjął to w milczeniu. W tej chwili ucichły syreny i światła się zapaliły. Ten sam głos, który uprzednio uskarżał się na zaciemnienie, teraz zaczął czynić wymówki.

— Po co włączyli te światła? To praktycznie zaproszenie do zbombardowania nas!

Nie pojawiło się już więcej biuletynów. Don postanowił udać się do budynku IT&T, nie dlatego, iż spodziewał się tam zastać o tej godzinie Isobel, lecz w nadziei, że usłyszy więcej wiadomości. Nie zdążył jeszcze dotrzeć do gmachu, gdy nadział się na patrol żandarmerii oczyszczający ulice. Kazali mu zawrócić i rozproszyli tłum zgromadzony przed redakcją gazety. Gdy Don oddalił się, jedyną osobą, która tam pozostała, był smok z szypułkami skierowanymi w kilku kierunkach równocześnie. Wyglądało na to, że czyta wszystkie biuletyny naraz. Don pragnął zatrzymać się i zapytać go, czy zna „sir Isaaca” i, jeśli tak, gdzie jego przyjaciela można odnaleźć, lecz żandarm przegnał go stamtąd. Patrol nie próbował nigdzie odsyłać smoka. Pozostawiono całą ulicę w jego niekwestionowanym posiadaniu.

Stary Charlie nadal był na nogach. Siedział za stołem i palił papierosa. Jego tasak leżał tuż przy nim. Don powtórzył mu, czego się dowiedział.

— Charlie, czy myślisz, że mogą wylądować?

Charlie wstał, podszedł do szuflady, wydobyl z niej oselkę, wrócił na miejsce i przystąpił do łagodnego pocierania ostrza tasaka.

— Może być.

— Jak sądzisz, co mamy zrobić?

— Iść do łóżka.

— Nie chce mi się spać. Po co to ostrzysz?

— To moja restauracja — uniósł narzędzie i zważył je w ręku. — I to mój kraj.

Rzucił tasakiem, który obrócił się dwukrotnie i wbił — trzask! — w drewniany słup po drugiej stronie pomieszczenia.

— Ostrożnie z tym! Możesz zrobić komuś krzywdę!

— Idź do łóżka.

— Ale...

— Prześpij się trochę, bo jutro będziesz żałował — odwrócił się i Don nie wydobyl już z niego nic więcej. Poddał się i skierował do swego kącika. Nie miał zamiaru spać, jedynie wszystko przemyśleć. Jeszcze przez długą chwilę po tym, jak się położył, słyszał cichy szelest kamienia o stal.

Ponownie obudził go dźwięk syren. Było już jasno. Udał się do frontowego pokoju. Charlie już tam był. Stał nad piecem.

— Co się dzieje?

— Śniadanie.

Jedną ręką Charlie zrzucił z patelni jajko sadzone na kromkę chleba, podczas gdy drugą rozbił następne i rzucił na tłuszcz. Przykrył jajko drugim kawałkiem chleba i wręczył kanapkę Donowi.

Ten wziął ją i odgryzł duży kawałek, zanim powiedział.

— Dziękuję. Po co włączyli syreny?

— Biją się. Posłuchaj.

Skądś z dali nadbiegło stłumione: „ba-bach!” wybuchu. Gdy ucichło, zaczął się przez nie przebijać znacznie bliższy suchy syk wiązki igłowej. Mgła wpadająca przez okno zmieszana była z ostrym zapachem płonącego drewna.

— Hej! — zawołał Don piskliwym głosem. — Naprawdę to zrobili — zaciskał automatycznie szczęki na kanapce. Nie myślał już o jedzeniu.

Charlie chrząknął.

— Powinniśmy stąd uciekać — ciągnął Don.

— Dokąd?

Na to Don nie potrafił odpowiedzieć. Skończył kanapkę nie przestając wyglądać przez okno. Woń dymu była coraz silniejsza. W końcu zaułka pojawiła się połowa drużyny żołnierzy, poruszających się wolnym krokiem.

— Popatrz! To nie nasze mundury!

— Jasne że nie.

Grupa zatrzymała się u podstawy ulicy. Następnie trzech ludzi oddzieliło się od niej i ruszyło w głąb zaułka zatrzymując się przy każdych drzwiach i waląc w nie.

— Wyłazić! Wstawać! Wszyscy na zewnątrz!

Dwóch z nich dotarło do stołowni „Dwa Światy”. Jeden z nich kopnął w drzwi, które otworzyły się.

— Wyłazić! Podpalamy ten budynek!

Mężczyzna, który przemówił, miał na sobie zielony mundur moro z dwoma szewronami. W rękach trzymał karabin Reynoldsa. Na plecach miał dostarczający mu energii zasilacz. Rozejrzał się wokół.

— Popatrz, co tu mamy! — odwrócił się do swego towarzysza. — Joe, miej oko, czy porucznik nie idzie — zwrócił się znowu do starego Charliego. — Ty, chłopak, zrób nam jajecznicę. Tak z dwunastu jaj. Tylko migiem. Musimy zaraz spalić ten lokal.

Don dał się kompletnie zaskoczyć. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć lub zrobić. Z karabinem Reynoldsa nie sposób dyskutować. Charlie najwyraźniej był tego samego zdania, gdyż zwrócił się w stronę pieca, jakby miał zamiar posłuchać rozkazu.

Nagle odwrócił się z powrotem ku żołnierzowi. W ręku trzymał tasak. Don niemal nie zdążył zauważyć, co się stało — błysk błękitnej stali w powietrzu, miękki dźwięk jak w sklepie rzeźniczym i tasak zatopił się po rękojeść w klatce piersiowej żołnierza.

Ten nawet nie krzyknął. Zrobił tylko lekko zdziwioną minę, po czym padł powoli na podłogę tam, gdzie stał, z rękoma nadal zaciśniętymi na karabinie. Gdy osunął się na ziemię, głowa pochyliła mu się do przodu, a broń wyśliznęła się z rąk.

Przez ten czas drugi żołnierz stał nieruchomo, z bronią gotową do strzału. Gdy z rąk jego przełożonego wypadł karabin, zadziało to na niego jak sygnał. Uniósł własną broń i strzelił Charliemu prosto w twarz, po czym odwrócił się i wycelował karbin w Dona. Chłopiec spojrzał prosto w ciemne zagłębienie projektora.

„Mógłbyś wrócić na Ziemię...”

Stali tak przez czas trzech uderzeń serca... po czym żołnierz opuścił broń o około cala i rozkazał.

— Wyłaż! Szybko!

Don spojrział na karabin. Żołnierz wykonał nim gest. Chłopiec wyszedł na zewnątrz. Gorzała w nim wściekłość. Pragnął zabić żołnierza, który uśmiercił staro Charliego. Nic dla niego nie znaczył fakt, że jego szefa zabito w sposób pozostający w całkowitej zgodzie ze zwyczajami wojennymi. W obecnym stanie umysłu nie interesowały go prawnicze formalności. Był jednak bezbronny wobec przemożnej siły. Wykonał rozkaz. Gdy tylko wyszedł, żołnierz zaczął omiatać ściany wiązką karabinu Reynoldsa, Don usłyszał syk w chwili, gdy uderzyła ona w suche drewno.

Napastnik przesadził trochę z podpalaniem. Wydawało się, że budynek niemal eksplodował. Gdy tylko Don znalazł się za drzwiami, dom płonął już, w dwunastu miejscach. Żołnierz wypadł ze środka tuż za nim i dźgnął go podstawą gorącego projektora.

— Naprzód! Wzdłuż ulicy!

Don pognął kłusem. Wybiegł z zaułka na Buchanan Street.

Ulica pełna była ludzi. Żołnierze w zielonych mundurach pędzili ich w stronę peryferii. Po obu stronach ulicy płonęły budynki. Najeźdźcy niszczyli całe miasto, dawali jednak mieszkańcom jakąś szansę na ucieczkę z kataklizmu. Dona popędzono naprzód jako część pozbawionego twarzy tłumu, a następnie zagoniono w boczną ulicę, która jeszcze nie płonęła. Po chwili znaleźli się poza miastem, lecz droga się nie skończyła. Don nigdy nie był w tej okolicy, lecz z rozmów prowadzonych wokół niego dowiedział się, dokąd ich prowadzą — na Mierzeje Wschodnią.

Do obozu otoczonego drutami, w którym nowy rząd przetrzymywał nieprzyjacielskich obywateli. Większość ludzi w tłumie wyglądała na zbyt oszołomionych, by ich to obchodziło. Gdzieś w pobliżu Dona krzyczała jakaś kobieta. Jej głos wznosił się i opadał jak dźwięk syreny.

Do obozu wciśnięto przeszło dziesięć razy więcej ludzi niż wynosiła jego pojemność. W budynkach obozowych nie było gdzie stanąć. Nawet na wolnej prze-

strzeni koloniści niemal się stykali. Strażnicy wepchnęli ich po prostu do środka i przestali zwracać na nich uwagę. Więźniowie stali bądź kręcili się w kółko, podczas gdy miękkie, szare popioły ich dawnych domostw opadały na nich z mglistego nieba.

Don wziął się w garść podczas marszu do obozu. Gdy tylko znalazł się za drutami, spróbował odszukać Isobel Costello. Przepychał się przez tłum, szukał, pytał, zaglądał w twarze. Więcej niż jeden raz wydawało mu się, że ją widzi, przeżył jednak rozczarowanie. Nie znalazł też jej ojca. Kilkakrotnie rozmawiał z osobami, którym wydawało się, że ją widziały, lecz za każdym razem trop okazywał się fałszywy. Zaczął przeżywać koszmary na jawie, wyobrażać sobie, że jego młoda, porywczą przyjaciółka zginęła w pożarze lub leży w zaułku z dziurą w głowie.

Jego męczące poszukiwania przerwał metaliczny głos dobiegający znikąd i docierający do najdalszych części obozu za pośrednictwem jego systemu nagłośnienia.

— Uwaga! — rozległo się. — Cisza! Bacność! Mówi pułkownik Vanistart z Sił Pokojowych Federacji. Przemawiam w imieniu Gubernatora Wojskowego Wenus. Wszystkim kolonistom oprócz tych, którzy pełnili funkcje w rebelianckim rządzie oraz oficerów sił rebelianckich udziela się warunkowej amnestii. Zostaniecie zwolnieni, gdy tylko można będzie dokonać identyfikacji. Przywraca się kodeks prawny obowiązujący przed rebelią, który może być poszerzony o nowe prawa wprowadzone przez gubernatora wojskowego. Zwracam uwagę na Rozporządzenie Stanu Wyjątkowego Numer Jeden: Miasta Nowy Londyn, Buchanan oraz CuiCui Town zostają zlikwidowane. Od tej chwili nie zezwala się na istnienie żadnego osiedla większego niż tysiąc mieszkańców. Każde zgromadzenie liczniejsze niż dziesięć osób wymaga zezwolenia miejscowego szefa żandarmerii. Pod karą śmierci zabrania się tworzenia organizacji wojskowych oraz posiadania przez kolonistów broni energetycznej.

Głos umilkł. Don usłyszał, jak ktoś za nim powiedział.

— To co, ich zdaniem, mamy zrobić? Nie mamy dokąd pójść, nie mamy jak żyć...

Odpowiedź na to retoryczne pytanie była natychmiastowa. Głos ciągnął.

— Federacja nie udzieli rozproszonym buntownikom żadnej pomocy. Muszą oni skorzystać ze wsparcia kolonistów, którzy nie zostali wywłaszczeni. Radzi się wam po zwolnieniu rozejść się po okolicy i szukać tymczasowego schronienia u farmerów i w mniejszych wioskach.

— Oto i odpowiedź, Claro — rozległ się przepojony goryczą głos. — Guzik ich obchodzi czy będziemy żyć, czy zginemy.

— Ale jak mamy opuścić miasto? — odparł pierwszy z głosów. — Nie mamy nawet gondoli.

— Pewnie wpław. Albo idąc po wodzie.

Na teren obozu weszli żołnierze, którzy prowadzili ich ku bramie w grupach po pięćdziesiąt osób, zupełnie jak kowboje zaganiający bydło. Don przepchnął się bliżej wyjścia w nadziei, że zobaczy tam Isobel i wbrew własnej woli został zabrany z drugą grupą. Na żądanie okazał swój dowód tożsamości i natychmiast nadziei się na przeszkodę: jego nazwiska nie było na listach miejskich. Wyjaśnił, że przyleciał ostatnim kursem *Nautilusa*.

— Czemu od razu tak nie powiedziałeś? — mruknął dokonujący kontroli żołnierz. Odwrócił się i sięgnął po następną listę. — Hannegan... Hardecker... o, jest. Harvey, Donald J. Kurde! Zaczekaj chwilkę. Jest przy nim znaczek. Hej, sierżancie! Ten ptaszek ma przy nazwisku znaczek z wydziału politycznego.

— Do środka z nim — dobiegła zdruzona odpowiedź.

Dona wpełniło do wartowni przy bramie wraz z tuzinem innych obywateli o zmartwionych minach. Niemal natychmiast zaprowadzono go do małego gabinetu na zapleczu. Mężczyzna, który wydawałby się wysoki, gdyby nie był tak gruby, wstał z krzesła i zapytał.

— Donald James Harvey?

— Zgadza się.

Mężczyzna podszedł do niego i przyjrzał mu się. Twarz spowijał mu uśmiech szczęścia.

— Witaj, mój chłopcze, witaj! Jak się cieszę, że cię widzę!

Don zrobił zdumioną minę.

— Powinienem chyba się przedstawić — ciągnął mężczyzna. — Stanley Bankfield, do usług, oficer polityczny IBI pierwszej klasy, w tej chwili specjalny doradca jego ekscelencji gubernatora.

Na wspomnienie IBI Don zeszywniał. Mężczyzna zauważył to — wydawało się, że jego małe, pograżone w tłuszczu oczka dostrzegają wszystko.

— Spokojnie, synu! — powiedział. — Nie zamierzam cię skrzywdzić. Jestem wprost zachwycony, że cię widzę. Muszę jednak powiedzieć, że nieźle się za tobą nauganiałem. Przez połowę układu. W pewnej chwili myślałem, że zginąłeś na nieodżałowanej pamięci *Szlaku Chwały* i wylewałem łzy z powodu twojego zgonu. Tak jest, mój panie! Prawdziwe łzy. Z tym już jednak koniec. Wszystko dobre co się dobrze kończy. No więc proszę o to.

— O co?

— Daj spokój! Wiem o tobie wszystko. Znam prawie każde słowo, które wypowiedziałeś od czasów niemowlęstwa. Dawałem nawet cukier twojemu kucykowi, Leniuchowi. Daj mi go.

— Co mam panu dać?

— Pierścionek, pierścionek! — Bankfield wyciągnął pulchną dłoń.

— Nie wiem o czym pan mówi.

Bankfield wrzucił z rozmachem ramionami.

— Mówię o plastikowym pierścionku ozdobionym literą H, który dał ci zmarły doktor Jefferson. Jak widzisz, ja wiem o czym mówię. Wiem, że go masz i zamierzam go od ciebie dostać. Jeden z moich oficerów był tak głupi, że pozwolił ci z nim uciec i drogo za to zapłacił. Jestem pewien, że nie chciałbyś, by to samo przytrafiło się mnie. Daj mi go więc.

— Teraz już wiem o jaki pierścionek panu chodzi — odrzekł Don. — Ale ja go nie mam.

— Hę? Co takiego mówisz? A więc gdzie on jest?

Don myślał gorączkowo. Nie potrzeba mu było ani chwili, by zdecydować, że nie zaprowadzi IBI na trop Isobel, choćby nawet miał odgryźć własny język.

— Chyba się spalił — odparł. Bankfield przechylił głowę na bok.

— Donald, mój chłopcze, mam wrażenie, że mnie okłamujesz. Doprawdy mam! Zanim odpowiedziałeś, zawahałeś się małą chwileczkę. Tylko taki stary, podejrzliwy facet, jak ja, mógł to zauważyć.

— To prawda — nie ustępował Don. — Przynajmniej tak mi się zdaje. Jedna z tych małąp, które dla pana pracują, podpaliła budynek, gdy tylko z niego wyszedłem. Myślę, że spłonął do szczytu i pierścionek razem z nim. Ale może tak się nie stało.

Bankfield miał niepewną minę.

— Jaki budynek?

— Stołownia „Dwa Światy”, na końcu Paradise Alley przy podstawie Buchanan Street.

Bankfield dopadł szybko do drzwi i wydał rozkazy.

— Weźcie tylu ludzi, ile potrzeba — zakończył — i przesiejcie każdą uncję popiołu. Jazda! — odwrócił się z powrotem. Westchnął. — Nie mogę zaniedbać żadnej możliwości — powiedział — teraz jednak wrócimy do przypuszczenia, te skłamałeś. Dlaczego miałbyś zdejmować pierścionek w restauracji?

— Żeby zmywać naczynia.

— Hę?

— Mieszkałem tam i pracowałem za wyżywienie. Nie chciałem go wkładać do gorącej wody, więc zostawiałem go w pokoju.

Bankfield wydał wargi.

— Prawie mnie przekonałeś. Twoja opowieść trzyma się kupy. Niemniej mój dymy się obaj, by się okazało, że mnie oszukujesz. Jeśli tak jest i potrafisz mnie zaprowadzić do pierścionka, będę bardzo wdzięczny. Mógłbyś wrócić na Ziemię wygodnie i fasonem. Sądzę, że mógłbym ci nawet obiecać umiarkowaną rentę. Mam na takie cele specjalne środki.

— Mało prawdopodobne bym ją otrzymał. Chyba że znajdę ten pierścionek w restauracji.

— Ojej! W takim razie nie sądzą, by którykolwiek z nas wrócił na Ziemię. Nie, mój panie, sądzą, że gdyby miało się tak stać, lepiej będzie dla mnie, gdy

zostanę tutaj i poświęcę resztę moich dni na zatruwanie ci życia — uśmiechnął się. — Żartowałem. Jestem pewien, że znajdziemy pierścionek, z twoją pomocą. No więc, Don, powiedz mi, co z nim zrobiłeś

— położył rękę na ramionach Dona w ojcowskim geście. Chłopiec spróbował rzucić jego dłoń i stwierdził, że nie może tego dokonać.

— Moglibyśmy to załatwić szybko — ciągnął Bankfield — gdybym miał pod ręką odpowiedni sprzęt. Mógłbym też zrobić tak. . .

Ręka spoczywająca na ramionach Dona opadła nagle. Bankfield złapał go za mały palec u lewej dłoni i wygiął go gwałtownie do tyłu. Mimo woli Don jęknął z bólu.

— Przepraszam! Nie lubię takich metod. Nadmiernie gorliwy operator często uszkadza klienta tak, że nie sposób wyciągnąć z niego cokolwiek. Nie, Don, sądzę, że poczekamy kilka minut, a tymczasem wyślę słówko do wydziału medycznego. Wygląda na to, że wskazany jest pentotal. On uczyni cię bardziej skłonnym do współpracy, nie sądzisz? — Bankfield ponownie podszedł do drzwi. — Ordynans! Zamknij go na razie i przyślij tu tego Mathewsona.

Dona wyprowadzono z wartowni i skierowano na otoczony drutami teren, gdzie przetrzymywano więźniów. Miał on około trzydziestu stóp szerokości i stu długości. Jeden z dłuższych boków miał ogrodzenie wspólne z obozem, za pozostałymi znajdował się wolny świat. Jedyne wejście prowadziło przez wartownię.

Przebywało tam kilka tuzinów więźniów. Większość stanowili mężczyźni w strojach cywilnych, choć Don dostrzegł też trochę kobiet i całkiem sporą liczbę oficerów Średniej Straży i Sił Lądowych — wszystkich w mundurach, lecz rozbrojonych.

Natychmiast przyjrzał się twarzom kobiet. Żadna z nich nie była Isobel. Nie spodziewał się, że ją tu znajdzie, lecz mimo to przeżył potężne rozczarowanie. Nie miał już czasu. Zdał sobie z przerażeniem sprawę, że zapewne za kilka minut do jego żył wstrzykną pod przymusem narkotyk, co zamieni go w paplające dziecko pozbawione siły woli, niezbędnej by oprzeć się pytaniom. Nigdy nie poddano go przesłuchaniu przy użyciu narkotyków, wiedział jednak dobrze, co można w ten sposób osiągnąć. Nawet głęboka sugestia hipnotyczna nie stanowiła obrony, jeśli przesłuchiwany znalazł się w rękach sprawnego operatora.

Z jakiegoś powodu czuł się pewien, że Bankfield był sprawny.

Podszedł do najdalszego końca ogrodzenia. Zrobił to bezcelowo, jak przestraszone zwierzę, które kryje się z tyłu klatki. Stał tam, gapiąc się na szczyt płotu znajdujący się kilka stóp nad jego głową. Ogrodzenie było mocne i szczelne, zdolne powstrzymać wszystko z wyjątkiem smoka, lecz na siatce można było znaleźć uchwyty dla rąk, by wspiąć się na nią. Niemniej z góry przebiegały trzy pojedyncze przewody, a na najniższym z nich co około dziesięciu stóp rozmieszczone były małe czerwone znaki — czaszki i piszczele — oraz słowa: WYSOKIE NAPIĘCIE.

Don obejrzał się przez ramię. Nigdy nie znikająca mgła zagęszczona przez dym z płonącego miasta przesłoniła niemal wartownię. Wiatr zmienił kierunek i dym stawał się gęstszy. Don był praktycznie pewien, że nie widzi go nikt poza pozostałymi więźniami.

Spróbował wejść na siatkę, stwierdził, że jego buty nie mieszczą się w oczka, rzucił je i spróbował ponownie.

— Nie rób tego! — usłyszał za sobą głos.

Obejrzał się. Major Sił Lądowych, pozbawiony czapki, z jednym rękawem rozdartym i zakrwawionym, stał tuż za nim.

— Nie próbuj tego — powiedział mu rozsądnie. — Zginiesz szybko. Wiem, bo sam prowadziłem nadzór nad instalacją.

Don opadł na ziemię.

— Czy nie można tego jakoś wyłączyć?

— No jasne. Z zewnątrz — oficer uśmiechnął się z przekąsem. — Dopilnowałem tego. Jeden przełącznik jest na wartowni, a drugi na głównej rozdzielnicy tablicowej miasta. Nigdzie indziej — kaszlnął. — Przepraszam. To ten dym.

Don spojrzał w kierunku płonącego miasta.

— Rozdzielnicza tablicowa w elektrowni — powiedział cicho. — Ciekawe...

— He? — major podążył za jego spojrzeniem. — Nie wiem. Nie ma pewności. Elektrownia jest ognioodporna.

Za nimi, we mgle, ktoś krzyknął.

— Harvey! Donald J. Harvey! Wystąp!

Don wspiął się po płocie.

Zawahał się tylko przez chwilę, zanim trącił najniższy z trzech przewodów grzbietem dłoni. Nic się nie stało. Przeskoczył nam nimi i spadł na drogą stronę. Uderzył się boleśnie w nadgarstek, lecz wstał na nogi i rzucił się do ucieczki.

Usłyszał za sobą krzyki. Nie zatrzymując się, zaryzykował spojrzenie przez ramię. Na szczycie płotu był ktoś inny. W tej samej chwili usłyszał syk wiązki. Postać skurczyła się z szarpnięciem, jak mucha dotknięta przez płomień. Uniosła głowę. Don usłyszał głos majora — wyraźny, pełen triumfu baryton.

— Wenus i wolność!

Oficer spadł z powrotem za ogrodzenie.

Mokra pustynia

Don runął naprzód. Nie wiedział dokąd pędzi i nie dbał o to. Ważne żeby stąd uciec. Ponownie usłyszał gniewny, śmiercionośny syk. Pognał w lewo, przyśpieszając jeszcze, po czym skręcił ponownie, za kępą miotel czarownicy. Pędził przed siebie ze wszystkich sił. Oddech ranił go w gardło jak sucha para. Nad brzegiem wody zahamował nagle.

Przez chwilę stał bez ruchu, rozglądając się i nasłuchując. Nie widział nic poza szarą mgłą, nie słyszał nic poza biciem własnego serca. Nie, niezupełnie nic. W oddali ktoś krzychał. Słyszał też odgłos obutych stóp przedzierających się przez gęstwinę. Wydawało się, że nadbiegają z prawej strony. Skręcił w lewo i pokłusował wzdłuż brzegu, wytrzeszczając oczy w poszukiwaniu gondoli, łódki czy czegokolwiek, co będzie pływać.

Wybrzeże zakręcało ponownie w lewą stronę. Podążył wzdłuż niego, lecz zatrzymał się nagle, zdając sobie sprawę, że prowadzi go ono do wąskiego pasma łądu łączącego Główną Wyspę z Mierzeja Wschodnią. To pewne, pomyślał, że w najwęższym punkcie będzie stał strażnik. Wydawało mu się, że widział go tam, gdy wraz z resztą wygnańców gnano go tamtędy do obozu.

Nasłuchiwał przez chwilę — tak jest, byli wciąż za nim. Chcieli mu odciąć drogę. Przed nim nie było nic oprócz wybrzeża prowadzącego ku nieuniknionemu schwytaniu.

Przez chwilę na jego twarzy pojawił się grymas zawodu, lecz potem jego rysy nagle stały się pogodne. Wszedł zdecydowanym krokiem do wody i oddalił się od brzegu.

Don umiał pływać, co różniło go od większości wenusjańskich kolonistów. Na Wenus nikt nigdy nie pływa, ponieważ nie ma tu wody, która by się do tego nadała. Planeta ta nie ma księżyca, który wywoływałby pływy. Pływy słoneczne poruszają wodą jedynie w niewielkim stopniu. Wody nigdy nie zamarzają, nigdy nie osiągają krytycznej temperatury czterech stopni Celsjusza, która wywołuje w ziemskich jeziorach, strumieniach i stawach pionowe ruchy wody, powodujące „wentylację”. Na Wenus niemal nie istnieje zmienna pogoda. Jej wody zalegają spokojnie na powierzchni, a pod nimi gromadzi się paskudztwo — przez lata, przez pokolenia, przez eony.

Don wszedł prosto do wody, starając się nie myśleć o czarnym, pełnym siarki gnoju, przez który kroczył. Było tam płytko. Zapuściwszy się na odległość pięćdziesięciu jardów od przesłoniętego mgłą brzegu pogrążył się w wodę dopiero po kolana. Rzucił za siebie spojrzenie i postanowił oddalić się jeszcze bardziej. Jeśli nie będzie widział brzegu, ścigający nie będą mogli zobaczyć go. Przypomniał sobie, że musi się mieć na baczności, żeby nie zmylić kierunku i nie zawrócić.

Po chwili dno obniżyło się nagle o stopę lub więcej. Don zszedł z krawędzi, zachwiał się i zaczął młócić nogami na oślep. Odzyskał równowagę i wdrapał się z powrotem na krawędź, gratulując sobie, że nie umazał twarzy i oczu mułem.

Usłyszał krzyk i niemal natychmiast po nim odgłos wody padającej na gorący piec, znacznie wzmocniony. W odległości dziesięciu stóp od niego z powierzchni wody wznosił się obłok pary, który wzbił się leniwie we mgłę. Skulił się. Chciał się skryć, nie miał jednak gdzie. Ponownie rozległy się krzyki. Głosy niosły się wyraźnie nad wodą, przytłumione przez mgłę, lecz dobrze słyszalne.

— Tutaj! Tutaj! Schronił się w wodzie.

Ze znacznie większej odległości nadbiegła odpowiedź.

— Idziemy!

Z maksymalną ostrożnością Don ruszył naprzód. Wyczuł brzeg krawędzi, pomacał nogą i stwierdził, że może stanąć poza nią. Woda sięgała mu niemal do pach, lecz głowę miał nad powierzchnią. Szedł powoli, starając się unikać hałasu, uważał na swą niepewną, pół-pływającą równowagę. Nagle ponownie usłyszał syczący dźwięk wiązki.

Żołnierz na brzegu nie był pozbawiony wyobraźni. Zamiast strzelać na oślep w unoszącą się mgłę zaczął omiatać gładką powierzchnię wody wiązką, którą starał się ze wszystkich sił utrzymać poziomo, posługując się nią jak węzłem ogrodniczym. Don przykucnął tak, że tylko jego twarz wystawała z wody.

Wiązka przeszła zaledwie o kilka cali nad jego głową. Usłyszał jej dźwięk i poczuł zapach ozonu.

Syczenie ucichło nagle, zastąpione przez stare jak świat, monotonne koszarowe przekleństwa.

— Sierzancie — sprzeciwił się ktoś.

— Ja ci pokażę „sierzanta”! Żywego, rozumiesz? Słyszałeś rozkazy. Jeśli go zabijeś, poćwiartuję cię zardzewiałym nożem. Albo nie, oddam cię panu Bankfieldowi. Ty beznadziejny durniu!

— Ale, sierzancie, on uciekał wodą. Musiałem go zatrzymać.

— „Ale, sierzancie!”, „ale, sierzancie!” — to wszystko, co potrafisz powiedzieć: Sprowadź łódź! Sprowadź noktowizor! Sprowadź dwumiejscowego, przełomnego skoczka. Zadzwoń do bazy i dowiedz się, czy mają wolny helikopter.

— Skąd mam wziąć łódź?

— Znajdź ją! Nie może uciec. Znajdziemy go, albo jego ciało. Jeśli to będzie ciało, lepiej sam sobie poderznij gardło.

Don wysłuchał tego, po czym ruszył w milczeniu naprzód, czy też w kierunku przeciwnym do tego, z którego wydawały się nadbiegać głosy. Nie potrafił już określić kierunku. Wokół niego nie było nic, poza czarną powierzchnią wody i horyzontem mgły. Przez jakiś czas dno było w miarę równe, potem Don zdał sobie sprawę, że jego poziom ponownie zaczął się obniżać. Musiał się zatrzymać. Nie mógł już dalej brodzić.

Zastanowił się nad tym, starając się unikać paniki. Nadal był blisko Głównej Wyspy. Pomiedzy nim a brzegiem nie było nic poza mgłą. Było pewne, że przy użyciu właściwego sprzętu — podcierwień lub któryś z odpowiednich potomków radaru — mogą go przyszpilić jak chrząszcza do korka. Była to tylko kwestia czasu.

Czy powinien się poddać i wydostać z tej trującej lury? Poddać się, wrócić i powiedzieć Bankfieldowi, że jeśli chce dostać pierścionek musi odnaleźć Isobel Costello? Pogrążył się w wodzie i zaczął mocno odpychać się ramionami. Płynął żabką, by uniknąć zanurzenia twarzy w wodzie.

* * *

Żabka z pewnością nie była jego najlepszym stylem. Sytuację pogarszał fakt, że tak bardzo starał się nie zamoczyć twarzy. Zaczęła go boleć szyja. Po chwili ból rozprzestrzenił się na mięśnie barków i plecy. W nieokreślony czas i niezliczone galony później bolało go już wszystko, nawet gałki oczne. Sądząc z tego, co widział, równie dobrze mógłby płynąć w wannie o ścianach z szarej mgły. Nie wydawało się możliwe, by na obszarze archipelagu, którym była Prowincja Buchanana, można było płynąć tak długo, nie wpadając na coś... ławicę piaskową czy błotną łacę.

Zatrzymał się, unosząc się w wodzie. Niemal nie poruszał zmęczonymi nogami i dłońmi. Zdawało mu się, że usłyszał odgłos pędzącej łodzi motorowej, nie był jednak tego pewien. W tej chwili było mu już wszystko jedno. Schwytanie oznaczałoby ulgę. Jednakże dźwięk, czy jego widmo, ucichł i Don ponownie pogrążył się w szarym, monotonnym pustkowiu.

Wygiął plecy w łuk, by znów zacząć płynąć i uderzył w dno palcem nogi. Pomacał z wielką ostrożnością. Tak jest, dno... broda wystawała mu z wody. Stał chwilę czy dwie, by odpocząć, po czym pomacał nogą wokół siebie. W jednym kierunku dno obniżało się, w przeciwnym wyglądało na płaskie, a może nawet unosiło się lekko w górę.

Po chwili jego barki wynurzyły się z wody, podczas gdy stopy nadal stały na gnoju. Wymacał drogę przed sobą jak ślepiec. Oczy przydawały mu się jedynie do tego, by utrzymać równowagę. Wyczuwał przed sobą kształt dna, odnajdując fragmenty, które się wznosiły, i wycofując się, gdy ławica się kończyła.

Wyszedł już z wody po pas, gdy jego oczy spostrzegły we mgle ciemniejszy kontur. Skierował się w tamtą stronę i ponownie pogрузił się w wodzie po szyję. Następnie dno podniosło się gwałtownie. W kilka chwil później wygramolił się na suchy ląd.

Zabrakło mu odwagi, by zrobić w tej chwili cokolwiek więcej niż przesunąć się o kilka stóp w głąb lądu, w miejsce, gdzie od wody dzieliła go kępa drzew chłoka. Osłonięty w ten sposób przed poszukiwaniami prowadzonymi z łodzi przyrzekał sobie uważnie. Do jego nóg przywarło tuzin lub więcej wszy błotnych, każda wielkości dziecięcej dłoni. Strącił je z obrzydzeniem, po czym zdjął szorty i koszulę, odnalazł jeszcze kilka i pozbył się również tych. Powiedział sobie, że miał szczęście, iż nie natknął się na nic gorszego. Smoki miały wielu kuzynów, pozostających w tym samym stosunku ewolucyjnym do nich, co goryle do ludzi. Wiele z nich to stworzenia ziemnowodne — dodatkowy powód, dla którego koloniści wenusjańscy nie pływają.

Don z niechęcią założył na nowo swe mokre, brudne łachy i usiadł oparty o pień drzewa, by odpocząć. Nadal tak siedział, gdy usłyszał warkot motorówki. Tym razem nie było wątpliwości. Siedział nieruchomo w nadziei, że drzewa go zasłonią i łódź odpłynie.

Zbliżyła się do brzegu i podążyła wzdłuż niego w prawą stronę. Zaczął już odczuwać ulgę, gdy turbina stanęła. W ciszy usłyszał głosy.

— Będziemy musieli zbadać ten kawał błota. Dobra, Kędzior. Ty i Joe.

— Jak ten facet wygląda, kapralu?

— No więc, szczerze mówiąc, kapitan nie powiedział. W każdym razie jest młody, mniej więcej w waszym wieku. Aresztujcie po prostu wszystko, co chodzi. On nie ma broni.

— Chciałbym wrócić do Birmingham.

— Ruszajcie.

Don też ruszył, w przeciwnym kierunku, najszybciej i najciszej jak mógł. Wyspa była stosunkowo dobrze zarośnięta. Miał nadzieję, że jest też wielka. Ryzykowna zabawa w chowanego była jedyną taktyką, jaka przychodziła mu do głowy. Pokonał może ze sto jardów, gdy jakieś poruszenie przed nim przeraziło go do utraty zmysłów. Zdał sobie z rozpaczą sprawę, że ludzie na łodzi mogli wysłać dwa patrole.

Jego panika opadła, gdy odkrył, że to, co widzi, to nie ludzie, lecz towarzyszki. One również go zauważyły i podbiegły do niego tańcząc i pobekując na powitanie. Otoczyły go ciasno.

— Cisza! — powiedział ostrym szeptem. — Przez was mnie złapią!

Wynochy nie zwróciły uwagi na jego słowa. Chciały się bawić. Podjął próbę zignorowania ich. Ponownie ruszył naprzód, ciasno otoczony przez całą grupę, około pięciu sztuk. Wciąż zastanawiał się nad tym, jak uchronić się przed za-

kochaniem na śmierć — a przynajmniej na powrót do niewoli — gdy wyszli na polanę.

Znajdowała się tam reszta stada, ponad dwieście sztuk, od najmłodszych, boddących mu kolana, aż do starego patriarchy o siwej brodzie i tłustym brzuchu, sięgającego Donowi aż do ramienia. Wszystkie przywitały go z radością i pragnęłyby zostać z nimi choć chwilę.

Jedno z jego zmartwień przestało go już trapić — nie zatoczył, płynąc, kręgu i nie wrócił na Główną Wyspę. Jedyne znajdujące się tam wynochy były na wpół udomowionymi zjadaczami odpadków, takimi, jak te, które kręciły się obok restauracji. Nie było tam żadnych stad.

Nagle przyszło mu do głowy, że istnieje szansa, by mógł sprawić, że wszechobecna przyjacielskość dwunogów, zamiast niechybnie go zdradzić, stanie się dla niego pomocą. Jedno było pewne. Nie zostawią go w spokoju. Gdyby opuścił stado, niektóre z nich z pewnością poszłyby za nim, becząc, parskając i przyciągając uwagę do siebie i do niego. Z drugiej strony...

Ruszył prosto na polanę, odpychając z drogi swych przyjaciół. Przedostał się w sam środek stada i usiadł na ziemi.

Trzy młode natychmiast wdrapały mu się na kolana. Pozwolił im tam zostać. Dorosłe sztuki i na wpół dorosłe samce tłoczyły się wokół niego becząc, węsząc i starając się trącić nosem szczyt jego głowy. Pozwolił im na to. Otoczyła go ściana ciał. Od czasu do czasu któryś z towarzyszków z wewnętrznego kręgu musiał — odepchnięty — wrócić do pasienia się, lecz zawsze było ich wokół niego wystarczająco wiele, by zasłonić mu widok. Czekał.

Po dłuższym czasie usłyszał podniecone beczenie nadbiegające od krawędzi stada. Przez chwilę myślał, że ta nowa atrakcja odciągnie od niego jego osobistą straż, lecz wewnętrzny krąg wolał zachować swą uprzywilejowaną pozycję. Ściana nie zniknęła. Ponownie usłyszał głosy.

— A niech to! To cała trzoda tych głupich koziołków! — po chwili. — Hej! Złaź! Przestań mnie lizać po twarzy!

— Myślę, że się w tobie zakochał, Joe — odparł głos Kędziora. — Posłuchaj, Wazelina kazał aresztować wszystko, co chodzi. Czy zaprowadzimy go do niego?

— Nie chrzań! — rozległ się odgłos szamotania, a następnie wysokie beczenie wynocha, zaskoczonego i zranionego zarazem.

— Może powinniśmy trafić jednego i wziąć ze sobą — ciągnął Kędzior. — Słyszałem, że są diabelnie smaczne.

— Jak zrobisz z tego polowanie, Wazelina wyśle cię do Starego. Chodź, mamy robotę do wykonania.

Don mógł śledzić jak posuwali się wzdłuż krawędzi stada. Dźwięki powieziały mu nawet, kiedy obu żołnierzom udało się kuksańcami i kopniakami odpedzić od siebie najbardziej uparte ze stworzeń. Siedział tam jeszcze długo po

tym, gdy już odeszli, łaskocząc po brodzie młode, które zasnęło na jego kolanach. Odpoczywał.

Po chwili zaczął zapadać zmierzch. Stado układało się powoli do snu. Gdy było już całkiem ciemno wszystkie osobniki, poza strażnikami rozstawionymi wzdłuż krawędzi stada, leżały na ziemi. Ponieważ Don był śmiertelnie zmęczony i brak mu było jakiegokolwiek planu akcji, położył się wraz z nimi z głową opartą na miękkim pluszowym grzbiecie i dwójką młodych opartych z kolei o niego.

Zastanawiał się przez chwilę nad swym położeniem. Polem nie myślał już o niczym.

Stado poruszyło się, co obudziło Dona. Słyszał było wiele parskania i tupania pomieszanego z utyskującym pojękiwaniem nie w pełni jeszcze rozbudzonych młodych. Don odzyskał orientację i wstał na nogi. Wiedział mniej więcej, czego się spodziewać. Stado przygotowywało się do wędrówki. Towarzyszki rzadko pały się dwa dni z rzędu na tej samej wyspie. Przesypiały pierwszą część nocy, a w drogę wyruszały przed świtem, gdy ich naturalni wrogowie przejawiali najmniejszą aktywność. Przechodziły z jednej wyspy na drugą korzystając z brodów, znanych — być może dzięki instynktowi — przewodnikom stada. Co prawda towarzyszki umiały pływać, lecz czyniły to rzadko.

Dobrze, zaraz się od nich uwolnię — pomyślał. — To miły naród, ale co za dużo, to niezdrowo. Potem zastanowił się nad tym głębiej. Jeśli wynochy przenosiły się na inną wyspę, to z pewnością nie będzie to Główna Wyspa i niewątpliwie będzie od niej bardziej oddalona niż ta. Co miał do stracenia?

Czuł się trochę jak pomyłony, ale w tym była logika. Gdy stado ruszyło w drogę, przepchał się w pobliże czoła. Przodownik prowadził ich lądem przez około ćwierć mili, po czym wkroczył do wody. Było jeszcze tak ciemno, że Don jej nie zauważył, zanim sam do niej nie wszedł. Sięgała mu z początku tylko do kostek, a i potem nie stała się wiele głębsza. Don poruszał się z pluskiem, wlokąc się powoli. Starał się pozostać wewnątrz stada, by nie być w ciemności narażonym na zabłądzenie na głębsze wody. Miał nadzieję, że nie była to jedna z wędrówek wymagających pływania.

Zaczął się robić naprawdę jasno. Stado zwiększyło tempo. Don musiał się mocno starać, by nadążyć. W pewnej chwili stary kozioł na czele zatrzymał się, parsknął i zmienił gwałtownie kierunek. Don nie miał pojęcia, dlaczego to zrobił. Poranna mgła była bardzo gęsta, a jeden kawałek wody wyglądał zupełnie tak samo jak każdy inny. Okazało się jednak, że droga wybrana przez przodownika prowadziła płycizną. Szli nią jeszcze kilometr lub więcej. Niekiedy zakręcali lub zawracali. Wreszcie przodownik wdrapał się na brzeg. Don był tuż za nim.

Chłopiec rzucił się na ziemię wyczerpany. Stary kozioł zatrzymał się, najwyraźniej zdumiony, podczas gdy stado wyszło na ląd i zgromadziło się wokół nich. Przodownik parsknął z miną pełną niesmaku, po czym odwrócił się i ponownie

podjął obowiązek prowadzenia swego ludu ku dobrym pastwiskom. Don wziął się w garść i podążył za nimi.

Gdy wychodzili spomiędzy drzew otaczających brzeg, chłopiec dostrzegł po swej prawej stronie płot. Miał ochotę śpiewać.

— Żegnajcie, koledzy! — zawołał. — Tutaj się z wami rozstanę.

Ruszył w stronę płotu, podczas gdy główna część stada nadal podążała naprzód. Gdy dotarł do ogrodzenia, odpędził z niechęcią swych satelitów, uderzeniami dłoni, po czym powędrował wzdłuż drutów. Prędzej czy później, powiedział sobie, znajdę bramę, a ta zaprowadzi mnie do ludzi. Nie było takie ważne, co to będą za ludzie. Dadzą mu jeść, pozwolą odpocząć i pomogą ukryć się przed najeźdźcami.

Mgła była bardzo gęsta. Dobrze, że znalazł płot, który był jego przewodnikiem. Wlókł się wzdłuż niego. Trapiła go gorączka. W głowie mu się mieszało. Był jednak dobrej myśli.

— Stój!

Don zatrzymał się odruchowo. Potrząsnął głową, próbując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje.

— Wiem, gdzie jesteś — ciągnął głos. — Idź powoli naprzód, z rękoma uniesionymi do góry.

Don wytężył wzrok, by dostrzec coś poprzez mgłę. Zadał sobie pytanie, czy odważy się spróbować ucieczki, lecz z poczuciem ostatecznej i nieodwołalnej klęski zdał sobie sprawę, że uciekł już tak daleko, jak tylko mógł.

Mgłojady

— No jazda! — powiedział głos. — Bo strzelam.

— Dobra — odparł apatycznie i ruszył naprzód z rękoma uniesionymi nad głową. Postąpiwszy kilka kroków dostrzegł zarys postaci mężczyzny, po jeszcze kilku widział już żołnierza z ręcznym karabinem wycelowanym w jego stronę. Oczy zakrywały mu okulary noktowizyjne, które sprawiały, że wyglądał jak jakiś owadzioki stwór z innej planety.

Żołnierz rozkazał Donowi zatrzymać się na kilka kroków przed sobą i odwrócić się powoli. Gdy chłopiec wykonał pełny obrót, przesunął on swe okulary na czoło, odsłaniając miłe, niebieskie oczy. Opuścił karabin.

— Chłopcze, wyglądasz fatalnie — zauważył. — Co, w imię Jajka, wyprawiałeś?

Dopiero wtedy Don zauważył, że żołnierz miał na sobie nie moro Federacji, lecz brunatny mundur Sił Lądowych Republiki Wenus.

* * *

Jego dowódca, porucznik Busby, próbował przesłuchać Dona w kuchni wiejskiego domu znajdującego się wewnątrz ogrodzenia, bardzo szybko jednak zorientował się, że stan więźnia na to nie pozwala. Skierował Dona do żony gospodarza, która zapewniła mu jedzenie, gorącą kąpiel i pilną opiekę medyczną. Dopiero późnym popołudniem Don, znacznie już wypoczęty, ze śladami po wszach błotnych pokrytymi gorącymi okładami, wreszcie złożył relację. Busby wysłuchał go, po czym skinął głową.

— Wierzę ci na słowo, głównie dlatego, że niemal nie sposób sobie wyobrazić, by szpieg Federacji mógł się znaleźć w miejscu, gdzie byłeś, ubrany tak jak ty i w takim stanie.

Następnie wypytał go dokładnie o to, co widział w Nowym Londynie, ilu było tam żołnierzy, jak byli uzbrojeni i tak dalej. Niestety Don nie mógł powiedzieć mu zbyt wiele. Wyrecytował „rozporządzenie stanu wyjątkowego numer jeden” tak dokładnie, jak je zapamiętał.

Busby skinął głową.

— Słyszeliśmy to przez radio pana Wonga — wskazał kciukiem w kąt pokoju. Zamyślił się na chwilę. — Sprytnie to rozegrali. Wzięli przykład z komandora Higginsa i rozegrali to naprawdę sprytnie. Nie zbombardowali naszych miast, a jedynie zniszczyli statki, a potem wkroczyli i załatwili nas.

— Czy mamy jeszcze jakieś statki? — zapytał Don.

— Nie wiem. Wątpię w to. Ale to nieważne.

— He?

— Dlatego, że byli zbyt sprytni. Nie mogą nam już zrobić nic więcej. Od tej chwili walczą z mgłą, a my — mgłojady — znamy tę planetę lepiej niż oni.

Donowi pozwolono tego dnia i nocy, która nastąpiła po nim, nadrobić zaległy odpoczynek. Słuchając plotek powtarzanych przez żołnierzy doszedł do wniosku, że Busby nie był jedynie zwykłym optymistą. Sytuacja nie była całkowicie beznadziejna. Była ona jednak bardzo zła. O ile wiedziano, wszystkie statki Wysokiej Straży zostały zniszczone. Doniesiono o tym, że bomby zniszczyły *Walkirię*, *Natullusa* i *Adonisa*, wraz z nimi komandora Higginsa i większość jego ludzi. Nie było żadnych informacji o *Wielkim Przyptywie*, co jednak nic nie oznaczało, gdyż ta niewielka ich ilość, którą posiadali, składała się po połowie z plotek i oficjalnej propagandy Federacji.

Średnia Straż mogła ocalić niektóre ze swych statków, ukrywając je w terenie, lecz aktualna użyteczność ponadstratosferycznych wahadłowców, które do startu wymagały nieprzenośnych katapult, pozostawała w sferze przypuszczeń. Jeśli zaś chodzi o Siły Lądowe, co najmniej połowa żołnierzy dostała się do niewoli lub zginęła w bazie na Wyspie Budianana oraz pomniejszych garnizonach. Choć zwalniano ocalałych szeregowych żołnierzy, jedynymi oficerami pozostającymi na wolności byli tacy jak porucznik Busby — pełniący w chwili ataku służbę poza miejscem zakwaterowania. Oddział Busby'ego stanowił załogę stacji radarowej w pobliżu Nowego Londynu.

Cywilny rząd nowo narodzonej republiki przestał, rzecz jasna, istnieć. Niemal wszyscy urzędnicy państwowi dostali się do niewoli. Struktura dowodzenia sił zbrojnych również została wyłączona z akcji. Jej członków schwytano podczas pierwszego ataku. To zwróciło uwagę Dona na kwestię, która go dziwiła. Busby nie zachowywał się jakby jego przełożeni zniknęli, lecz działał tak, jakby był dowódcą oddziału wchodzącego w skład aktywnej organizacji wojskowej i posiadającego jasno określone zadania oraz funkcje. Morale wśród jego ludzi było wysokie. Sprawiali wrażenie, że spodziewają się miesięcy, a nawet lat partyzanckiej wojny polegającej na nękaniu nagłymi atakami sił Federacji, zakończonej jednak zwycięstwem.

Jak powiedział Donowi jeden z nich.

— Nie mogą nas złapać. My znamy te bagna. Oni nie. Nie uda im się oddalić choćby dziesięć mil od miasta, nawet z radarem na łodzi i urządzeniami do nawigacji obliczeniowej. Będziemy zakradać się w nocy, podrzynać im gardła i wracać

do domu na śniadanie. Nie pozwolimy im zabrać z planety ani jednej tony rudy radioaktywnej, ani uncji farmaceutyków. Sprawimy, że będzie ich to kosztowało tak wiele pieniędzy i ludzi, że wreszcie odechce im się tego i wrócą do domu.

Don skinął głową.

— Będą mieli dość walki z mgłą, jak mówi porucznik Busby.

— Busby?

— He? Porucznik Busby. Twój dowódca.

— Tak się nazywa? Nie dosłyszałem — na twarzy Dona pojawiło się zmieszanie. — Rozumiesz, jestem tu dopiero od rana — ciągnął żołnierz. — Zwolniono mnie razem z innymi piechociarzami z bazy i wlokłem się do domu ze spuszczonego ogonem, czując się gorzej niż błoto na bagnie. Zatrzymałem się tutaj w nadziei, że wyżebrzę od Wonga coś do jedzenia i znalazłem tego porucznika — jak powiedziałaś, Busby? — z interesem na chodzie. Przyjął mnie tymczasowo do swojej jednostki. Mówię ci, wróciła mi chęć do życia. Masz może ognia?

Zanim poszedł nocą spać — w stodole pana Wonga, z dwoma tuzinami żołnierzy — Don dowiedział się, że większość z nich nie należała do jednostki porucznika Busby'ego. Ta składała się z pięciu ludzi — samych techników-elektroników. Resztę stanowili maruderzy, przekształceni teraz w pluton partyzantów. Choć niewielu z nich zdobyło już broń, odzyskane morale wyrównywało ten brak z nawiązką.

Przed zaśnięciem Don podjął decyzję. Zgłosiłby się do porucznika Busby'ego natychmiast, ale doszedł do wniosku, że lepiej nie zawracać mu głowy tak późną nocą. Gdy rankiem się obudził, stwierdził, że żołnierze zniknęli. Wybiegł ze stodoły i odnalazł panią Wong karmiącą kury. Skierowała go w stronę wybrzeża, gdzie Busby dokonywał przeglądu oddziału przed wymarszem. Don podbiegł do niego.

— Panie poruczniku! Czy mogę zamienić z panem słówko?

Busby odwrócił się z niecierpliwością.

— Jestem zajęty.

— Tylko chwilkę. Proszę pana!

— Dobra, mów.

— Chodzi o to... gdzie się mogę zaciągnąć?

Busby zmarszczył brwi. Don wyjaśnił mu wszystko pośpiesznie, twierdząc, że próbował wstąpić do wojska w chwili, gdy nastąpił atak.

— Gdybyś miał zamiar się zaciągnąć, to myślę, że zrobiłbyś to już dawno. Zresztą, zgodnie z twoją opowieścią, większą część życia spędziłeś na Ziemi. Nie jesteś jednym z nas.

— Jestem!

— Sądzę, że jesteś dzieciakiem z głową naładowaną romantycznymi wyobrażeniami. Jesteś za młody, by głosować.

— Nie za młody, by walczyć.

— Co potrafisz?

— No więc, nienajgorzej strzelam, przynajmniej z pistoletu.

— Co jeszcze?

Don zastanowił się pośpiesznie. Nie przyszło mu do głowy, że od żołnierza oczekuje się czegoś więcej niż samej chęci. Jeździć konno? To nie miało tu znaczenia.

— Hmm, znam „prawdziwą mowę”. Całkiem nieźle.

— To się przyda. Potrzebni nam ludzie, którzy znają narzecz smoków. Co jeszcze?

Don pomyślał o fakcie, że zdołał uciec przez moczary bez katastrofy, lecz porucznik wiedział o tym i dowodziło to jedynie tego, że, mimo swej przeszłości, był prawdziwym mgłojadem. Doszedł do wniosku, że Busby’ego nie zainteresują szczegóły jego edukacji w szkole na ranchu. — No więc, umiem zmywać naczynia.

Busby uśmiechnął się niewyraźnie.

— To jest niewątpliwie żołnierska cnota niemniej, Harvey, wątpię, byś się nadawał. To nie będzie parada. Będziemy żyć tym, co znajdziemy. Zapewne nigdy nam nie zapłacą. To oznacza, że będziemy głodni, brudni i zawsze w ruchu. Tobie grozi nie tylko śmierć w walce. Jeśli cię schwytają, stracą cię za zdradę.

— Tak jest. Pomyślałem o tym w nocy.

— I mimo to chcesz się zaciągnąć?

— Tak jest.

— Podnieś prawą dłoń.

Don posłuchał.

— Czy przysięgasz uroczyście — ciągnął Busby. — Osłaniać konstytucję Republiki Wenus i bronić jej przeciwko wszelkim wrogom, wewnętrznym i zewnętrznym, oraz pełnić wiernie służbę w siłach zbrojnych Republiki przez czas trwania obecnej sytuacji, chyba że wcześniej zwolnią cię uprawnione do tego władze, a także wykonywać legalne rozkazy przełożonych, którym zostanie powierzone dowództwo nad tobą?

Don zaczerpnął głęboko tchu.

— Przysięgam.

— Bardzo dobrze, żołnierzu. Wsiadaj do łodzi.

— Tak jest!

* * *

Przy wielu, wielu okazjach Don żałował, iż się zaciągnął, dotyczy to jednak każdego, kto kiedykolwiek zgłosił się na ochotnika do wojska. Przez większość czasu był w miarę zadowolony, choć, zapytany, szczerze by temu zaprzeczył, jako

że zdobył niemałe umiejętności w najpospolitszej z żołnierskich rozrywek — narzekaniu na wojnę, pogodę, jedzenie, błoto czy głupotę dowódców. Stary żołnierz potrafi zastąpić rozrywki — a nawet odpoczynek czy jedzenie — tą starożytną, konwencjonalną i nieszkodliwą formą sztuki literackiej.

Nauczył się partyzanckich sposobów — milczącego przemykania się, bezgłośnego ataku i znikania w ciemności i mgłę zanim zostanie ogłoszony alarm. Ci, którzy opanowali tę sztukę, pozostali przy życiu. Ci, którym się nie udało, zginęli. Don przeżył. Nauczył się też innych rzeczy — spać przez dziesięć minut, gdy była okazja, budzić się w pełni i bezgłośnie pod wpływem dotknięcia bądź dźwięku, obywać się bez snu przez noc czy dwie, a nawet trzy. Wokół ust pojawiły mu się głębokie linie, kłócące się z jego wiekiem, zaś na lewym przedramieniu biała, pomarszczona blizna.

Nie pozostał z Busbym długo. Przeniesiono go do kompanii piechoty operującej na gondolach pomiędzy CuiCui a Nowym Londynem. Jej żołnierze nadali sobie dumną nazwę „Szturmowców Marstena”. Przydzielono go do tej jednostki w charakterze tłumacza „prawdziwej mowy”. Choć większość kolonistów potrafi zagwizdać kilka fraz smoczego języka lub — częściej — rozumie pidgin w sposób wystarczający, by coś kupić bądź sprzedać, niewielu z nich potrafi się w nim swobodnie porozumieć. Don, choć brak mu było praktyki podczas lat, które spędził na Ziemi, nauczył się go w młodym wieku i to biegle, gdyż jego nauczycielem był smok. Ponadto jego rodzice używali tego języka z równą łatwością jak *basic english*, więc Don codziennie w domu zdobywał wprawę aż do chwili, gdy skończył jedenaście lat.

Smoki były wielką pomocą dla bojowników ruchu oporu. Choć same nie brały udziału w walkach, ich sympatia leżała po stronie kolonistów, a ściślej mówiąc żywiły one pogardę dla żołnierzy Federacji. Koloniści zdołali uczynić Wenus swym domem dzięki temu, że żyli w zgodzie ze smokami — polityka dobrze pojętego własnego interesu wprowadzona przez samego Cyrusa Buchanana. Człowiek urodzony na Wenus nigdy nie wątpił, że istnieje drugi gatunek — smoki — równie inteligentny, bogaty i cywilizowany jak jego własny. Jednakże dla znacznej większości żołnierzy Federacji, świeżo przybyłych na planetę, smoki były jedynie brzydkimi, nieokrzesanymi zwierzętami pozbawionymi zdolności mowy, które zadzierały nosa domagając się dla siebie przywilejów nie przysługujących żadnym zwierzętom.

To podejście miało swe korzenie w podświadomości. Żaden ogólny rozkaz wydany żołnierzom Federacji ani żadne środki dyscyplinarne za jego pogwałcenie nie mogły temu zaradzić. Było to silniejsze i mniej wyrozumowane niż wszelkie analogiczne kłopoty na Ziemi — biali przeciw czarnym, goje przeciw Żydom, Rzymianie przeciw barbarzyńcom i tak dalej. Sami oficerowie wydający rozkazy nie patrzyli na sprawę we właściwy sposób. Nie urodzili się na Wenus. Nawet główny doradca polityczny gubernatora, chytry i zdolny Stanley Bankfield, nie

potrafił naprawdę pojąć, że nie można wkraść się w łaski smoka przez (w cudzy-
słowie) poklepywanie go po głowie i przemawianie z wyższością.

Dwa poważne incydenty o modelowym charakterze zdarzyły się w samym
dniu ataku. W Nowym Londynie smok — ten sam, którego widział Don czytają-
cego biuletyny „Timesa” — został, nie zabity, niemniej jednak poważnie uszko-
dzony przez miotacz ognia. Był on cichym wspólnikiem w miejscowym banku
oraz wydzierzawiał wiele bogatych złóż toru. Co gorsze, w CuiCui smok został
naprawdę zabity, przez rakieta. Złożyło się pechowo, że miał otwartą paszczę.

Ponadto ów smok był w bocznej linii spokrewniony z potomkami Wielkiego
Jajka.

Nie warto antagonizować wysoce inteligentnych stworzeń, z których każde
stanowi fizyczny równoważnik, powiedzmy, trzech nosorożców lub średniego
czołgu. Niemniej smoki nie brały udziału w działaniach wojennych, gdyż nasza
konwencja wojny nie wchodzi w skład ich kultury. Osiągają one swe cele w inny
sposób.

* * *

Gdy w ramach swych obowiązków Don musiał rozmawiać ze smokami, pytał
czasem, czy ten oto przedstawiciel smoczego narodu zna jego przyjaciela „sir
Isaaca”. Używał, rzecz jasna, jego prawdziwego imienia. Stwierdził, że nawet te
smoki, które nie znały go osobiście, przynajmniej o nim słyszały, a również, że
powołanie się na tę znajomość zwiększało jego prestiż. Nie podejmował jednak
prób przesłania wiadomości do „sir Isaaca”, gdyż nie miał już do tego powodu.
Starania o przeniesienie do Wysokiej Straży, która już nie istniała, nie miały sensu.

Wielokrotnie za to próbował się dowiedzieć, co się stało z Isobel Costello.
Pytał uchodźców, pytał smoki, a również coraz liczniejszych bojowników pod-
ziemnego ruchu oporu, którzy mogli swobodnie przemieszczać się z jednej strony
na drugą. Nigdy nie udało mu się jej odnaleźć. Raz usłyszał, że była uwięziona
w obozie na Mierzei Wschodniej, innym razem, że wraz z ojcem deportowano ją
na Ziemię. Żadnej z tych plotek nie można było potwierdzić. Podejrzewał z apa-
tycznym, budzącym mdłości uczuciem, że zabito ją podczas pierwszego ataku.

Odczuwał żal po samej Isobel, nie po pierścionku, który jej zostawił. Próbował
odgadnąć, co też takiego mogło w nim być, że ścigano go z jednej planety na
drugą, nie potrafił jednak wymyślić żadnej odpowiedzi i doszedł do wniosku, że
Bankfield, mimo demonstrowanej pozy wyższości, musiał się mylić. Na pewno
to papier, w który owinięto pierścionek, był ważny, ale IBI było za głupie, by się
w tym połapać. Potem przestał myśleć na ten temat w ogóle. Stracił pierścionek
i tyle.

Co zaś do rodziców i Marsa — jasne, jasne, któregoś dnia! Kiedyś, gdy wojna się skończy i statki znowu będą kursować. Tymczasem jednak po co się tym gryźć?

Jego kompania stacjonowała wówczas na obszarze czterech wysp położonych na południowy zachód od Nowego Londynu. Obozowali tam już od trzech dni — chyba najdłuższy ich pobyt w jednym miejscu. Don, jako przydzielony do dowództwa, przebywał na tej samej wyspie co kapitan Marsten. W tej chwili leżał rozciągnięty w hamaku zawieszonym między dwoma drzwiami w samym środku kępy miotły.

Znalazł go tam goniec z dowództwa, który obudził go — stojąc w bezpiecznej odległości od hamaka szarpnął mocno za jego sznur. Don obudził się natychmiast, z nożem w ręku.

— Spokojnie! — ostrzegł go goniec. Stary cię wzywa.

Don wygłosił retoryczną i nadzwyczaj niegrzeczną uwagę na temat tego, co kapitan mógł w tej sprawie zrobić, po czym ześliznął się z hamaka i stanął na nogi. Zatrzymał się, by zwinąć hamak i wsadzić go sobie do kieszeni — ważył on tylko cztery uncje i kosztował Federację niezłą sumkę po cenie kosztów produkcji wraz z zyskiem. Don obchodził się z nim z wielką ostrożnością. Poprzedni właściciel hamaka nie był ostrożny, wskutek czego nie był on mu już więcej potrzebny. Don zabrał ze sobą również broń.

Dowódca kompanii siedział za biurkiem polowym zamaskowanym gałęziami. Don wśliznął się w jego pobliże i czekał. Marsten podniósł wzrok i powiedział.

— Mam dla ciebie specjalne zadanie Harvey. Wyruszysz natychmiast.

— Zmiana planów?

— Nie. Nie weźmiesz udziału w dzisiejszym ataku. Wielki smoczy kacyk chce odbyć naradę. Musisz wyruszyć na spotkanie z nim. Natychmiast.

Don zastanowił się nad tym.

— A niech to, szefie. Tak się cieszyłem na dzisiejszą rozróbę. Pójdę jutro. To jest cierpliwy naród. Nie zależy im na czasie.

— Wystarczy, żołnierzu. Udzielam ci urlopu. Zgodnie z depeszą z Kwatery Głównej możesz być nieobecny przez dłuższy czas.

Don podniósł nagle wzrok.

— Jeśli otrzymam rozkaz wyruszenia, to nie jest to urlop, lecz odkomenderowanie.

— Jesteś w głębi serca koszarowym prawnikiem, Harvey.

— Tak jest.

— Zwróć broń i usuń insygnia. Pierwszy odcinek trasy pokonasz jako prosty wiejski chłopak. Wybierz sobie jakieś rekwizyty z magazynu. Larsen zawiezie cię łodzią. To wszystko.

— Tak jest — Don odwrócił się, by odejść, dodając. — Szczęśliwych łowów dziś w nocy, szefie.

Marsten uśmiechnął się po raz pierwszy.

— Dziękuję, Don.

Pierwszy odcinek podróży prowadził przez kanały tak wąskie i kręte, że elektroniczne urządzenia nie miały w nich zasięgu większego niż nieuzbrojone oczy. Don przespał większą część drogi z głową opartą na worku ziarna kwaśnej kukurydzy. Nie przejmował się oczekującym go zadaniem. Niewątpliwie oficer, dla którego miał tłumaczyć — kimkolwiek by był — spotka się z nim i powie mu, co ma zrobić.

Z początkiem następnego popołudnia dotarli do brzegu Wielkiego Morza Południowego i Don przesiadł się na wariacki wóz, które to określenie odnosiło się zarówno do łodzi, jak i jej załogi. Był to płaski spodek o średnicy piętnastu stóp napędzany silnikami odrzutowymi i kierowany przez dwóch młodych ekstrawertyków, którzy nie bali się ani ludzi, ani błota. Górną część łodzi pokrywał niski stożek z wypolerowanego metalu, który miał za zadanie odbijać poziome fale radaru ku górze bądź na odwrót. Istniał obszar nieba — o kształcie stożka, jak sam reflektor — przed którym nie zapewniał on osłony, gdyż nadbiegające stamtąd fale wracały po odbiciu prosto do źródła, i tak jednak polegali przede wszystkim na szybkości.

Don leżał płasko na dnie łodzi i trzymał się uchwytów rozmyślając nad zaletami podróży rakieta, podczas gdy wariacki wóz ślizgał się i podskakiwał na powierzchni morza. Starał się nie myśleć o tym, co się stanie, gdy rozpędzona łódź wpadnie na unoszącą się na falach kłodę lub jednego z większych mieszkańców wody. Pokonali prawie trzysta kilometrów w niespełna dwie godziny, po czym łódź wyhamowała, zatoczyła łuk i przybiła do brzegu.

— Koniec kursu — zawołał kapitan o policzkach pokrytych meszkiem. — Przygotujcie kwity na bagaż. Kobiety i dzieci korzystają ze schodów ruchomych po środku.

Antyradarowa pokrywa uniosła się w górę. Don podniósł się chwiejnie na nogi.

— Gdzie jesteśmy?

— Smoczygródek-w-błocie. Oto twój komitet powitalny. Uważaj gdzie idziesz.

Don starał się przebić wzrokiem mgłę. Miał wrażenie, że na brzegu stoi kilka smoków. Wsiadł z łodzi, zapadając się w błoto na wysokość butów, po czym wygramolił się na pewniejszy grunt. Za nim wariacki wóz opuścił pokrywę i pognął natychmiast przed siebie. Gdy zniknął z pola widzenia nadal nabierał prędkości.

— Mogli chociaż pomachać ręką — mruknął Don, po czym zwrócił się ponownie w stronę smoków. Czuł się raczej zmieszany. W pobliżu najwyraźniej nie było żadnych ludzi, on zaś nie otrzymał instrukcji. Możliwe że oficer, którego spodziewał się spotkać — z pewnością powinien już tu być! — nie zdołał dotrzeć bezpiecznie na miejsce.

Smoków było siedem. Ruszyły w jego stronę. Przyjrzał im się i zagwizdał uprzejme pozdrowienie. Pomyślał, że jeden smok wygląda prawie tak samo jak drugi. Nagle Wenusjanin stojący w środku grupy przemówił do niego z akcentem żywo przywodzącym na myśl rybę z frytkami.

— Donald, mój drogi chłopcze! Jakże jestem szczęśliwy, że cię widzę! Kurczę!

„Daj nam go więc.”

Don zakrzuszył się i wbił w niego wzrok. Omal nie zapomniał o dobrym wychowaniu.

— Sir Isaac! Sir Isaac! — podszedł do niego niepewnym krokiem.

Nie jest możliwe uściskać smokowi dłoń, pocałować go, czy objąć. Don zadowolili się waleniem pięściami w opancerzone boki sir Isaaca, zanim nie odzyskał panowania nad sobą. Wstrząsnęły nim od dawna stłumione uczucia, które odebrały mu głos i przesłoniły wzrok. Sir Isaac odczekał chwilę cierpliwie, po czym powiedział.

— No więc, Donald, chciałbym ci przedstawić moją rodzinę. . .

Don wziął się w garść, odchrząknął i przeszedł na mowę gwizdów. Nikt z pozostałych nie miał generatora. Możliwe, że nawet nie rozumieli *basic english*.

— Niech wszyscy umrą pięknie!

— Dziękujemy ci.

Córka, syn, wnuczka, wnuk, prawnuczka, prawnuk — wliczając samego sir Isaaca czteropokoleniowe przywitanie. Tylko o jedno pokolenie mniej od maksimum tego, co przewidywał smoczy protokół. Don czuł się oszołomiony. Wiedział, że sir Isaac jest do niego przyjaźnie usposobiony, uznał jednak, że aż taka pompa musi stanowić komplement dla jego rodziców.

— Mój ojciec i moja matka dziękują wam wszystkim za uprzejmość okazaną ich jajku.

— Jako pierwsze jajko, tak i ostatnie, bardzo się cieszymy, że możemy cię tu gościć, Donald.

Smoczy gość, którego uhonorowano eskortą, dokonałby powolnego przemarszu w stronę rodzinnej siedziby, otoczony przez członków rodziny. Jednakże powolny przemarsz smoka jest mniej więcej dwukrotnie szybszy niż prędki marsz człowieka. Sir Isaac położył się na ziemi i powiedział.

— A może byś tak pożyczył ode mnie nóg, drogi chłopcze. Musimy pokonać poważny dystans.

— Och, mogę pójść na piechotę!

— Proszę. . . nalegam.

— No więc. . .

— Hopsa! — jeśli dobrze przypominam sobie ten zwrot. Don wdrapał się na grzbiet i usadowił tuż za ostatnią parą szypulek. Te odwróciły się do tyłu i przyjrzały mu uważnie. Stwierdził, że sir Isaac był na tyle przewidujący, że kazał przynitować do płyt swej szyi dwa pierścienie, których można się było przytrzymać.

— Trzymasz się?

— Tak jest, w rzeczy samej.

Smok ponownie dźwignął się na nogi i wyruszyli w drogę. Don czuł się jak Toomai, Druh Słoni.

Ruszyli wzdłuż zatłoczonej smoczej ścieżki, tak starej, że nie sposób było określić, czy była ona dziełem sztuki inżynierskiej czy też naturalnym ukształtowaniem terenu. Przez blisko milę szlak biegł równoległe do brzegu. Mijali smoki pracujące na pokrytych wodą polach. Następnie droga skręciła w głąb lądu. Wkrótce, na położonym wyżej, suchym terenie, jego eskorta wyłączyła się z ruchu i skręciła do tunelu, który niewątpliwie był tworem sztucznym, a nie dziełem natury. Był to jeden z tych tuneli, których podłoga posuwa się cicho ze znaczną prędkością w kierunku, w którym się idzie (pod warunkiem, że idący jest smokiem lub waży tyle, co smok). Ich spokojny chód uległ znacznemu przyśpieszeniu. Don nie potrafił ocenić z jaką szybkością się posuwali, ani jaki dystans pokonali.

Wreszcie dotarli do wielkiej sali. Wielkiej nawet dla smoków. Płynąca podłoga zatrzymała się, zlawszy się niepostrzeżenie z podłogą sali. Zebrała się tam reszta plemienia symbolizowanego przez siódmkę, która wyszła mu na spotkanie. Don nie musiał jednak łamać sobie głowy nad komplementami. Zaprowadzono go — wciąż w zgodzie z etykietą — do jego pokojów, gdzie mógł wypocząć i odświeżyć się.

Według standardów wenusjańskich pokoje były co najwyżej odpowiednich rozmiarów, dla Dona, rzecz jasna, były olbrzymie. Niecka do tarzania, usytuowana w środku głównego pokoju, tylko przy rampie miała mniej niż sześć stóp głębokości i była wystarczająco długa, by mógł w niej pływać — co natychmiast uczynił z wielką przyjemnością. Woda była równie czysta, jak morze, które przed chwilą pokonał, a ponadto podgrzano ją dla niego — o ile mógł ocenić — dokładnie do temperatury ludzkiej krwi, to jest 98,6 stopni Fahrenheita.

Odwrócił się na grzbiet i zaczął unosić na wodzie, wpatrzony w sztuczną mgłę przesłaniającą odległy sufit. To, pomyślał, dopiero jest życie! Była to najlepsza kąpiel, jaką miał od chwili... no, od tej bombowej kąpieli w hotelu „Caravansary” w Nowym Chicago. Ile to już czasu upłynęło? Don pomyślał, z nagłym przyplływem nostalgii, że jego klasa dawno już ukończyła szkołę.

Zmęczony takim luksusem wyszedł z niecki, po czym wziął się za swe ubrania i zeszkobał z nich zaskorupiały brud najlepiej jak tylko mógł. Żałował, że nie ma proszku do prania lub choćby szarego mydła domowej roboty, którego używali farmerzy. Wyruszył na bosaka w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłby zawiesić pranie. Wszedł do „małego” pokoiku i stanął jak wryty.

Kolacja była gotowa. Ktoś przygotował dla niego stół z kompletną zastawą i pięknym obrusem. Był to stół do gry w karty, najwyraźniej wyprodukowany w Grand Rapids. Przysunięte do niego krzesła naprawdę miały pod spodem stemple z nazwą tego miasta. Don odwrócił je i sprawdził to.

Stół zastawiono zgodnie z ludzkimi zwyczajami. Co prawda zupełną do kubka, zaś na talerzu do zupy znajdowała się kawa, lecz Don nie miał ochoty czepiać się takich szczegółów. Jedna i druga była gorąca, podobnie jak grzanka z kwaśnego chleba oraz jajecznicę — z prawdziwych jaj ze skorupkami, o ile potrafił to ocenić.

Rozłożył swe mokre lachy na ciepłej, pokrytej kafelkami podłodze, wygładził je pośpiesznie, odsunął krzesło i opadł na nie.

— Jak zwykł pan mówić, kapitanie — mruknął. — Nigdy nie mieliśmy tak dobrze.

Na podłodze innego z wykuszy tego samego pomieszczenia znajdował się materac piankowy. Don nie musiał mu się przyglądać, by stwierdzić, że pochodzi on z wyposażenia Zielonych (dla oficerów). Nie było łóżka czy koców, lecz ani jedno, ani drugie nie było konieczne. Wiedząc, że nikt nie będzie go niepokoił ani też oczekiwał od niego, by się pojawił, zanim uzna to za stosowne, zjadł kolację i położył się na nim wygodnie. Zdał sobie sprawę, że jest bardzo zmęczony. Z pewnością miał też mnóstwo spraw do przemyślenia.

Ponowne pojawienie się sir Isaaca sprawiło, że pogrzebane wspomnienia znowu podniosły głowę, żądając od niego świeżej uwagi. Wrócił myślami do szkoły. Zastanowił się, gdzie też jest jego współlokator. Czy zaciągnął się — po drugiej stronie? Miał nadzieję, że nie... w głębi serca wiedział jednak, że Jack to zrobił. Robisz to, co musisz, dokonując oceny z miejsca, w którym się znajdujesz. Jack nie był jego wrogiem. Nie mógł nim być. Dobry, stary Jack! Żywił silną nadzieję, że szaleńcze koleje wojny nigdy nie zetkną ich ze sobą twarzą w twarz.

Zastanowił się, czy Leniuch jeszcze go pamięta.

Ponownie ujrzał twarz starego Charliego, którą wiązka karabinu pozbawiła nagle ludzkiego kształtu... i na tę myśl do jego serca wróciła wściekłość. Cóż, odpłacił im za starego Charliego z nawiązką. Po raz kolejny wspomniawszy ze smutkiem Isobel.

Na koniec zastanowił się nad rozkazami, wywodzącymi się z samej Kwatery Głównej, które skierowały go do sir Isaaca. Czy naprawdę oczekiwało go tu jakieś wojskowe zadanie, czy też po prostu smok dowiedział się o miejscu jego pobytu i wysłał po niego? To drugie wydawało się bardziej prawdopodobne. Dowództwo uznałoby prośbę od księcia Jajka za wojskową „konieczność”, biorąc pod uwagę jak ważne były smoki dla ich operacji.

Podrapał się w bliznę na lewym ręką i zasnął.

* * *

Śniadanie było równie zadowalające jak kolacja. Tym razem jego pojawienie się nie było otoczone żadną tajemnicą. Przywiozła je młoda smoczyca. Don poznał, że była młoda po tym, że ostatnia para jej szypułek nie rozwinęła się jeszcze z pączków. Nie mogła mieć więcej niż sto wenusjańskich lat. Don zagwizdał podziękowanie. Odpowiedziała mu uprzejmie i wyszła.

Don był ciekaw, czy sir Isaac zatrudnia służących-ludzi. Zdumiała go kuchnia. Smoki po prostu nie gotują. Wolą pochłaniać swój pokarm w stanie świeżym wraz z odrobiną przylegającego doń mułu dennego przydającego smaku. Mógł uwierzyć, że smok potrafiłby ugotować jajko, gdyby poinformowano go dokładnie, ile do tego potrzeba czasu, lecz jego wyobraźnia wzdrygała się przed czymś bardziej skomplikowanym. Ludzka sztuka kulinarna ma charakter ezoteryczny i jest zrozumiała tylko dla jednego gatunku.

Jego zdumienie nie zmieniło jednak faktu, że zjadł śniadanie z przyjemnością.

Po posiłku, gdy jego pewność siebie została wsparta przez czyste i w miarę schludne ubranie, przygotował się na ciężką próbę, jaką miało być spotkanie z liczną rodziną sir Isaaca. Choć był przyzwyczajony do funkcjonowania jako tłumacz „prawdziwej mowy” perspektywa tak wielkiej ceremonii, w której on sam miał odegrać główną, wymagającą użycia wyobraźni rolę, przyprawiła go o niepokój. Miał nadzieję, że zdoła tego dokonać w sposób, który przyniesie zaszczyt jego rodzicom i nie okryje wstydem jego sponsora.

Ogolił się pobieżnie, gdyż nie miał lustra, i był właśnie gotowy dokonać wyjścia, gdy usłyszał swe imię. To go zdziwiło. Wiedział, że jako świeżo przybyłego gościa nie powinno się go niepokoić, nawet gdyby postanowił pozostać w swych pokojach przez tydzień, miesiąc albo i na zawsze.

Do środka wszedł ciężkim krokiem sir Isaac.

— Mój drogi chłopcze, czy zechcesz wybaczyć staremu człowiekowi, któremu się śpieszy, że potraktował cię w nieformalny sposób używany zwykle tylko w stosunku do własnych dzieci?

— No oczywiście, sir Isaac — Don nadal był zdziwiony. Jeśli sir Isaac był smokiem, któremu się śpieszyło, był to pierwszy taki przypadek w historii.

— Jeśli już się odświeżyłeś, zechciej proszę udać się ze mną.

Don zrobił to. Pomyślał, że musieli cały czas go obserwować. Moment pojawienia się sir Isaaca był zbyt ściśle określony. Stary smok poprowadził go z jego pokojów poprzez korytarz do pomieszczenia, które według smoczyczych standardów mogło być uważane za przytulne. Miało mniej niż sto stóp średnicy.

Don doszedł do wniosku, że z pewnością jest to gabinet sir Isaaca, gdyż na ścianach wisiało pełno książek w formie zwojów, zaś na wysokości jego chwytanych macek ustawiony był typowy obrotowy stół laboratoryjny. Ponad wieszakami na książki na jednej ze ścian znajdowało się coś, co — jak sądził Don — było

malowidłem ściennym, dla niego jednak wyglądało to jak pozbawione znaczenia bazgroły. Trzy kolory podczerwieni, które smoki widzą, a my nie, jak zwykle wywoływały zamieszanie. Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że malowidło może faktycznie niczego nie przedstawiać. Z pewnością wiele dzieł ludzkiej sztuki wydawało się nie mieć konkretnego znaczenia.

Przed wszystkim jednak zauważył — i zastanowił się nad tym — fakt, że pokój zawierał nie jedno, lecz dwa krzesła przeznaczone dla ludzi.

Sir Isaac poprosił go, by usiadł. Zrobiwszy to Don stwierdził, że był to najlepszej jakości mebel z napędem. Krzesło wyczuło jego wielkość oraz kształt i przystosowało się do nich. Don dowiedział się niemal natychmiast, dla kogo było przeznaczone drugie ziemskie krzesło. Do pokoju wkroczył mężczyzna około pięćdziesiątki, szczupły, o płaskim brzuchu i sztywnych jak drut siwych włosach otaczających łysinę. Cechował go szorstki sposób bycia. Zachowywał się tak, jakby jego rozkazy zawsze były wykonywane.

— Dzień dobry, panowie! — zwrócił się w stronę Dona. — Ty jesteś Don Harvey. Nazywam się Phipps. Montgomery Phipps — powiedział to tak, jakby stanowiło to wystarczające wyjaśnienie. — Trochę urosłeś. Kiedy ostatni raz cię widziałem, dałem ci wtluki za to, że ugryzłeś mnie w kciuk.

Donowi nie spodobała się emanująca z mężczyzny aura starszego sierżanta. Jak sądził, był to jakiś znajomy jego rodziców, którego spotkał w pogrążonych w mroku czasach dzieciństwa, nie mógł go jednak sobie przypomnieć.

— Czy miałem powód, żeby pana ugryźć? — zapytał.

— Hę? — mężczyzna wydał z siebie nagle szczekający śmiech. — Myślę, że to kwestia punktu widzenia. Jesteśmy jednak kwita. Przylałem ci jak się patrzy — zwrócił się w stronę sir Isaaca. — Czy Malath przyjdzie?

— Powiedział, że spróbuje. Powinien za chwilę tu dotrzeć.

Phipps rzucił się na drugie krzesło i zabębnił palcami po poręczach. — W takim razie musimy chyba zaczekać, choć nie widzę potrzeby jego obecności. Doszło już do stanowczo zbyt wielkiej zwłoki. Trzeba było odbyć to spotkanie w nocy.

— W nocy? — sir Isaac zdołał wydobyć ze swego generatora zaszokowany ton. — Gdy gość dopiero co przybył?

Phipps wzruszył ramionami.

— Nieważne — zwrócił się do Dona. — Jak ci smakowała kolacja, synu?

— Bardzo.

— Przyrządziła ją moja żona. Jest teraz zajęta w laboratorium, ale później będziesz mógł ją poznać. Jest znakomitym chemikiem — w kuchni czy poza nią.

— Chciałbym jej podziękować — odparł szczerze Don. — Czy pan powiedział „w laboratorium”.

— Hę? Tak, tak. Jest bardzo dobre. Później ci je pokażemy. Mamy tu niektóre z największych talentów na Wenus. Strata Federacji to nasz zysk.

Don nie zdążył zadać pytań, które natychmiast przysły mu do głowy, gdyż ktoś, czy raczej coś, wtoczyło się do środka. Don wytrzeszczył oczy ujrawszy, że był to „wózek” Marsjanina — wehikuł osobisty o napędzie własnym zapewniający marsjańskie warunki, bez którego Marsjanin nie może przeżyć na Ziemi ani na Wenus. Mały pojazd wjechał do sali i dołączył do kręgu zebranych. Postać ukryta wewnątrz podniosła się do pozycji siedzącej za pomocą sztucznego, napędzanego szkieletem zewnętrznego, spróbowała słabym gestem rozpostrzeć pseudoskrzydła i przemówiła cienkim, słabym głosem wzmocnionym przez głośniki.

— Malath da Thon pozdrawia was, przyjaciele.

Phipps wstał z krzesła.

— Malath, mój stary, powinieneś wrócić do zbiornika. Zabijesz się, jak będziesz się tak przeciążał.

— Będę żył tak długo, jak to konieczne.

— To jest ten chłopak, Harvey. Wygląda jak jego stary, nie?

Sir Isaac, wstrząśnięty taką bezceremonialnością, wtrącił się, by dokonać formalnego przedstawienia. Don gorączkowo usiłował przypomnieć sobie więcej niż dwa słowa klasycznego języka marsjańskiego. Wreszcie dał sobie spokój i ograniczył się do:

— Cieszę się, że mogę pana poznać.

— Cały zaszczyt po mojej stronie — odparł zmęczony głos. — Wysoki ojciec rzuca długi cień.

Don zastanowił się co odpowiedzieć. Pomyślał sobie, że awanturniczy brak manier wynochów ma swoje zalety. Phipps przerwał im słowami.

— No dobra, przejdźmy do rzeczy, zanim Malath się zmęczy. Sir Isaac?

— Proszę bardzo Donald, wiesz że jesteś w moim domu miłym gościem?

— Hmm... no tak, sir Isaac, dziękuję panu.

— Wiesz też, że prosiłem cię, byś złożył mi wizytę gdy jedynym, co o tobie wiedziałem, były twoje pochodzenie i ożywiający cię dobry duch?

— Tak jest, prosił mnie pan, bym pana odszukał. Próbowałem to zrobić, naprawdę próbowałem, ale nie wiedziałem gdzie pan wylądował. Przygotowywałem się właśnie do przeprowadzenia w tej sprawie małego dochodzenia, gdy nastąpił desant Zielonych. Przepraszam — Don czuł się trochę nie w porządku wiedząc, że nie myślał o tej sprawie do chwili, gdy zapragnął poprosić smoka o przysługę.

— Ja również próbowałem cię odszukać, Donald. Przeszkodziło mi w tym to samo nieszczęśliwe wydarzenie. Dopiero niedawno dowiedziałem się z plotek przenoszonych poprzez mgłę, gdzie się znajdujesz i co robisz — sir Isaac przerwał, jak gdyby trudno mu było dobrać właściwe słowa. — Czy, wiedząc że ten dom jest twoim domem i że w każdym wypadku jesteś tu miłym gościem, będziesz mi mógł wybaczyć, gdy się dowiesz, że wezwano cię tu również z jak najbardziej praktycznego powodu?

Don uznał, że wskazana jest „prawdziwa mowa”.

— Jak oczy mogą obrazić ogon? Albo ojciec syna? W czym mogę panu pomóc, sir Isaac? Zdażyłem się już domyślić, że coś się dzieje.

— Jak mam zacząć! Czy mam opowiedzieć o waszym Cyrusie Buchanie, który umarł z dala od swego ludu, a mimo to umarł szczęśliwy, ponieważ nas również uczynił swoim ludem? A może o dziwnych i skomplikowanych zwyczajach waszego gatunku, które — tak to przynajmniej dla nas wygląda — sprawiają, że czasami szczęki gryzą własną nogę? Czy też powinienem bezpośrednio omówić wydarzenia, które miały miejsce tutaj od chwili, gdy ty i ja po raz pierwszy dzieliliśmy ze sobą błoto na niebie?

Phipps poruszył się niespokojnie.

— Ja się tym zajmę, sir Isaac. Niech pan nie zapomina, że ten młodzieniec i ja należymy do tego samego gatunku. Nic będę musiał owijać w bawełnę. Mogę mu to przekazać w dwóch słowach. To nie jest skomplikowane.

Sir Isaac pochylił swą masywną głowę.

— Jak pan sobie życzy, mój przyjacielu.

Phipps zwrócił się w stronę Dona.

— Młody człowieku, nie wiedziałeś o tym, ale, gdy twoi rodzice wezwali cię do domu na Marsa, byłeś kurierem przynoszącym wiadomość.

Don obrzucił go ostrym spojrzeniem.

— Ale ja o tym wiedziałem — zaczął myśleć gorączkowo, przystosowując się do nowej sytuacji.

— Wiedziałeś? No to świetnie! Daj nam go więc.

— Co mam dać?

— Pierścionek. Pierścionek, oczywiście. Daj go nam.

„Nie sądźcie z zewnętrznych pozorów” — EWANGELIA ŚW. JANA 7, 24

— Chwileczkę — sprzeciwił się Don. — Coś się panu pomieszało. Wiem, jaki pierścionek ma pan na myśli, ale tu nie chodziło o niego, tylko o papier, w który był zawinięty. A ten zabrało IBI.

Phipps zrobił zakłopotaną minę, po czym roześmiał się.

— Zabrali go, co? W takim razie popełnili tę samą pomyłkę, co ty. To sam pierścionek jest ważny. Daj go nam.

— Pan z pewnością się myli — odparł powoli Don. — Albo może nie mówimy o tym samym pierścionku — zastanowił się nad tym. — Istnieje możliwość, że IBI zamieniło pierścionki zanim paczka zdążyła do mnie dotrzeć. Jest jednak absolutnie pewne, że pierścionek, który otrzymałem, nie mógł zawierać żadnej wiadomości. Był z przezroczystego plastiku — chyba styrenu — i nie było w nim najmniejszej plamki. Żadnej wiadomości. Nie było gdzie jej ukryć.

Phipps wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Nie wykręcaj kota ogonem. Możesz być pewien, że to właściwy pierścionek i że wiadomość mogła się w nim znajdować. IBI nie zamieniło pierścionków. Wiemy to.

— Skąd?

— A niech to, chłopcze! Twoim zadaniem było dostarczyć pierścionek. To wszystko. My będziemy się martwić o zawartą w nim wiadomość.

Don nabierał pewności, że gdy jego młodsze wcielenie ugryzło Phippsa w kciuk, był to czyn usprawiedliwiony.

— Chwileczkę! Tak jest, miałem dostarczyć pierścionek. To właśnie doktor Jefferson... wie pan, kim on jest?

— Wiem kim był. Nigdy go nie spotkałem.

— Tego właśnie chciał doktor Jefferson. Teraz on nie żyje, przynajmniej tak mi powiedzieli. W każdym razie nie mogę się z nim skonsultować. Powiedział jednak bardzo wyraźnie, komu mam go oddać. Ojcu. Nie panu.

Phipps walnął w poręcz krzesła.

— Wiem o tym! Wiem! Gdyby wszystko poszło jak trzeba, oddałbyś go ojcu i zaoszczędzono by nam niekończących się kłopotów. Ale te nadgorliwe chłopaki z Nowego Londynu musiały... Nieważne. Fakt, że do rebelii doszło akurat w tej chwili, sprawił, że wylądowałeś tutaj, zamiast na Marsie. Staram się uratować sytuację. Nie możesz dostarczyć go ojcu, możesz jednak osiągnąć ten sam efekt oddając go mnie. Twój ojciec i ja pracujemy z myślą o tym samym celu.

Don zawahał się zanim udzielił odpowiedzi.

— Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale powinien pan przedstawić na to jakiś dowód.

Sir Isaac wyprodukował za pomocą swego generatora dźwięk identyczny z ludzkim chrząknięciem:

— Hm! — obaj zwrócili głowy w jego kierunku. — Może — ciągnął — powinienem się włączyć do tej dyskusji, znam Donalda, jeśli można tak powiedzieć, z nieco bliższych czasów, mój drogi panie Phipps.

— No więc... proszę bardzo.

Sir Isaac zwrócił większość swych oczu w stronę Dona.

— Mój drogi Donaldzie, czy mi ufasz?

— Hmm, chyba tak, sir Isaac, ale wydaje mi się, że muszę nalegać na otrzymanie dowodu. To nie jest mój pierścionek.

— Tak, masz do tego powód. Zastanówmy się więc, co mogłoby być takim dowodem. Gdybym powiedział...

Don przerwał mu, czując, że cała sprawa wyrwała się spod kontroli.

— Przepraszam, że pozwoliłem, by to się przerodziło w spór. Rozumiecie panowie, to nie ma znaczenia.

— He?

— No, rozumiecie, nie mam już tego pierścionka. Zaginął.

Przez długą chwilę panowała śmiertelna cisza. Wreszcie Phipps powiedział:

— Zdaje się, że Malath zemdłał.

Nastąpiła pośpieszna krzątanina, gdy wózek Marsjanina przesuwano do jego pomieszczeń, a potem napięcie, zanim nie doniesiono, że unosi się on już w swym specjalnym łożu i odpoczywa wygodnie. Naradę wznowiono z udziałem trzech członków. Phipps spojrział spode łba na Dona.

— Wiesz, że to twoja wina. To, co powiedziałaś, kompletnie go załamało.

— Moja? Nie rozumiem.

— On również był kurierem. Trafił tu w taki sam sposób jak ty. Ma drugą część wiadomości — tej samej, którą straciłeś. Odebrałeś mu ostatnią realną szansę na powrót do domu zanim zabije go wysoka grawitacja. To chory człowiek, a ty usunąłeś mu grunt spod nóg.

— Ale... — odparł Donald.

— Donald nie jest winny — przerwał mu sir Isaac. — Młodych powinno się obarczać winą jedynie ze słusznych przyczyn i po zastanowieniu, by nie przynieść smutku rodzinie.

Phipps spojrzał na smoka, po czym przeniósł wzrok na Dona.

— Przepraszam. Jestem zmęczony i w złym humorze. Co się stało, to się nie odstanie. Ważne gdzie jest pierścionek i czy istnieje jakakolwiek szansa na jego odnalezienie?

Don zrobił nieszczęśliwą minę.

— Obawiam się, że nie — powiedział pośpiesznie o próbie odebrania mu pierścionka i o tym, że nie miał odpowiedniego miejsca, w którym mógłby go ukryć. — Nie wiedziałem, że jest naprawdę ważny, miałem jednak zamiar spełnić życzenie doktora Jeffersona. Może czasami bywam uparty. Zrobiłem to, co zdołałem wymyślić — oddałem pierścionek bliskiej osobie na przechowanie. Pomyślałem sobie, że tak będzie najlepiej, bo nikt nie wpadnie na to, by go szukać u kogoś, u kogo nie spodziewano się go znaleźć.

— Słusznie — zgodził się Phipps — ale komu go dałeś?

— Pewnej młodej damie — przez twarz Dona przebiegł skurcz. — Przypuszczam, że zginęła podczas ataku Zielonych.

— Nie wiesz tego na pewno?

— Jestem raczej przekonany. Przy mojej robocie miałem okazję pytać wielu ludzi i nikt jej nie widział na oczy od chwili ataku. Jestem pewien, że nie żyje.

— Możesz się mylić. Jak się nazywa?

— Isobel Costello. Jej ojciec kierował filią IT&T.

Phipps zrobił absolutnie zdumioną minę, po czym uwalił się na fotel i ryknął głośno. Po chwili przetarł oczy i powiedział.

— Czy pan słyszał, sir Isaac? Słyszał pan? I co tu mówić o tym, że najciemniej jest pod latarnią! Albo o okularach babci!

— Co pan ma na myśli? — zapytał Don obrażonym tonem, przenosząc wzrok z jednego na drugiego z rozmówców.

— Co mam na myśli? No więc, synu, Jim Costello i jego córka są tutaj już od drugiego dnia po ataku — zerwał się z miejsca. — Nie ruszajcie się! Zostańcie na miejscu. Za chwilę wrócę.

Faktycznie wrócił szybko.

* * *

— Zawsze miałem kłopoty z tymi waszymi dziwacznymi interkomami, sir Ike — poskarżył się. — Zaraz przyjdą.

Usiadł na fotelu z głośnym westchnieniem.

— Są takie dni, że mam ochotę zgłosić się dobrowolnie do zakładu dla wariatów.

Phipps zamilkł, jeśli pominąć stłumiony chichot czy dwa. Sir Isaac skupił się, jak się zdawało, na kontemplacji swego nieistniejącego pępka. Don pograżył się w burzliwych myślach. Czuł ulgę zbyt wielką, by była ona przyjemna. Isobel żyła!

Po chwili, odzyskawszy po części spokój, powiedział.

— Posłuchajcie, czy nie czas już, żeby ktoś mi powiedział, o co tu chodzi?

Sir Isaac uniósł głowę. Jego witki zatańczyły na klawiszach.

— Wybacz mi, drogi chłopcze. Myślałem o czymś innym. Dawno, dawno temu, gdy mój gatunek był jeszcze młody, a twój jeszcze...

— Przepraszam, mój stary — wtrącił się Phipps — ale mogę to streścić. W szczególności może go pan wprowadzić później — założywszy, że otrzymał zgodę, zwrócił się w stronę Dona. — Harvey, istnieje organizacja — koteria, spisek, tajna loża, nazwij to jak chcesz. My nazywamy się po prostu „Organizacją”. Ja jestem jej członkiem, podobnie jak sir Isaac, stary Malath, a również oboje twoi rodzice. Był nim też doktor Jefferson. Składa się ona głównie z uczonych, lecz nie wyłącznie z nich. Jedno, co łączy nas wszystkich, to wiara w godność i naturalną wartość wolności. Walczyliśmy na wiele sposobów — nieskutecznie, muszę dodać — przeciwko historycznemu imperatywowi ostatnich dwóch stuleci — zanikowi indywidualnej wolności pod naciskiem coraz większych i obejmujących sobą coraz szerszy zakres organizacji zarówno rządowych, jak i quasi-rządowych. Na Ziemi nasza grupa wywodzi się z dziesiątków różnych źródeł sięgających daleko w głąb dziejów — stowarzyszeń uczonych walczących przeciwko tajności i pakowaniu myśli w kaftan bezpieczeństwa, artystów sprzeciwiających się cenzurze, towarzystw służących pomocą prawną i wielu innych organizacji, z których większość nie odniosła sukcesu, a niektóre były nawet całkiem głupie. Przed około stuleciem wszystkie podobne grupy zostały zepchnięte do podziemia, słabsze siostry odpadały, gadatliwi pozwolili się wyaresztować i zlikwidować, zaś reszta uległa konsolidacji. Tutaj, na Wenus, nasze początki sięgają aż do porozumienia osiągniętego pomiędzy Cyrusem Buchananem, a dominującym gatunkiem tubylców. Na Marsie oprócz wielu ludzi — później powiem o nich więcej — organizacja powiązana jest z tym, co nazywamy „kastą kapłańską”. To kiepskie tłumaczenie, gdyż oni nie są kapłanami. Lepiej byłoby powiedzieć „sędziowie”.

— Starsi bracia — przerwał mu sir Isaac.

— Hę? Tak, może to i dobre poetyckie tłumaczenie. Nieważne. Rzecz w tym, że cała organizacja, Marsjanie, Wenusjanie i Ziemianie, walczyła o...

— Chwileczkę — wtrącił się Don. — Bardzo wiele by wyjaśniło, gdyby mógł mi pan odpowiedzieć na jedno pytanie. Jestem żołnierzem Republiki Wenus. Trwa wojna. Niech mi pan powie, czy ta organizacja, tutaj na Wenus, pomaga nam w walce o przepędzenie Zielonych?

— No więc, niezupełnie. Rozumiesz...

Don nie dowiedział się wtedy, co takiego miał zrozumieć, gdyż przez słowa Phippsa przebił się inny głos.

— Don! Donald!

Rzucił się na niego cokolwiek mniejszy przedstawiciel jego gatunku, należący do płci żeńskiej. Isobel była najwyraźniej zdecydowana złamać mu kark. Don był zawstydzony, wzburzony i nade wszystko szczęśliwy. Łagodnie usunął jej ramiona ze swej szyi i spróbował udać, że nic takiego się nie wydarzyło, gdy dostrzegł, że jej ojciec spogląda na niego raczej dziwnie.

— Hmm, witam, panie Costello.

Costello podszedł do niego i uściskał mu dłoń.

— Jak się pan ma, panie Harvey? Cieszę się, że znowu pana widzę.

— I ja się cieszę. Strasznie jestem zadowolony, że widzę was żywych i w jednym kawałku. Myślałem, że już po was.

— Nie całkiem. Ale mało brakowało.

— Don, wyglądasz starzej — powiedziała Isobel. — Znacznie. I jaki jesteś chudy!

Uśmiechnął się do niej.

— Ty się za to nic nie zmieniłaś, babciu.

— Nie chciałbym przerywać tego wieczoru wspomnień — wtrącił się Phipps. — Ale nie mamy czasu do stracenia. Panno Costello, chcemy dostać pierścionek.

— Pierścionek?

— Chodzi mu — wyjaśnił Don — o ten, który zostawiłem u ciebie.

— Pierścionek? — zapytał pan Costello. — Panie Harvey, czy dał pan mojej córce pierścionek?

— No, niezupełnie. Rozumie pan...

— To jest ten pierścionek, Jim — przerwał mu ponownie Phipps. — Z wiadomością. Harvey był drugim kurierem i wygląda na to, że uczynił z twojej córki coś w rodzaju wicekuriera.

— Hę? Muszę przyznać, że nie rozumiem — spojrzał na córkę.

— Masz go? — zapytał Don. — Nie zgubiłaś go?

— Zgubić twój pierścionek? Oczywiście, że go mam, Don. Myślałam jednak... nieważne. Będiesz teraz chciał go dostać z powrotem. — Spojrzała wokół siebie na wpatrzonych w nią oczy — czternaście sztuk, wliczając należące do sir Isaaca, po czym odsunęła się od nich i odwróciła plecami. Niemal natychmiast odwróciła się z powrotem i wyciągnęła rękę. — Oto on.

Phipps sięgnął po niego, lecz Isobel cofnęła dłoń i wręczyła pierścionek Donowi. Mężczyzna otworzył usta, zamknął je, po czym otworzył ponownie.

— No dobrze, daj go nam, Harvey.

Don schował go do kieszeni.

— Jak dotąd nie wyjaśnił mi pan, dlaczego miałbym go panu oddać.

— Ale... — Phipps przybrał odcień czerwony. — To niedorzeczność! Gdybyśmy wiedzieli, że on tu jest, nie zadalibyśmy sobie trudu, by po ciebie wystać. Dostalibyśmy go bez twojego pozwolenia.

— O, nie!

Phipps przeniósł wzrok na Isobel.

— Co to ma znaczyć, młoda damo? Dlaczego nie?

— Dlatego, że nie dałabym go panu. W żadnym wypadku. Don powiedział mi, że ktoś próbuje mu go odebrać. Nie wiedziałam, że to pan jest tym kimś!

Phipps, już przedtem czerwony na twarzy, omal nie dostał apopleksji.

— Nie znoję już więcej tej dziecinady. To są poważne sprawy — podszedł do Dona w dwóch zamaszystych krokach i złapał go za ramię. — Dość tych wygłupów! Daj nam wiadomość!

Don jednym płynnym ruchem strącił jego rękę i cofnął się o pół kroku. Gdy Phipps spojrział w dół, ujrzał, że ostry koniec noża niemal dotyka go w talii. Don trzymał nóż luźno między kciukiem i dwoma palcami, jak ci, którzy wiedzą, do czego służy stal.

Phippsowi najwyraźniej trudno było uwierzyć w to, co widział.

— Proszę się ode mnie odsunąć — powiedział cicho Don.

Phipps wycofał się.

— Sir Isaac!

— Tak jest — zgodził się Don. — Sir Isaac, czy muszę to znosić w pańskim domu?

Macki smoka uderzyły w klawisze, lecz z aparatu wydobył się jedynie pozbawiony sensu pisk. Smok zatrzymał się i zaczął od nowa.

— Donald, to jest twój dom — powiedział bardzo powoli. — Zawsze będziesz w nim bezpieczny. Proszę cię — w imię przysługi, jaką mi wyrządziłeś — odłóż tę broń.

Don rzucił spojrzenie na Phippsa, wyprostował się i sprawił, że nóż zniknął. Phipps, odprężony, zwrócił się do smoka.

— No więc, sir Isaac? Co ma pan zamiar w tej sprawie zrobić?

Sir Isaac nie zwracał sobie głowy generatorem. — Proszę się usunąć!

— He?

— Wprowadził pan do tego domu niezgodę. Czy nie był pan członkiem zarówno mojego domu, jak i rodziny? A mimo to groził pan mu. Proszę, niech pan wyjdzie, zanim narobi pan więcej szkód.

Phipps zaczął coś mówić, lecz zmienił zdanie i wyszedł.

— Jest mi okropnie przykro, sir Isaac — powiedział Don. — Ja...

— Niech wody zamkną się nad tym incydentem. Niech pokryje go błoto. Donald, mój drogi chłopcze, w jaki sposób mogę cię zapewnić, że to, o co cię prosimy, jest tym samym, czego chcieliby twoi czcigodni rodzice, gdyby byli na miejscu, by udzielić ci instrukcji?

Don zastanowił się nad tym.

— Myślę, że w tym właśnie tkwi szkopał, sir Isaac. Nie jestem pańskim „drogim chłopcem”. Ani pańskim, ani niczym. Moich rodziców tu nie ma, a nawet gdyby byli, nie jestem pewien, czy wysłuchałbym ich poleceń. Stałem się dorosłym mężczyzną. Jestem młodszy od pana — o kilka stuleci — i młody nawet jak na człowieka, więc pan Phipps ciągle uważa mnie za chłopca. W tym tkwił błąd. Nie jestem chłopcem i muszę się dowiedzieć, o co tu chodzi, by samemu podjąć decyzję. Jak dotąd usłyszałem mnóstwo kitu, a ponadto poddano mnie presji. To nic nie da. Muszę poznać fakty.

Zanim sir Isaac zdążył odpowiedzieć, przerwał im inny dźwięk — oklaski Isobel.

— A jak z tobą, Isobel? — zapytał Don. — Co o tym sądzisz?

— Ja? Nic. Nie mogłabym wiedzieć mniej, choćby trzymano mnie zamkniętą w worku. To były oklaski dla ciebie.

— Moja córka — wtrącił się zdecydowanym tonem pan Costello — nic nie wie o tych sprawach. Ja jednak wiem i wygląda na to, że ma pan prawo usłyszeć odpowiedzi.

— Z pewnością by mi się przydały!

— Za pańskim pozwoleniem, sir Isaac? — smok skinął niezgrabnie głową. — Niech pan strzela — ciągnął Costello. — Postaram się udzielić panu jasnych odpowiedzi.

— Dobra. Jaka wiadomość jest w tym pierścionku?

— No więc, nie potrafię określić dokładnie. W przeciwnym razie nie byłaby nam ona potrzebna. Wiem, że jest to omówienie pewnych aspektów fizyki — grawitacja, inercja, spin i temu podobne. Teoria pola. Tekst jest z pewnością bardzo długi i skomplikowany i zapewne nie zrozumiałbym go, nawet gdybym wiedział dokładnie, co w nim jest. Jestem tylko cokolwiek zardzewiałym inżynierem łącznościowcem, a nie czołowym fizykiem-teoretykiem.

Don zrobił zdziwioną minę.

— Nie rozumiem tego. Ktoś wpakował do pierścionka podręcznik fizyki, a potem bawimy się w policjantów i złodziei po całym układzie. To brzmi głupio. Co więcej, to wydaje się niemożliwe.

Wyciągnął pierścionek i przyjrzał się mu. Światło wyraźnie przenikało przez niego. Była to zwykła błyskotka ze sklepu z pamiątkami. W jaki sposób można było w nim ukryć poważny tekst na temat fizyki?

— Donald, mój drogi... Przepraszam. Kurczę! — odezwał się sir Isaac. — Mylisz prosty wygląd z prostotą. Bądź pewien, że wiadomość tam jest. Jest teoretycznie możliwe stworzenie matrycy, w której każda pojedyncza cząsteczka posiada znaczenie — tak jak w komórkach pamięciowych w twoim mózgu. Gdybyśmy dysponowali taką subtelnością, moglibyśmy upchnąć całą waszą „Encyklopedię

Brytyjską” w główce szpilki — encyklopedia stałaby się taką główką. To jednak nie jest nic równie trudnego.

Don ponownie spojrzął na pierścionek i schował go z powrotem do kieszeni.

— Dobra. Skoro pan tak mówi. Nadal jednak nie rozumiem, o co ta cała rozróżba.

— My również nie — odparł pan Costello. — Przynajmniej nie całkiem. Ta wiadomość miała trafić na Marsa, gdzie są przygotowani do tego, by zrobić z niej najlepszy użytek. Ja sam nawet nie słyszałem o tym projekcie — co najwyżej same ogólności — zanim nie trafiłem tutaj. Najważniejsze jednak jest to: równania zawarte w tym przekazie mówią, w jaki sposób zbudowana jest przestrzeń i jak nią manipulować. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić wszystkich implikacji, wiemy jednak o paru rzeczach, których możemy się po tym spodziewać. Po pierwsze, jak zbudować pole siłowe, które powstrzyma wszystko, nawet bombę wodorową. Po drugie, jak zmontować napęd kosmiczny, przy którym podróż rakieta będzie wyglądała jak wędrówka na piechotę. Niech pan mnie nie pyta jak to zrobić. To nie na mój łeb. Proszę zapytać sir Isaaca.

— Zapytaj mnie, kiedy już przestudiuję wiadomość — stwierdził sucho smok.

Don nic nie mówił. Przez parę chwil panowała cisza, którą przerwał Costello, mówiąc:

— No więc? Czy chce pan o coś zapytać? Nie znam właściwie zakresu pańskiej wiedzy i nie wiem, co mam panu powiedzieć.

— Panie Costello, czy wiedział pan o wiadomości, gdy rozmawiałem z panem w Nowym Londynie?

Costello potrząsnął głową.

— Wiedziałem, że nasza organizacja pokłada wielkie nadzieje w badaniach prowadzonych na Ziemi, a również to, że mają one być ukończone na Marsie. Rozumie pan, zajmowałem kluczową pozycję. Byłem „skrzynką kontaktową” dla komunikatów z Wenus i na Wenus, ponieważ moja praca pozwalała mi na wysyłanie komunikatów międzyplanetarnych. Nie wiedziałem, że to pan jest kurierem, a już z pewnością nie wiedziałem, że powierzył pan organizacyjny przekaz mojej jedynej córce — uśmiechnął się z przekąsem. — Mógłbym dodać, że nie zidentyfikowałem pana nawet w myślach jako syna dwóch członków naszej organizacji. W przeciwnym razie wysłanie pańskiego radiogramu nie byłoby żadnym problemem, bez względu na to, czy mógł pan za niego zapłacić czy nie. Istniały metody, dzięki którym mogłem rozpoznać organizacyjne przekazy, lecz pańska wiadomość nie zawierała tego. Poza tym Harvey to dość pospolite nazwisko.

— Wie pan — powiedział powoli Don. — Wydaje mi się, że gdyby doktor Jefferson poinformował mnie, co takiego przewożę, i gdyby zaufał pan Isobel na tyle, by zaznajomić ją choć trochę z tym, co się dzieje, można by było zaoszczędzić masy trudności.

— Być może. Niemniej ludzie ginęli dlatego, że wiedzieli za dużo. I na odwrót — czego nie wiedzą, tego nie mogą powiedzieć.

— Tak. Myślę, że to prawda. Powinien jednak istnieć jakiś sposób na pokierowanie sprawami tak, by ludzie nie musieli ganiać w kółko objuczeni tajemnicami, bojąc się otworzyć usta!

Zarówno smok, jak i mężczyzna skinęli głowami.

— Do tego właśnie dążymy — dodał pan Costello — na dłuższą metę. Do takiego właśnie świata.

Don zwrócił się w stronę gospodarza.

— Sir Isaac, czy kiedy spotkaliśmy się na *Szlaku Chwały*, wiedział pan, że doktor Jefferson używa mnie w charakterze posłańca?

— Nie, Donald, choć powinienem był to podejrzewać, gdy się dowiedziałem, kim jesteś — smok przerwał, po czym dodał. — Czy jest jeszcze coś, czego chciałbyś się dowiedzieć?

— Nie, chcę się tylko zastanowić.

Zbyt wiele rzeczy wydarzyło się nazbyt szybko, za dużo nowych pojęć... Na przykład to, co pan Costello powiedział mu o wiadomości znajdującej się w pierścionku. Don potrafił zrozumieć, co to mogło oznaczać — jeśli Costello wiedział, o czym mówi. Szybki napęd kosmiczny, który pozwoliłby pobić na głowę pod względem prędkości statki Federacji... zabezpieczenie przed bombami atomowymi, a nawet wodorowymi. Gdyby Republika miała podobne rzeczy, mogłaby odesłać Federację na grzybki!

Ale Phipps przyznał, że wszystkie te bajery nie miały służyć walce z Zielonymi. Czymkolwiek to było, chcieli wszystko wysłać na Marsa. Dlaczego tam? Na Marsie nie było nawet stałego ludzkiego osiedla, jedynie misje i ekspedycje naukowe, takie jak jego rodziców. Tak naprawdę, ta planeta nie była odpowiednim miejscem dla ludzi. Dlaczego właśnie tam?

Komu mógł zaufać? Rzecz jasna Isobel. Zaufał jej już raz i opłaciło mu się to. Jej ojcu? Isobel i jej ojciec to dwoje różnych ludzi i dziewczyna nie wiedziała nic o tym, co on robi. Spojrzał na nią. Odwzajemniła jego spojrzenie wielkimi oczyma o poważnym wyrazie. Przeniósł wzrok na jej ojca. Nie wiedział, po prostu nie wiedział.

Malath? Głos dobiegający ze zbiornika! Phipps? Mógł być dobry dla dzieci i mieć złote serce, ale Don nie miał powodu mu ufać.

Co prawda wszyscy ci ludzie wiedzieli o doktorze Jeffersonie i o pierścionku, a także sprawiali wrażenie, że znają jego rodziców, to samo jednak dotyczyło Bankfielda. Potrzebny mu był dowód, a nie słowa. Wiedział już dosyć — wystarczająco wiele się wydarzyło — by być pewnym, że to, co zawierał pierścionek, było nadzwyczaj ważne. Nie mógł popełnić błędu.

Przyszło mu do głowy, że istniał jeden sposób, by się upewnić: Phipps mówił, że Malath ma drugą część tej samej wiadomości — że w jego pierścionku znaj-

dowała się tylko połowa. Gdyby się okazało, że jego część pasuje do dostarczonej przez Malatha, stanowiłoby to zadowalający dowód, iż ci ludzie mają prawo do wiadomości.

Ale — niech to wszyscy diabli — ten test wymagał, by rozbił jajko, by się przekonać, czy jest nieświeże. Musiał się upewnić, zanim odda im wiadomość. Spotkał się już z systemem dwuczęściowych przekazów. Był to typowy wybieg wojenny, stosowano go jednak wyłącznie wtedy, gdy było tak bardzo ważne, by zachować tajemnicę, że lepiej było dopuścić, by przekaz nie dotarł do celu, niż podjąć choćby najmniejsze ryzyko, że zostanie się on w niepowołane ręce.

Spojrzał na smoka.

— Sir Isaac?

— Słucham, Donald?

— Co by się stało, gdybym odmówił oddania pierścionka?

Sir Isaac odpowiedział natychmiast, lecz z wielką rozwagi

— Bez względu na wszystko jesteś moim jajkiem. To jest twój dom, w którym możesz mieszkać w pokoju, albo w pokoju go opuścić, jak tylko zechcesz.

— Dziękuję, sir Isaac — Don uciekł się do prawdziwego, smoczego języka, używając prawdziwego imienia „sir Isaaca”.

— Panie Harvey — odezwał się zniecierpliwionym tonem Costello.

— Słucham?

— Czy wie pan, dlaczego język smoczego ludu jest nazywany „prawdziwą mową”?

— Hmm, no więc, niezupełnie.

— Dlatego, że to jest prawdziwa mowa. Niech pan posłucha. Studiowałem semantykę porównawczą. Mowa gwizdów nie posiada nawet symbolu oznaczającego pojęcie kłamstwa. A na co dana osoba nie ma symbolu, o tym nie może pomyśleć! Proszę go zapytać, panie Harvey! Zapytać go w jego własnym języku. Jeśli w ogóle panu odpowie, będzie pan mógł mu uwierzyć.

Donald spojrział na starego smoka. Przez jego mózg przemknęły galopem myśli o tym, że pan Costello miał rację — w smoczym języku nie było symbolu oznaczającego „kłamstwo”. Najwyraźniej smoki nigdy nie wynalazły tej koncepcji, bądź nie czuły takiej potrzeby. Czy sir Isaac byłby zdolny skłamać? A może był tak ucłowieczony, że potrafił zachowywać się i myśleć jak człowiek? Wbił wzrok w sir Isaaca. Osiem kiwających się oczu bez wyrazu odwzajemniło jego spojrzenie. Jak człowiek mógł odgadnąć, co myśli smok?

— Proszę go zapytać! — nie ustępował Costello.

Nie ufał Phippsowi. Logicznie rzecz biorąc nie mógł też ufać Costellowi. Nie miał do tego powodu. Isobel nie miała tu nic do rzeczy.

Czasem jednak trzeba komuś zaufać! Nie sposób obywać się bez niczyjej pomocy. No dobrze, niech to będzie ten smok, który „dzielił z nim błoto”.

— Nie ma takiej potrzeby — powiedział nagle Don. — Proszę.

Sięgnął ręką do kieszeni, wyciągnął pierścionek i włożył go do jednej z macek sir Isaaca.

Macka owinęła się wokół niego i skryła go w wijącej się powoli masie.

— Dziękuję, Mgło nad Wodami.

Multum in parvo

Donald spojrzął na Isobel i stwierdził, że wciąż jest poważna i nie uśmiecha się, niemniej wydaje się aprobować jego decyzję. Jej ojciec usiadł ciężko na drugim z krzeseł.

— Uff! — westchnął. — Panie Harvey, twarda z pana sztuka. Zaniepokoił mnie pan.

— Przepraszam. Musiałem się zastanowić.

— To już nieważne — zwrócił się do sir Isaaca. — Chyba lepiej ściągnę tu Phippsa, co?

— To nie będzie konieczne — usłyszeli głos dobiegający z tyłu. Odwrócili się wszyscy, z wyjątkiem sir Isaaca, który nie potrzebował tego robić. Phipps stał w drzwiach. — Wszedłem na ostatnie twoje słowa, Jim. Jeśli mnie potrzebujesz, jestem na miejscu.

— No więc, potrzebuję.

— Chwileczkę. Przyszedłem tu z innego powodu — Phipps zwrócił się w stronę Dona. — Panie Harvey, jestem panu winien przeprosiny.

— Och, nie ma sprawy.

— Nie, proszę mi pozwolić się wypowiedzieć. Nie miałem prawa próbować zmusić pana do współpracy. Niech pan mnie nie zrozumie źle. Chcemy, a nawet musimy, dostać ten pierścionek. Zamierzałem się z panem spierać tak długo, aż nam go pan da. Byłem jednak w stanie silnego napięcia i zabrałem się to tego w niewłaściwy sposób. Bardzo silnego napięcia. To jedyne, co mnie tłumaczy.

— No więc — odparł Don — jak się nad tym zastanowić, ze mną było tak samo. Zapomnijmy o tym — zwrócił się w stronę gospodarza. — Sir Isaac, czy mogę? — sięgnął ku chwytnym mackom smoka, wyciągając dłoń. Pierścionek upadł na nią. Chłopiec odwrócił się i wręczył go Phippsowi.

Ten gapił się na niego głupio przez krótką chwilę. Gdy podniósł wzrok, Don, ku swemu zdziwieniu, ujrzał, że oczy mężczyzny pełne są łez. — Nie będę panu dziękował — powiedział Phipps — ponieważ, gdy zobaczy pan, co z tego wyniknie, będzie to dla pana oznaczało więcej niż czyjekolwiek podziękowania. To, co jest w tym pierścionku, zadecyduje o życiu i śmierci bardzo wielu ludzi. Przekona się pan.

Don zawstydził się widząc ten pokaz nagich uczuć.

— Wyobrażam sobie — powiedział szorstkim tonem. — Pan Costello powiedział mi, że to oznacza ochronę przed bombami i szybsze statki. Postawiłem na moje przecucia, że na dłuższą metę jesteście po tej samej stronie co ja. Mam tylko nadzieję, że się nie pomyliłem.

— Pomylił się pan? Nie, w żadnym wypadku i to nie tylko na dłuższą metę, jak pan powiedział, ale w tej chwili! Teraz, kiedy mamy to — podniósł w górę pierścionek — istnieje realna szansa na uratowanie naszych na Marsie.

— Na Marsie? — powtórzył Don. — Hej, chwileczkę. O co chodzi z tym Marsem? Kogo mamy ratować? I przed czym?

Phipps miał równie zdziwioną minę.

— Hej? Czy nie to przekonało pana do oddania pierścionka?

— Co miało mnie przekonać?

— Czy Jim Costello nie... Nie, myślałem, że ty musiałeś...

— Panowie, najwyraźniej wszyscy założyli, że... — przerwał im generator sir Isaaca.

— Cicho! — krzyknął Don. Gdy Phipps ponownie otworzył usta, chłopiec dodał pośpiesznie. — Wygląda na to, że znowu wszystko się pomieszało. Czy ktoś — tylko jedna osoba — mógłby mi powiedzieć, o co chodzi?

Costello mógł to zrobić i zrobił. Organizacja od wielu lat rozwijała po cichu ośrodek badawczy na Marsie. Było to jedyne miejsce w układzie, gdzie większość ludzi stanowili uczeni. Federacja utrzymywała tam jedynie wysunięty posterunek z kadrową obsadą. Uważano, że Mars nie ma wielkiego znaczenia. Była to planeta, na której nieszkodliwi długowłosi mogli grzebać w ruinach i badać zwyczajne starożytnego, wymierającego gatunku.

Oficerowie bezpieczeństwa IBI poświęcali Marsowi niewiele uwagi. Wydawało się, że nie ma takiej potrzeby. Gdy od czasu do czasu zjawiał się tam agent, można go było wodzić za nos, pokazując mu badania pozbawione znaczenia militarne.

Grupa działająca na Marsie nie miała dostępu do potężnych urządzeń znajdujących się na Ziemi — gigantycznych maszyn cybernetycznych, nieograniczonych źródeł energii atomowej, superpotężnych akceleratorów cząstek i olbrzymich laboratoriów — miała jednak swobodę. Teoretyczne podstawy przełomu w fizyce wypracowano na Marsie pod wpływem pewnych tajemniczych zapisków z czasów Pierwszego Imperium — tej niemal mitycznej, dawnej epoki, gdy układ słoneczny był politycznie zjednoczony. Donowi zrobiło się przyjemnie, gdy usłyszał, że badania jego rodziców, odegrały wielką rolę w tej fazie rozwiązywania problemu. Wiedzano — a przynajmniej tak wydawały się twierdzić starożytne marsjańskie zapiski — że statki Pierwszego Imperium pokonywały dystans między planetami nie w ciągu długich miesięcy czy nawet tygodni, lecz dni.

Istniały obszerne opisy tych statków oraz ich napędu, jednakże różnice językowe, pojęciowe i techniczne stwarzały przeszkody wystarczające do doprowadzenia semantyków porównawczych do załamania nerwowego. W gruncie rzeczy naprawdę do tego doszło. Poetycki traktat na temat współczesnej elektroniki napisany w sanskrycie przez autora, który połowę pojęć uważał za oczywiste, byłby w porównaniu z tym czymś zupełnie jasnym.

Dokonanie w pełni zrozumiałego przekładu starożytnych zapisków było po prostu niemożliwe. Brakujące elementy można było odtworzyć jedynie za pomocą geniuszu i potu.

Gdy prace teoretyczne posunęły się już tak daleko, jak to było możliwe, problem przekazano na Ziemię za pośrednictwem członków Organizacji celem dokonania potajemnych testów oraz przekształcenia teorii we współczesną sztukę inżynierską. Z początku między planetami istniał stały przepływ informacji, lecz, w miarę jak utajniano sprawę coraz bardziej, członkowie Organizacji byli coraz mniej skłonni do podróży w obawie, że to, co wiedzą, może trafić w ręce wroga. Gdy doszło do kryzysu na Wenus, już od kilku lat było normą, że informacje o istotnym znaczeniu wysyłano za pośrednictwem kurierów, którzy nic nie wiedzieli i wskutek tego nie mogli nic powiedzieć — takich, jak Don — lub też nieziemców, którzy byli fizycznie odporni na metody przesłuchiwanie stosowane przez policję bezpieczeństwa. Pomysł poddania wenusjańskiego smoka „trzeciemu stopniowi” był nie tylko niepraktyczny, lecz wręcz śmieszny. Marsjanie również byli bezpieczni przed policją myśli — z odmiennych, lecz równie oczywistych powodów.

Samego Dona wybrano w ostatniej chwili, jako „wyjątkową okazję”, gdyż kryzys wenusjański przyspieszył rozwój sytuacji. Nikt nie wiedział, jak bardzo go przyspieszył, dopóki komandor Higgins nie dokonał swego spektakularnego ataku na Circum-Terra. Dane inżynieryjne, których tak bardzo potrzebowano na Marsie, trafiły na Wenus, gdzie zaginęły (ta ich połowa, którą przewoził Don) w zamieszaniu wywołanym rebelią i kontratakiem. Zbuntowani koloniści, dążący do tego samego celu, co Organizacja, przeszkodzili nieświadomie swej największej szansie na obalenie Federacji.

Łączność między członkami Organizacji na Wenus, Ziemi i Marsie nawiązano ponownie — w sposób niebezpieczny i niedoskonały — tuż pod nosem federacyjnej policji. Wśród członków Organizacji na wszystkich trzech planetach byli pracownicy IT&T — tacy jak Costello, któremu umożliwiono ucieczkę, razem z Isobel, ponieważ wiedział zbyt wiele i Organizacja nie mogła sobie pozwolić na to, by poddano go przesłuchaniu. Niemniej na Wyspie Gubernatora założono nową „skrzynkę kontaktową” w osobie sierżanta technicznego służb łącznościowych Federacji. Łącznikiem z sierżantem był smok, który zawarł kontrakt na wywózkę śmieci z bazy „Zielonych”. Smok nie miał generatora głosu, a sierżant nie znał mowy gwizdów, lecz macka może przekazać kartkę do ludzkiej ręki.

Łączność, choć utrudniona i niebezpieczna, była możliwa, lecz podróż między planetami była teraz dla członków Organizacji całkowicie wykluczona. Jedynym połączeniem pasażerskim, które uruchomiono na nowo, była linia Ziemia-Księżyc. Grupa znajdująca się na Wenus usiłowała dokonać czegoś niemal niemożliwego — ukończyć projekt, do którego wszystkie prace wstępne przeprowadzono na Marsie. Zadanie nie było absolutnie nie do zrealizowania. Zakładając, że zdołają odnaleźć brakującą połowę przekazu, mogli jeszcze wyekwipować statek, wysłać go na Marsa i tam ostatecznie zakończyć sprawę.

Mieli nadzieję... która nie opuszczała ich aż do ostatniej chwili, gdy z Ziemi dotarły wieści o katastrofie. Dokonano tam infiltracji Organizacji. Jeden z jej najwyższych rangą członków, który wiedział o wiele za dużo, został aresztowany i nie zdążył na czas popełnić samobójstwa.

Wskutek tego oddział specjalny statków Federacji wyruszył już w drogę, by dokonać ataku na grupę znajdującą się na Marsie.

* * *

— Chwileczkę! — przerwał Don. — Myślałem, że... panie Costello, czy nie powiedział mi pan jeszcze w Nowym Londynie, że Federacja zajęła już Marsa?

— Niezupełnie. Powiedziałem panu, że doszedłem do wniosku, iż Federacja przejęła kontrolę nad Stacją Schiaparelli — marsjańską filią IT&T. Cenzurują wszystkie przekazy i wstrzymali wszelką łączność z Wenus. Do tego jednak wystarczyłaby drużyna żołnierzy z tego kieszonkowego garnizonu, który zawsze tam utrzymywali. To jednak jest walny atak. Zamierzają zlikwidować Organizację.

Zlikwidować Organizację... Don przetłumaczył te łamiące język wyrazy na zwyczajne słowa: zabić wszystkich, którzy byli przeciw nim. To oznaczało też jego rodziców...

Potrząsnął głową, w nadziei, że mu się w niej rozjaśni. Ta myśl w głębi duszy nie znaczyła dla niego nic. Upłynęło zbyt wiele lat. Nie potrafił ujrzeć w myślach ich twarzy, ani też wyobrazić ich sobie martwymi. Zastanowił się, czy on sam nie stał się wewnątrz martwy. Niezdolny do uczuć. Nieważne — jakoś trzeba było temu zaradzić.

— Co mamy zrobić? Jak możemy ich powstrzymać?

— Przestańmy marnować czas! — odrzekł Phipps. — Straciliśmy już pół dnia. Sir Isaac?

— Tak, mój przyjacielu. Śpieszmy się.

Pomieszczenie stanowiło laboratorium, lecz o smoczych proporcjach. Było to konieczne, gdyż znajdował się w nim równy tuzin smoków, a również około pięćdziesięciu mężczyzn i niewielka liczba kobiet. Każdy, kto mógł dotrzeć na miejsce, chciał być świadkiem otwarcia pierścionka. Był tam nawet Malath da

Thon, który siedział w swej komórce wsparty na napędzanym gorsecie. Kolory wyrażające emocje przebiegały łagodnie przez jego kruche ciało.

Don i Isobel wdrapali się na szczyt rampy wejściowej, skąd mogli wszystko widzieć, nie przeszkadzając nikomu. Naprzeciw nich znajdował się wielki stereozbiornik. Był włączony, lecz nie wytworzył się w nim jeszcze żaden obraz. Pod nimi znajdował się mikromanipulator w smoczym stylu. Resztę pomieszczenia wypełniały inne aparaty oraz narzędzia z napędem mechanicznym. Wydawały się one Donowi dziwne nie dlatego, że były smocznej konstrukcji i przeznaczone do smoczego użytku, gdyż w wielu przypadkach tak nie było, lecz dlatego, że sprzęt laboratoryjny zawsze wygląda niezwykle dla oczu laika. Był przyzwyczajony do przedmiotów wyprodukowanych przez smoki. Obie techniki — ludzka i smocza — przeniknęły się nawzajem w stopniu wystarczającym, by człowiek, zwłaszcza mieszkający na Wenus, nie widział nic dziwnego w złączach, które ściśnięto, zamiast je zespawać czy znitować, nic nadzwyczajnego w sczepionych ze sobą bryłach o kształcie jaja tam, gdzie człowiek użyłby śrub.

Sir Isaac stał przy mikromanipulatorze z w itkami na urządzeniach sterujących. Wokół jego głowy umocowano ramę z ośmioma okularami. Dotknął zębátky kontrolnej. W zbiorniku zamigotało i pojawił się w nim obraz — pierścionek w pełni barw i w trzech wymiarach. Wyglądał jakby miał jakieś osiem stóp średnicy. Jego wypukłość skierowana była ku przodowi, odsłaniając wyżłobiony w niej, wypełniony emalią inicjał — dużą literę H obramowaną pojedynczym kręgiem z białej emalii.

Obraz zamigotał i uległ zmianie. Widoczny był teraz jedynie fragment inicjału, powiększony tak bardzo, że emalia wtarta w płytkie wyżłobienia litery wyglądała jak porozbijane kamienie brukowe. Przez obraz przemknął przypominający cień, zaostzony cylinder, słabo widoczny, poza samym jego końcem, na którym uformowała się wielka, lśniąca jak olej kula. Odłączyła się ona od walca i spoczęła na emalii. „Kamienie brukowe” zaczęły rozpadać się na kawałki.

Montgomery Phipps wdrapał się na rampę, ujrzał Dona i Isobel i usiadł na krawędzi obok nich. Najwyraźniej chciał im okazać sympatię.

— To będzie coś, o czym będziecie mogli opowiadać wnukom — zauważył. — Stary sir Ike przy pracy. Najlepszy przy pracy. Najlepszy mikrotechnik w układzie. Prawie że potrafi wybrać pojedynczą cząsteczkę i kazać jej tańczyć tak, jak jej zagra.

— To mnie raczej dziwi — przyznał Don. — Nie wiedziałem, że sir Isaac jest technikiem laboratoryjnym.

— Jest też czymś więcej. Wielkim fizykiem. Czy nie uderzyło pana znaczenie jego prawdziwego imienia?

Don poczuł się głupio. Wiedział w jaki sposób smoki wybierają sobie artykułowane imiona, zawsze jednak uważał je za coś oczywistego, tak samo jak swe własne wenusjańskie imię.

— Całe jego plemię ma tendencje naukowe — ciągnął Phipps. — Jeden z wnuków nazywał się „Galileo Galilei”. Czy go pan poznał? Jest też „doktor Einstein” i „madame Curie”, a także chemiczka całkująca, która — Jajko jedno wie dlaczego! — używa imienia „Mały Jaskier”. To jednak stary sir Ike jest szefem. Głównym mózgiem. Odbył podróż na Ziemię, by pomóc w rozwikłaniu niektórych elementów tego projektu. O tym jednak pan wiedział, prawda?

Donald przyznał, że nie wiedział, po co sir Isaac wybrał się na Ziemię.

— Panie Phipps — wtrąciła się Isobel — jeśli sir Isaac pracował nad tym na Ziemi, to dlaczego nie wie, co się znajduje w pierścionku zanim go nie otworzy?

— No więc i wie, i nie wie. Jego prace miały charakter teoretyczny, a to, co znajdziemy — chyba że przeżyjemy straszliwe rozczarowanie — będzie szczegółową instrukcją inżynierską opracowaną z myślą o ludzkich narzędziach i technikach. To coś zupełnie innego.

Don zastanowił się nad tym. W jego umyśle „inżynieria” i „nauka” były mniej więcej tym samym. Brak mu było wykształcenia niezbędnego, by zdać sobie sprawę z ogromu różnicy. Zmienił temat.

— Pan również pracuje w laboratorium, panie Phipps?

— Ja? Na Boga, nie! Mam dwie lewe ręce. Moja specjalność to dynamika historii. Dawniej teoretyczna, teraz stosowana. No więc, ta dziura jest sucha — oczy miał skierowane na zbiornik. Rozpuszczalnik nalewany, jak się zdawało, beczkami, wypłukał emalię z wyżłobienia określającego granicę tej części litery H. Widoczne było dno wyżłobienia — nagie, bursztynowe i przezroczyste. Phipps wstał.

— Nie mogę usiedzieć. Jestem zbyt podenerwowany. Wybaczcie mi, proszę.

— Jasna sprawa.

W górę rampy gramolił się ciężko jakiś smok. Zatrzymał się przy nich w tej samej chwili, gdy Phipps się odwrócił.

— Jak leci, panie Phipps? Czy mogę tu zaparkować?

— Proszę bardzo. Zna pan tych ludzi?

— Panią spotkałem.

Don pozwolił się przedstawić, podając obie wersje swego imienia i otrzymując w zamian należące do smoka — Odświeżający Deszcz i Josephus. (Mów mi po prostu „Joe”). Joe był — nie licząc sir Isaaca — pierwszym spotkanym przez Dona w tym miejscu smokiem, który posiadał generator głosu i potrafił się nim posługiwać. Don spoglądał na niego z zainteresowaniem. Jedno było pewne: Joe nauczył się angielskiego od jakiegoś innego nauczyciela niż bezimienny Cockney, który uczył sir Isaaca. Don był pewien, że był to Teksańczyk.

— To dla mnie zaszczyt przebywać w twoim domu — powiedział Don.

Smok usadowił się wygodnie, tak że jego broda znalazła się na wysokości ich barków.

— Nie w moim. Te snoby nie wpuściłyby mnie tu, gdyby nie to, że jest do wykonania robota, z którą mogę sobie poradzić odrobinę lepiej niż jakiś inny hombre. Ja tu tylko pracuję.

— Och — Don chciał bronić sir Isaaca przed zarzutem snobizmu, lecz wtrącanie się w spór pomiędzy smokami nie wydawało się rozsądne. Spojrzał z powrotem na zbiornik. Obraz przesunął się na krąg emalii otaczający literę H. W zbiorniku pojawił się jego wycinek — jakieś piętnaście czy dwadzieścia stopni. Powiększenie zaczęło ogromnie wzrastać, aż cały wielki obraz wypełnił jeden maleńki fragment. Po raz kolejny rozpuszczalnik spłynął na emalię, wypłukując ją.

— Teraz może do czegoś dojdziemy — skomentował Joe.

Emalia rozpuszczała się jak śnieg w wiosennym deszczu, zamiast jednak nagiego podłoża wyłoniło się coś ciemnego, co wyglądało jak wiązka stalowych rur upchniętych w płytkim wydrążeniu.

Zapanowała martwa cisza. Po chwili ktoś krzyknął z radości. Don zauważył, że wstrzymuje oddech.

— Co to jest? — zapytał Joego.

— Drut. A czego się spodziewałeś?

Sir Isaac wzmocnił powiększenie i przeniósł obraz do innego sektora. Powoli, tak ostrożnie, jak matka kąpiąca swe pierwsze dziecko, zmył emalię pokrywającą górną warstwę zwiniętego drutu. Po chwili mikroskopijne kleszcze sięgnęły po niego, pomacały wokół z największą delikatnością i uchwyciły jeden koniec.

Joe dźwignął się na nogi.

— Pora brać się do roboty — oznajmił za pośrednictwem generatora. — Kolej na mnie.

Zszedł powoli z rampy. Don zauważył, że smok regeneruje właśnie środkową nogę z prawej burty. Proces nie był jeszcze zakończony, co sprawiało, że Wenusjanin poruszał się przechylony na jedną stronę.

Powoli i delikatnie drut oczyszczono i rozwinięto. Ponad godzinę później maleńkie uchwyty mikromanipulatora rozwinęły swe trofeum — cztery stopy stalowego drutu tak cienkiego, że dostrzeżenie go gołym okiem było całkowicie niemożliwe, nawet dla smoka.

Sir Isaac wyjął głowę z ramy.

— Czy drut Malatha gotowy? — zapytał.

— Wszystko na miejscu.

— Bardzo dobrze, przyjaciele. Przystąpmy do dzieła. Wprowadzono metalowe nici do dwóch zwykłych mikrodrutowych głośników, połączonych ze sobą równolegle. Za tablicą rozdzielczą synchronizującą podzieloną na fragmenty wiadomość ukrytą w obu drutach siedział mężczyzna o zmartwionym wyrazie twarzy ze słuchawkami na uszach — pan Costello. Stalowe pajęczyny zaczęły przesuwac się bardzo powoli i z głośnika dobiegł wysoki, pozbawiony sensu dźwięk. Bardzo

szybko jedna za drugą następowały w nim krótkotrwałe przerwy, jak w kodzie o wielkiej częstotliwości.

— Nie zsynchronizowane — oznajmił pan Costello. — Trzeba przewinać.

— Nie chciałbym tego robić, Jim — odparł siedzący przed nim operator. — Te druty mogłyby się zerwać nawet pod wpływem oddechu.

— Najwyżej przerwiesz drut. Sir Isaac go splecie. Przewiń!

— Może włożyłeś jeden z nich od tyłu.

— Zamknij się i przewijaj.

Po chwili bezsensowny dźwięk rozległ się po raz drugi. Donowi wydawało się, że brzmi on tak samo jak poprzednio i jest równie pozbawiony znaczenia, lecz pan Costello skinął głową.

— To jest to. Czy nagrało się od początku?

Don usłyszał teksański akcent Joego.

— Mam to!

— Dobra, niech się nagrywa. Zaczynaj odtwarzać. Spróbuj zwolnić zsynchronizowane nagranie dwudziestokrotnie.

Costello nacisnął przełącznik i bezsensowny dźwięk ucichł, choć maszyny nadal przewijały niewidoczne nitki. Po chwili z głośnika dobiegł ludzki głos. Był on niski, stłumiony, rozwlekły i niemal niezrozumiały. Joe zatrzymał urządzenie, by dokonać poprawek, po czym zaczął jeszcze raz. Gdy głos zabrzmiał ponownie, był to wyraźny, miły kontralt o nadzwyczaj starannej wymowie.

— **Tytuł** — zaczął głos. — „**Niektóre uwagi na temat praktycznych zastosowań równań Horsta-Milnego. Spis treści: Część pierwsza. — O budowie generatorów umożliwiających wolne od odkształceń przekształcenie molarne. Część druga — Generacja nieciągłości czasoprzestrzennych — zamkniętych, otwartych i sfaldowanych. Część trzecia. — O generacji tymczasowych miejsc geometrycznych pseudoprzyśpieszenia. Część pierwsza, rozdział pierwszy — Kryteria projektowe dla prostego generatora oraz systemu kontrolnego. W odniesieniu do równania numer siedemnaście w dodatku A widoczne jest, że...**

Głos nie przestawał mówić, jak gdyby obce mu było zmęczenie. Dona bardzo to interesowało, nic jednak nie rozumiał. Zaczął się już robić śpiący, gdy głos nagle oznajmił.

— **Faksymile! Faksymile! Faksymile!**

Costello nacisnął przełącznik, zatrzymując przekaz i zapytał.

— Kamery przygotowane?

— Już się kręca!

— Start!

Obserwowali, jak pojawia się obraz — schemat montażowy, doszedł do wniosku Don, chyba że był to talerz spaghetti, Gdy obraz był już kompletny, głos wznowił wykład.

Po ponad dwóch godzinach słuchania przerywanego jedynie dorywczą konwersacją, Don zwrócił się w stronę Isobel.

— Nie ma tu ze mnie żadnego pożytku, a już z pewnością niczego się nie nauczyłem. Co powiesz na to, żebyśmy wyszli?

— Pasuje.

Zeszli z rampy i skierowali się w stronę tunelu prowadzącego do pomieszczeń mieszkalnych. Po drodze wpadli na Phippsa. Jego twarz promieniała szczęściem. Don skinął do niego głową i chciał go wyminąć, lecz mężczyzna go zatrzymał.

— Właśnie miałem zamiar pana odszukać.

— Mnie?

— Tak. Sądziłem, że będzie pan chciał to mieć na pamiątkę — wręczył mu pierścionek.

Don wziął go i przyjrzał mu się ciekawie. Na jednej z odnóg litery H widoczna była mała rysa w miejscu, gdzie emalia uległa wypłukaniu. Otaczający ją krąg stał się pustym, słabo zarysowanym wydrążeniem, tak wąskim i płytkim, że Don jedynie z trudem mógł wcisnąć do niego paznokiec.

— Już się wam nie przyda?

— Wycisnęliśmy z niego wszystko. Proszę go sobie zatrzymać. Będzie pan mógł kiedyś sprzedać go do muzeum za wysoką cenę.

— Nie — odparł Don. — Myślę, że oddam go ojcu.

Przestawić zegar

Don przeniósł się z gigantycznych komnat, które mu przydzielono, do pomieszczeń zajmowanych przez pozostałych ludzi. Sir Isaac pozwoliłby mu zostać tam dopóki Słońce nie wystygnie i okupować w pojedynkę około akra przestrzeni mieszkalnej, jednakże Don nie tylko uważał, że byłoby głupio, by jedna osoba zajmowała pomieszczenie wybudowane dla smoka, lecz również nie czuł się tam dobrze. Tak wiele wolnej przestrzeni budziło niepokój w człowieku przyzwyczajonym do walki partyzanckiej.

Ludscy goście zajmowali jeden smoczy apartament. Wielkie sale podzielono na małe pokoiki. Wszyscy używali do kąpieli tamtejszej niecki do tarzania. Mieli też wspólną jadalnię. Don dzielił pokój z doktorem Rogerem Conradem — wysokim, kudłatym młodym mężczyzną z nieodłącznym uśmiechem na twarzy. Był nieco zaskoczony, gdy się dowiedział, że Conrad cieszy się wysokim uznaniem pozostałych uczonych.

Rzadko widywał swego współlokatora, podobnie jak pozostałych. Nawet Isabel zajęta była papierową robotą. Ekipa pracowała dzień i noc z wielką intensywnością. Co prawda pierścionek otwarto, co dało im niezbędne dane inżynierskie, ale oddział specjalny był już w drodze na Marsa. Nikt nie wiedział — nikt nie mógł wiedzieć — czy zdążą na czas, by ocalić swych kolegów.

Pewnego razu, późno w nocy, gdy miał zamiar się położyć, Conrad spróbował wyjaśnić to Donowi.

— Brak nam tu odpowiednich urządzeń. Instrukcje zredagowano z myślą o technice ziemskiej i marsjańskiej. Smoki robią wszystko inaczej. Mamy diabelnie mało własnego sprzętu, a trudno jest przystosować ich sprzęt do naszych potrzeb. Pierwotnym zamiarem było zainstalowanie urządzenia w... znasz te małe statki pionowego startu, którymi ludzie poruszają się na Marsie?

— Widziałem je na obrazku.

— Ja też ich nie widziałem na własne oczy. Rzecz jasna, żadne z nich rakiety, są jednak hermetyczne i wystarczająco duże. Teraz musimy się przestawić na wahadłowiec.

Ponadstratosferyczny wahadłowiec „z przeciętymi uszami” — to jest odłączonymi wyciąganymi skrzydłami do szybowania — czekał na zamaskowanym

bagnistym odgałęzieniu rzeki na zewnątrz siedziby rodziny sir Isaaca. Miał odbyć podróż na Marsa, jeśli uda się go przygotować.

— To niełatwa sprawa — dodał Conrad.

— Czy możemy tego dokonać?

— Musimy. Nie ma możliwości, byśmy ponownie przeprowadzili obliczenia wchodzące w skład projektu. Brak nam do tego maszyn, nawet gdybyśmy mieli czas potrzebny do ponownego zaprojektowania statku — którego nie mamy.

— O to mi chodziło. Czy zdążycie na czas?

Conrad westchnął.

— Sam chciałbym wiedzieć.

Upływający czas przyginał ich wielkim ciężarem. W jadalni rozwiesili mapę przedstawiającą Ziemię, Słońce, Wenus i Marsa — wszystkie w odpowiednich pozycjach. Każdego dnia podczas obiadu znaczniki przesuwano po narysowanych lekko orbitach — Ziemię o jeden stopień, Wenus nieco więcej, a Marsa o tylko trochę ponad pół stopnia.

Długa, zakrzywiona kropkowana linia prowadziła z punktu na orbicie Ziemi do miejsca spotkania z Marsem — było to najlepsze opracowane przez nich przybliżenie trasy oraz daty przybycia oddziału specjalnego Federacji. Jediną pewną daną była data odlotu. Trajektoria oraz moment przybycia były wyliczone na podstawie wzajemnego położenia obu planet oraz tego, co uważali za maksymalne możliwości jakiegokolwiek statku Federacji, przy założeniu, że uzupełnił on paliwo na orbicie parkingowej wokół Ziemi.

Dla rakiety pewne orbity są możliwe, inne zaś nie. Statek wojskowy, któremu się śpieszy, nie korzysta rzecz jasna z oszczędnej, podwójnie stycznej elipsy. Tego rodzaju podróż z Ziemi na Marsa wymaga 258 ziemskich dni. Nawet jednak przy locie po hiperboli i marnotrawnym zużyciu paliwa istnieją surowe ograniczenia szybkości z jaką statek napędzany zasadą odrzutu może odbyć podróż międzyplanetarną.

Z boku mapy wisiał ziemski kalendarz, a przy nim zegar wskazujący ziemski czas Greenwich. Obok nich wywieszono cyfrę, zmienianą za każdym razem, gdy zegar wskazywał dwudziestą czwartą. Wskazywała ona liczbę dni do dnia zero. Według ich obliczeń zostało ich tylko trzydzieści dziewięć.

* * *

Don znalazł się w rajach frontowego żołnierza — gorące jedzenie podawane zawsze na czas, dobrze przyrządzone i w dużych ilościach, możliwość wylegiwania się ile tylko mógł, czyste ubranie, czyste ciało, żadnych obowiązków i niebezpieczeństw. Jedinym problemem był fakt, że wkrótce miał tego po dziurki w nosie.

Gorączkowa aktywność trwająca wokół niego napelniała go wstydem. Pragnął w czymś pomóc — i próbował to zrobić — dopóki się nie połapał, że wynajdowano dla niego zajęcia po to tylko, by się odzepił. W rzeczywistości nie mógł im pomóc w niczym. Spoceni specjaliści starający się ze wszystkich sił zmontować nieprawdopodobne obwody w taki sposób, by działały, nie mogli marnować czasu na niewyszkolonego pomocnika. Dał sobie spokój i wrócił do objawiania się. Stwierdził, że owszem, może spać po południu, ale potem nie jest w stanie zasnąć w nocy.

Zastanawiał się na tym, czemu tak przyjemny urlop nie sprawia mu radości. Nie chodziło przecież o to, że niepokoił się o rodziców...

Tak jest, o to! Choć ich wspomnienie wyblakło, sumienie gryzło go z powodu tego, że nie robi nic, by im pomóc. Dlatego właśnie pragnął się stąd wydostać, uciec z miejsca, gdzie nie mógł robić nic pożytecznego i wrócić do swej jednostki, do żołnierskiej roboty, w której pomiędzy potyczkami nie było powodów do zmartwień — a kiedy już do starcia doszło, było ich pod dostatkiem. Kiedy wokół ciebie jest czerni, po prawej słyszysz oddech kolegi i to samo po lewej, gdy poruszasz się naprzód powoli, usiłując odgadnąć, jakie paskudne numery wykombinowali tym razem technicy Zielonych, by strzec swego snu... a potem szybki atak i torowanie sobie drogi z powrotem do łodzi, gdy jedynym przewodnikiem przez ciemność jest echosonda, którą nosisz we własnej głowie...

Chciał tam wrócić.

Udał się do Phippsa, by porozmawiać z nim na ten temat. Znalazł go w jego gabinecie.

— To pan, he? Chce pan papierosa?

— Dziękuję, nie.

— To prawdziwy tytoń, nie wasze „szalone zielsko”.

— Dziękuję, nie używam ich.

— No, może to i racja. Ten ranny posmak w moich ustach... — Phipps zapalił sobie papierosa i usiadł na krześle, czekając.

— Niech pan posłucha — powiedział Don. — Pan jest tu szefem.

Phipps wypuścił dym, po czym odpowiedział ostrożnie.

— Powiedzmy, że jestem koordynatorem. Z pewnością nie próbuję kierować pracami technicznymi.

Don ominął tę kwestię.

— Dla mnie jest pan szefem. Proszę posłuchać, panie Phipps. Czuję się tu bezużyteczny. Czy może pan załatwić, bym wrócił do jednostki?

Phipps z uwagą wypuścił kółko dymu.

— Przykro mi, że tak to pan odbiera. Mógłbym dać panu coś do roboty, na przykład zrobić pana pomocnikiem.

Don potrząsnął głową.

— Dość już mam tego: „pozbić te drążki i poukładać równo”. Chcę mieć prawdziwą pracę, odpowiednią dla mnie. Jestem żołnierzem. Trwa wojna i tam jest moje miejsce. No więc, kiedy mogę dostać transport?

— Nie może pan.

— Hę?

— Panie Harvey, nie mogę stąd pana zwolnić. Za dużo pan wie. Gdyby oddał pan pierścionek nie zadając pytań, mógłby pan już za godzinę wracać do jednostki, ale pan musiał wiedzieć, wiedzieć wszystko. Teraz nie możemy narazić się na ryzyko, że dostanie się pan do niewoli. Wie pan, że Zieloni poddają każdego więźnia pełnemu przesłuchaniu. Nie możemy do tego dopuścić. Jeszcze nie.

— Ale... niech to diabli, proszę pana. Nigdy nie dam się złapać! Już dawno podjąłem taką decyzję.

Phipps wzruszył ramionami.

— Jeśli da się pan zabić, to wszystko w porządku. Nie możemy jednak być tego pewni bez względu na to, jak bardzo jest pan zdeterminowany. Nie podejmujemy takiego ryzyka. Stawka jest zbyt wielka.

— Nie może mnie pan tu zatrzymać! Nie jest pan moim zwierzchnikiem!

— Nie jestem. Niemniej nie może pan stąd wyjechać.

Don otworzył usta, zamknął je i wyszedł z gabinetu.

* * *

Następnego ranka obudził się z mocnym postanowieniem, że coś w tej sprawie uczyni. Jednakże doktor Conrad wstał przed nim i, zanim wyszedł, zatrzymał się, by złożyć mu propozycję.

— Don?

— Słucham, Róg?

— Jeśli zdołasz się wygrzebać z pościeli, to może przyszedłbyś rano do laboratorium napędowego. Będzie tam na co popatrzeć. Tak sądzę.

— Hę? Co? O której?

— No, powiedzmy o dziewiątej.

Don stawiał się wraz z, jak się zdawało, wszystkimi mieszkającymi tam ludźmi oraz mniej więcej połową licznej rodziny sir Isaaca. Pokazem kierował Roger Conrad. Był zajęty za kontrolną konsolą, która nic nie mówiła niewtajemniczonymu obserwatorowi. Wyregulował co trzeba, po czym podniósł wzrok i powiedział.

— Nie spuszczaćcie oczu z naszego ptaszka, moi drodzy. Tuż nad tym stołem... — nacisnął klawisz.

Nad stołem rozbłysła nagle zawieszona w powietrzu bez żadnego wsparcia srebrzysta kula o średnicy około dwóch stóp. Wydawało się, że ma ona kształt idealnie sferyczny i doskonale odbija światło. Bardziej niż cokolwiek innego przypominała Donowi ozdobę na choinkę. Conrad uśmiechnął się z triumfem.

— Dobra, Tony. Walnij w nią toporem!

Tony Vincente, najbardziej umięśniony z pracowników laboratorium, podniósł topór o szerokim ostrzu, który miał pod ręką.

— Jak mam ją przeciąć, z góry na dół czy z boku na bok?

— Jak sobie życzysz.

Vincente zamachnął się toporem nad głową i opuścił go z całej siły.

Ostrze odbiło się od kuli.

Ta nawet nie zadrżała. Na jej doskonale lustrzanej powierzchni nie pojawiła się też żadna rysa. Chłopięcy uśmiezek Conrada stał się jeszcze szerszy.

— Koniec aktu pierwszego — oznajmił i nacisnął kolejny przycisk. Sfera zniknęła, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

Conrad nachylił się nad urządzeniami sterującymi.

Akt drugi — ogłosił. — Teraz usuniemy połowę miejsca geometrycznego. Nie zbliżajcie się do stołu — po chwili spojrział w górę. — Gotowi! Cel! Pal!

Pojawił się kolejny kształt, doskonale sferyczny podobnie jak poprzedni. Jego zakrzywiona powierzchnia zewnętrzna skierowana była w górę.

— Przygotuj rekwizyty, Tony.

— Sekundkę, zapalę papierosa.

Tony zrobił to, zaciągnął się z zapalem, po czym umieścił papierosa w popielniczce i wsunął ją pod półkulę. Conrad ponownie dotknął urządzeń sterujących. Kształt opadł w dół i spoczął na stole zakrywając papieros płonący w popielniczce.

— Czy ktoś chce wypróbować na tym topór albo coś innego? — zapytał Conrad.

Nikt nie miał ochoty na machinacje z nieznanym. Conrad ponownie dotknął tablicy rozdzielczej i srebrzysta czasza uniosła się w górę. Papieros nadal tlił się w popielniczce, jak gdyby nigdy nic.

— Jak — zapytał — by się wam podobało, gdybyśmy umieścili taką czapę nad stolicą Federacji na Bermudach i pozostawili ją tam dopóki nie zdecydują się pójść po rozum do głowy?

Ten pomysł, co oczywiste, spotkał się jednomyślną aprobatą. Wszyscy, lub prawie wszyscy, obecni tam członkowie Organizacji byli obywatelami Wenus i bez względu na to, co innego robili, byli emocjonalnie zaangażowani w rebelię. Phipps przebił się przez podekscytowane komentarze z pytaniem.

— Doktorze Conrad, czy zechciałby pan udzielić nam przystępnego wyjaśnienia tego, co zobaczyliśmy? To znaczy, niech pan wytłumaczy, jak to się dzieje. Wszyscy możemy pojąć olbrzymie możliwości, jakie z tego płyną.

Twarz Conrada przybrała bardzo poważny wyraz.

— Hmm... szefie, może najlepiej byłoby powiedzieć, że kształtki modułują śmieciuszek w takim stosunku fazowym, że trójpaskudek musi się zbękać... albo, żeby to wyrazić inaczej, ktoś wypuścił myszy w umywalni. Mówiąc poważnie, nie

da się tego wytłumaczyć w sposób popularny. Gdyby miał pan ochotę spędzić ze mną pięć pracowitych lat, przebijając się przez matematykę, mógłbym zapewne doprowadzić pana do tego samego poziomu ignorancji i kontuzji, który jest moim udziałem. Niektóre z użytych tu równań tensorowych są, żeby to powiedzieć łagodnie, jedyne w swoim rodzaju. Niemniej instrukcje były wystarczająco jasne i udało nam się to zrobić.

Phipps skinął głową.

— Dziękuję, jeśli to jest odpowiednie słowo. Zapytam sir Isaaca.

— Niech pan to robi. Chciałbym tego wysłuchać.

* * *

Mimo dowodu na to, że pracownicy laboratorium zdołali zmontować przynajmniej część sprzętu opisanego w przekazie nagrany na dwóch drutach, nerwy Dona nie dawały mu spokoju. Każdego dnia wywieszka w jadalni przypominała mu, że czasu jest coraz mniej i że on nic w tej sprawie nie robi. Nie myślał już o tym, jak sprawić, żeby wysłali go z powrotem do strefy działań wojennych, lecz zaczął czynić plany dostania się tam na własną rękę.

Widział mapy Wielkiego Morza Południowego i wiedział w przybliżeniu gdzie się znajduje. Na północy rozciągało się terytorium nie zamieszkane nawet przez smoki — lecz zamieszkane przez ich mięsożernych kuzynów. Uważano, że nie sposób się tamtędy przedostać. Droga na południe, naokoło dolnego brzegu morza, była znacznie dłuższa, lecz była to kraina smoków, aż do miejsca, do którego sięgały najdalej położone ludzkie farmy. Znając mowę gwizdów mógłby, jeśli weźmie ze sobą zapasy żywności wystarczające przynajmniej na tydzień, dotrzeć do jakiegoś osadnika, który wskazałby mu drogę do następnego. Co zaś do reszty miał nóż i rozum, a ponadto znał teraz bagna znacznie lepiej niż wtedy, gdy uciekał przed ludźmi Bankfielda.

Zaczął wnosić żywność z jadalni i chomikować ją w swym pokoju.

Jeszcze tylko jeden dzień i jedna noc dzieliły go od planowanej próby ucieczki, gdy wezwał go Phipps. Miał ochotę się nie zgłosić, doszedł jednak do wniosku, że mniej podejrzane będzie, gdy usłucha wezwania.

— Proszę usiąść — powiedział Phipps. — Papierosa? Nie, zapomniałem. Co pan ostatnio porabiał? Miał pan dużo zajęć?

— Za diabła nic do roboty!

— Przykro mi. Panie Harvey, czy zastanawiał się pan nad tym, jaki będziemy mieć świat, kiedy to wszystko się skończy?

— No więc, właściwie nie — myślał o tym, lecz jego wyobrażenia były zbyt mało konkretne, by miał ochotę je artykułować. Jeśli zaś chodziło o jego plany, to — jak sądził — któregoś dnia wojna się skończy i wtedy wykona swój bardzo opóźniony zamiar odszukania rodziców. No a potem, cóż...

— Jakiego świata by pan pragnął?

— He? No więc, nie wiem — Don zamyslił się. — Chyba nic jestem, jak to mówią, „zainteresowany polityką”. Nie obchodzi mnie specjalnie jak działa rząd, oprócz tego, że winien być, no, jakby luźny. Rozumie pan, człowiekowi powinno być wolno robić to, na co ma ochotę, i żeby nikt nim nie pomiatał.

Phipps skinął głową.

— Mamy ze sobą więcej wspólnego niż się panu może zdawało. Ja też nie jestem politycznym purystą. Każdy rząd, który zbyt się rozrasta i działa zbyt dobrze, przemienia się w plagę. Tak właśnie było z Federacją, która z początku była całkiem przyzwoita, a teraz trzeba ją przyciąć do znośnych rozmiarów, tak żeby obywatele uzyskali dla siebie trochę „luzu”.

— Może smoki mają rację — odparł Don. — Żadnej organizacji większej niż rodzina.

Phipps potrząsnął głową. — Co jest dobre dla smoków, nie jest dobre dla nas, a poza tym rodziny mogą być źródłem ucisku w równym stopniu, jak rząd. Niech pan spojrzy na tutejszych młodzików. Muszą odczekać z pięćset lat zanim będzie im wolno kichnąć bez pozwolenia. Pytałem pana o zdanie, ponieważ sam nie znam odpowiedzi, mimo że zajmowałem się dynamiką historii przez więcej lat niż żyje pan na tym świecie. Jedyne co wiem, to że wypuścimy na swobodę siły, których efektów nie potrafimy odgadnąć.

Don zrobił zdziwioną minę.

— Mamy już podróże kosmiczne. Nie sądzę, by uczynienie ich szybszymi miało wiele zmienić. Co zaś do tego drugiego ustrojstwa, to mam wrażenie, że to świetny pomysł — nakryć miasto osłoną chroniącą je przed bombami atomowymi.

— Zgadzam się. To jednak dopiero początek. Sporządziłem listę części zjawisk, do których — jak sądzę — dojdzie. Po pierwsze drastycznie nie docenia pan znaczenia przyśpieszenia transportu. Co zaś do innych możliwości, to jestem w kropce. Jestem już za stary i moja wyobraźnia wymaga odświeżenia. Na początek weźmy to: możemy być zdolni do przemieszczania wody, mnóstwa, znaczących ilości, stąd na Marsa — zmarszczył czoło. — Możemy nawet być w stanie przesunąć same planety.

Don podniósł nagle wzrok. Gdzieś już słyszał prawie identyczne słowa... lecz wspomnienie mu umknęło.

— No, ale to nieważne — ciągnął Phipps. — Chciałem tylko zapoznać się z młodszym, świeższym punktem widzenia. Może pan nad tym pomyśleć. Te chłopaki z laboratorium tego nie zrobią, to pewne. Ci fizycy — produkują cuda, lecz nigdy nie wiedzą, jakie dalsze cuda z nich wynikną — po krótkiej przerwie dodał. — Przesławiamy zegar, ale nie wiemy, która będzie godzina.

Gdy nie mówił już nic więcej, Don z ulgą uznał, że rozmowa jest skończona i zaczął się podnosić z krzesła.

— Nie, proszę nie odchodzić — powiedział Phipps. — Chodziło mi jeszcze o coś innego. Przygotowuje się pan do opuszczenia nas, prawda?

— Skąd panu to przyszło do głowy? — odparł, jękając się. Don.

— Mam rację. Pewnego ranka obudzilibyśmy się i znaleźli pańskie łóżko puste, a potem miałbym kupę kłopotów w chwili, gdy jesteśmy zbyt zajęci, by wysłać ludzi celem odnalezienia pana i sprowadzenia z powrotem.

Don odczuł ulgę.

— Conrad mnie sypnął — powiedział z goryczą.

— Conrad? Nie. Wątpię, by nasz dobry doktor potrafił zauważyć coś większego niż elektron. Proszę mi uwierzyć, że też mam swój rozum. Jestem specjalistą od ludzi. Co prawda z panem obszedłem się fatalnie, gdy pan tu przybył, mogę jednak powiedzieć na swoją obronę, że byłem zmęczony jak pies. Zmęczenie to łagodna forma szaleństwa. Rzecz w tym: pan chce nas opuścić, a ja nie mogę pana powstrzymać. Wystarczająco dobrze znam smoki, by wiedzieć, że sir Isaac nie pozwoli mi tego zrobić, jeśli będzie pan chciał odejść. Jest pan „jego” skubanym „jajkiem”! A jednak nie mogę na to pozwolić. Powody, które wymieniłem poprzednio, nie straciły na ważności. Tak więc, zamiast pozwolić panu odejść, będę musiał spróbować pana zabić.

Don pochylił się do przodu, opierając ciężar na nogach.

— Czy sądzi pan, że zdoła tego dokonać? — zapytał bardzo cicho.

Phipps uśmiechnął się.

— Nie. Nie sądzę. Dlatego właśnie musiałem wymyślić inny plan. Wie pan, że kompletujemy załogę statku. Czy chciałby się pan nim zabrać?

Mały Dawid

Don otworzył szeroko usta, które znieruchomiały w tej pozycji. Trzeba przyznać, że choć myślał o tym, nie był na tyle zarozumiały, by choćby przez chwilę poważnie uwierzyć, że pozwolą mu wziąć udział w podróży po to tylko, by zadośćuczynić jego osobistym życzeniom.

— Szczerze mówiąc — ciągnął Phipps — robię to po to, by się pana pozbyć, umieścić w miejscu, gdzie będzie pan bezpieczny przed inkwizytorami Federacji, aż do chwili, gdy nie będzie to już miało znaczenia. Myślę jednak, że potrafię znaleźć inne usprawiedliwienie. Chcemy wyszkolić tylu ludzi, ilu tylko *Mały Dawid* będzie zdolny zabrać, by zrobić z nich załogę dla innych statków. Nie mam jednak specjalnie z kogo wybierać. Większość naszej grupy to ludzie zbyt starzy lub młodzi, krótkowzroczni geniusze o zapadniętych klatkach piersiowych, zdadni jedynie do pracy w laboratorium. Pan jest młody, zdrowy, ma szybki refleks — wiem coś o tym! — i zna kosmos od niemowlęstwa. Co prawda nie jest pan wyszkolonym operatorem statków, ale to nie będzie zbyt ważne, ponieważ te statki będą dla wszystkich czymś nowym. Panie Harvey, jak by się panu podobało polecieć na Marsa i wrócić jako „kapitan Harvey”, dowódca statku, o sile wystarczającej, by uderzyć na to federacyjne robactwo orbitujące wokół Wenus? Albo przynajmniej jako pierwszy oficer — dodał Phipps, pomyślawszy, że na statku o dwuosobowej załodze Don nie mógłby raczej otrzymać niższego stanowiska.

Jak by mu się spодobało? Byłby zachwycony! Don niemal nie ugryzł się w język starając się zbyt szybko wyrazić zgodę. Nagle przypomniał sobie coś, co go otrzeźwiło. Phipps dostrzegł z jego twarzy, że coś jest nie tak.

— O co chodzi? — zapytał ostrym tonem. — Boi się pan?

— Czy się boję? — Don wyglądał na poddenerwowanego. — Oczywiście, że tak. Zdarzało mi się to tyle razy, że już się nie boję bać. Nie w tym szkopał.

— W takim razie w czym? Proszę mi powiedzieć!

— Chodzi o to... nadal jestem w czynnej służbie. Nie mogę sobie urządzić wycieczki na odległość jakichś stu milionów mil. Formalnie rzecz biorąc, byłaby to dezercja. Gdyby mnie dostali w swoje ręce, zapewne najpierw by mnie powiesili, a potem zadawali pytania.

Phipps odczuł ulgę.

— Och. Może da się temu zaradzić. Zajmę się tą sprawą.

* * *

Dało się. Zaledwie w trzy dni później Don otrzymał nowe rozkazy, tym razem na piśmie. Dotarły one do niego pokrętną drogą, której mógł się jedynie domyślać. Ich treść brzmiała:

DO: Harvey, Donald J. Sierżant specjalista pierwszej klasy

PRZEZ: Droga służbowa.

1. Przydziela się pana tymczasowo, na czas nieokreślony, do służby specjalnej.

2. Będzie pan odbywał wszelkie podróże niezbędne do wykonania obowiązków służbowych.

3. Uznaje się, że ten przydział leży w interesie Republiki. Gdy uzna pan, że pańska misja jest wykonana, zgłosi się pan do najbliższego przedstawiciela właściwych władz i zażąda dostarczenia środków transportu, które umożliwią panu osobiste zameldowanie się u Szefa Sztabu.

4. Na czas trwania misji przyznaje się panu tytularny stopień podporucznika.

J. S. Busby, pułkownik lotnictwa (tytularny)

W imieniu Głównodowodzącego

Akceptuję

1. Dostarczono (za pośrednictwem kuriera)

Henry Marsten, kapitan (tytularny)

Dowódca Szesnastej Gondolowej Eskipy Bojowej

Do rozkazów przypięto ręcznie napisaną kartkę o treści:

PS. Drogi „poruczniku”

To są najgłupsze rozkazy, jakie kiedykolwiek musiałem zatwierdzić. Co, u diabła, narozrabiałeś? Czy ożeniłeś się ze smoczycą? A może złapałeś kogoś z dowództwa na skoku w bok? Tak czy inaczej dobrej zabawy — i szczęśliwych łowów!

Marsten

Don wepchnął rozkazy wraz z kartką do kieszeni. Od czasu do czasu sięgał ręką, by ich dotknąć.

Dni upływały powoli, kropkowana linia była coraz bliżej Marsa i wszyscy stawali się bardziej nerwowi. Na ścianie w jadalni wywieszono kolejną datę, tę na którą *Maty Dawid* musiał być gotowy do lotu, jeśli mieli przybyć na czas.

Kalendarz wskazywał dokładnie datę, gdy zebrano wreszcie załogę. Na dwadzieścia minut przed startem Don znajdował się jeszcze w gabinecie sir Isaaca, lecz jego bagaż (nie było go wiele) był już na pokładzie. Jak stwierdził, powiedzieć sir Isaacowi „do widzenia” było trudniej niż mu się zdawało. Jego głowa nie była pełna wyobrażeń na temat „obrazu ojca” i tak dalej. Wiedział po prostu, że ten smok jest całą jego rodziną, w znacznie większym stopniu niż odległa para przebywająca na planecie, na którą miał lecieć.

Poczuł niemal ulgę, gdy rzut oka na zegarek powiedział mu, że jest już późno.

— Muszę pędzić — powiedział. — Dziewiętnaście minut.

— Tak, mój drogi Donaldzie. Wy, krótko żyjący gatunek, zawsze musicie żyć w gorączkowym pośpiechu.

— No więc... do widzenia.

— Żegnaj, Mgło nad Wodami.

Wyszedł z gabinetu sir Isaaca, by wydmuchać nos i wziąć się w garść. Zza masywnej kolumny wyłoniła się Isobel.

— Don... chciałam się z tobą pożegnać.

— Hę? No jasne, ale czy nie przyjdiesz usłyszeć „podnieście statek”?

— Nie.

— No to, jak sobie chcesz. Muszę już lecieć, babciu.

— Mówiłam ci, żebyś przestał nazywać mnie „babcią”!

— A więc okłamałaś mnie co do swojego wieku. Teraz już się z tego nie wykręcisz, babciu.

— Don, ty uparta bestio! Don... wróć. Rozumiesz mnie?

— No jasne! Wrócimy w try miga.

— Pamiętaj, żebyś to zrobił! Jesteś za tępy, żeby na siebie uważać. No więc... otwartego nieba! — złapała go za uszy i pocałowała szybko, po czym uciekła.

Don gapił się w ślad za nią, dotykając ust. Dziewczyny, pomyślał, są znacznie dziwniejsze od smoków. To chyba całkiem odrębny gatunek. Udał się pośpiesznie na miejsce startu. Wydawało się, że zebrała się tam cała kolonia. Don przybył jako ostatni z członków załogi, czym zasłużył na paskudne spojrzenie kapitana Rhodesa, dowódcy *Małego Dawida*. Rhodes, kiedyś pracownik „Linii Międzyplanetarnych”, a teraz oficer Średniej Straży, pojawił się trzy dni temu. Nie był chętny do rozmów i cały czas spędzał w towarzystwie Conrada. Don dotknął ręką kieszeni i zastanowił się, czy rozkazy Rhodesa mają równie dziwną treść jak jego.

Małego Dawida wyciągnięto na brzeg i ustawiono na płozach. Do startu nie będzie potrzebna katapulta, której zresztą nie mieli. Wszystkie trzy katapulty na Wenus znajdowały się w rękach sił Federacji. Statek ukryto pod zasłoną z gałęzi, które teraz obcinano, odsłaniając otwarte niebo i dając miejsce do startu.

Don spojrział na *Małego Dawida*. Pomyślał, że przypomina on raczej nadmiernie wielką i wyjątkowo brzydką betoniarce niż statek kosmiczny. Z obu burt sterczały smętne kikuty amputowanych skrzydeł. Ostry jak igła dziób przycięto

i zastąpiono bulwiastą osłoną specjalnego radaru. Tu i ówdzie — w miejscach gdzie dokonano pośpiesznych modyfikacji — statek pokryty był bliznami pozostawionymi przez palniki. Nie uczyniono żadnych wysiłków, by go upiększyć, wygładzić czy doprowadzić do porządku po przebytych operacjach.

Dysze rakiet zniknęły, a miejsce, gdzie uprzednio znajdowało się paliwo rakietowe, zajmował teraz stos atomowy, zaś większą część dawnego pomieszczenia dla pasażerów stanowiła masywna grodz, będąca osłoną przed promieniowaniem, chroniącą załogę przed śmiertcionośnymi emanacjami stosu. Z całej zewnętrznej powierzchni, zniekształcając opływowe niegdyś kształty, sterczały wybrzuszone dyski — „anteny”, jak powiedział Conrad — służące do odkształcenia samej przestrzeni. Donowi nie przypominały zbyt anten.

Załoga *Małego Dawida* liczyła dziewięć osób: Rhodes, Conrad, Harvey i sześciu innych — sami młodzi ludzie, wszyscy z nich na „szkoleniu”, z wyjątkiem Conrada, który nosił mało dystyngowany tytuł „oficera gadżetowego”. Było to jednak krótsze niż „oficer odpowiedzialny za urządzenia specjalne”. Na statku był jeden pasażer, stary Malath. Nie było go nigdzie widać i Don nie starał się go znaleźć. Tylną część pozostałej przestrzeni dla pasażerów zamknięto hermetycznie i napełniono odpowiednim dla niego rzadkim, suchym i zimnym powietrzem.

Wszyscy byli już na pokładzie. Służę zamknięto i Don usiadł na fotelu. Mimo że nowy sprzęt zajmował wiele miejsca w małym statku, pozostawiono tyle pasażerskich foteli, że wystarczyło ich dla wszystkich. Kapitan Rhodes usadowił się, w fotelu pilota i warknął.

— Na stanowiska przyśpieszeniowe! Zapiąć pasy!

Don wykonał polecenie.

Rhodes zwrócił się w stronę Conrada, który nadal stał. Ten stwierdził swobodnym tonem.

— Jakież dwie minuty, panowie. Ponieważ nie było czasu na lot próbny, będzie to bardzo interesujący eksperyment. Może się wydarzyć jedna z trzech rzeczy — przerwał.

— Słucham? — warknął Rhodes. — Niech pan mówi!

— Po pierwsze, może nie stać się nic. Moglibyśmy pośliznąć się na jakiejś drobnej teoretycznej pomyłce. Po drugie, może się udać. A po trzecie, możemy wylecieć w powietrze — Conrad uśmiechnął się. — Czy ktoś ma ochotę na zakład?

Nikt nie odpowiedział. Uczony opuścił wzrok.

— No dobrze. Kapitanie, za ogon go!

Donowi wydało się, że nagle zapadła noc i że w jednej chwili przeszli w stan nieważkości. Jego żołądek, od dłuższego czasu przyzwyczajony do stosunkowo wysokiej grawitacji Wenus, zakołysał się na znak protestu. Conrad, nie przypięty pasami, unosił się swobodnie, trzymając się jedną ręką tablicy kontrolnej.

— Przepraszam, panowie! — powiedział. — Drobne niedopatrzenie. Nastawimy teraz to miejsce geometryczne na grawitację marsjańską, dla wygody naszego pasażera.

Poruszył swymi pokrętłami.

Żołądek Dona wrócił raptownie na miejsce, gdy zapanowała całkiem zadowalająca grawitacja, przekraczająca jedną trzecią ziemskiej.

— W porządku, kapitanie — powiedział Conrad. — Może pan im pozwolić rozpiąć pasy.

Ktoś za Donem zapytał.

— Co się stało? Czy nie zadziało?

— Och, jak najbardziej zadziało — odparł Conrad. — W gruncie rzeczy od chwili wyjścia z atmosfery poruszamy się z przyśpieszeniem... — przerwał, by spojrzeć na przyrządy — około dwudziestu g.

* * *

Statek nadal otaczała ciemność. Był on odcięty od reszty wszechświata przez coś, co nosiło nieadekwatną nazwę „nieciąłości”, z wyjątkiem chwil, gdy — co drugą wachetę — Conrad wyłączał pole na kilka minut, by pozwolić kapitanowi Rhodesowi wyrzucić na zewnątrz i ujrzeć gwiazdy. Przez te momenty na statku panowała nieważkość, a przez luki ostro świeciły gwiazdy. Potem ponownie zamykała się wokół nich ciemność i *Mały Dawid* wracał do własnego, ciągu świata.

Kapitan Rhodes za każdym razem gdy ustalał położenie liku, przeklinał cicho pod nosem i powtarzał wszystkie obliczenia przynajmniej po trzy razy.

W przerwach Conrad prowadzi wykłady o „gadżetach” przez tyle godzin dziennie, ile mógł wytrzymać. Donowi większość wyjaśnień wydawała się równie zagadkowa jak to, którego Conrad udzielił Phippsowi.

— Po prostu nie łapię, Róg — wyznał, gdy ich instruktor powtórzył ten sam punkt po raz trzeci.

Conrad wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Nie przejmuj się tym. W chwili, gdy będziesz pomagał instalować ten sprzęt na własnym statku, poznasz go już tak dobrze, jak twoja stopa twój but. Tymczasem jednak powtórzmy to jeszcze raz.

Poza słuchaniem wykładów Conrada nie mieli nic do roboty, a poza tym statek był za ciasny i zbyt zatłoczony. Niemal bez przerwy grano w karty. Don miał bardzo mało pieniędzy, a po chwili nie miał ich już w ogóle i przestał być uczestnikiem gry. Spał i rozmyślał.

Doszedł do wniosku, że Phipps miał rację. Takie tempo podróży wiele zmieni. Ludzie będą się przemieszczać między planetami z równą łatwością, jak teraz

między kontynentami na Ziemi. To będzie zupełnie jak. . . no, powiedzmy przejście od żaglowców do rakiet transoceanicznych, z tym że do zmiany dojdzie z dnia na dzień, a nie w ciągu trzech stuleci.

Może któregoś dnia wróci na Ziemię. Miała ona swoje zalety. Na przykład jazda konna. Zastanowił się, czy Leniuch jeszcze go pamięta.

Chciałby nauczyć Isobel jeździć konno. Miałby ochotę zobaczyć jej twarz w chwili, gdy po raz pierwszy zobaczy konia.

Jedno wiedział: nawet jeśli wróci na Ziemię, nie zostanie tam na stałe, podobnie jak na Wenus czy Marsie. Wiedział już, gdzie jest jego miejsce — w kosmosie, tam, gdzie się urodził. Każda planeta będzie dla niego jedynie hotelem. Domem będzie przestrzeń.

Może wyruszy do gwiazd na *Zwiadowcy*. Miał skryte przecucie, że, jeśli wyjdą żywi z tej akcji, członek pierwszej załogi *Małego Dawida* zdoła jakoś załatwić, by wybrano go do Długiej Podróży. Rzecz jasna, na *Zwiadowcę* przyjmowano jedynie pary małżeńskie, to jednak nie stanowiło przeszkody. Był pewien, że zawrze małżeństwo wystarczająco wcześnie, by się zakwalifikować, choć nie pamiętał dokładnie, w którym momencie uzyskał tę wiedzę. Ponadto Isobel była dziewczyną typu „gdzie ty, tam i ja” i nie będzie próbowała go powstrzymać. Zresztą *Zwiadowca* i tak nie wyruszy natychmiast. Zaczekają ze startem, by go wyposażać w napęd Horsta-Milnego-Conrada, gdy tylko dowiedzą się o jego istnieniu.

Tak czy inaczej, gdy tylko wojna się skończy, zamierzał trochę się pokręcić, odbyć parę podróży. Gdy wróci, z pewnością będą go musieli przenieść do Wysokiej Straży, a zdobyte tam doświadczenie sprawi, że, gdy zakończy służbę, każdy z chęcią go przyjmie. Jak się nad tym zastanowić, można było powiedzieć, że już był w Wysokiej Straży.

McMasters niewątpliwie miał rację. Istniał tylko jeden sposób, by dostać się na Marsa — z kosmicznym oddziałem specjalnym.

Rozejrzał się wokół siebie. Nadal toczyła się nieunikniona gra w karty, zaś dwóch jego kolegów rzucało na płyty pokładu kości, które obracały się leniwie w słabym polu paragrawitacyjnym. Conrad rozłożył siedzenie, rozciągnął się na nim i zasnął z otwartymi ustami. Don doszedł do wniosku, że z pewnością nie wyglądają na oddział specjalny mający ocalić świat. Wewnątrz statku panowała raczej aura domowego bałaganu.

Zgodnie z planem mieli „wyjść” jedenastego dnia podróży, na swobodnej orbicie wokół Marsa i — jeśli przewidzieli wszystko prawidłowo — w bezpośredniej bliskości oddziału specjalnego Federacji. Walka na finiszu będzie tak zacięta, że niemal będzie ją musiała rozstrzygnąć fotokomórka. Wykłady na temat „gadzetów” ustąpiły miejsca ćwiczeniom na stanowiskach bojowych. Rhodes wybrał Arta Frankela, który miał pewne doświadczenie w obchodzeniu się ze statkami, na drugiego pilota. Asystentem Conrada został Franklyn Chiang, który również był fizykiem. Co zaś do pozostałej czwórki, dwóch obsługiwało radio, a dwóch

radar. Stanowiskiem bojowym Dona było siedło umieszczone w śródkręciu, za fotelami pilotów — siedzenie obsługującego urządzenie detonujące. Odpowiadał on za sprężynowy przełącznik typu znanego od stuleci jako „przełącznik nieboszczyka” z tego powodu, że mógł on zadziałać jedynie wtedy, gdy jego operator był martwy.

Podczas pierwszego ćwiczenia Conrad załatwił się z pozostałymi, po czym wrócił do stanowiska Dona.

— Kapujesz, co masz zrobić, Don?

— Jasne. Przesuwam tę dźwignię, by uzbroić bombę, a potem łapię się za przełącznik urządzenia detonującego.

— Nie, nie! Najpierw łapię się za przełącznik, a potem uzbrajasz bombę.

— No jasne. Powiedziałem to w odwrotnej kolejności.

— Tylko żebyś tego nie zrobił w odwrotnej kolejności! Zapamiętaj sobie jedno, poruczniku: jeśli go puścisz, wszystko pójdzie w diabły.

— Dobra. Posłuchaj, Rog, on powoduje wybuch bomby atomowej, zgadza się?

— Nie zgadza. Po co marnować tyle pieniędzy! Niemniej ładunek wybuchowy, jaki tam mamy, wystarczy na taką małą puszkę, jak nasza. Zapewniam cię o tym. Tak więc, choć jesteśmy zdecydowani raczej wysadzić to pudło niż pozwolić, by dostało się w ręce nieprzyjaciela, w żadnym innym wypadku nie puszczaj tego przełącznika. Jeśli poczujesz potrzebę, by się podrapać, wznieś się ponad nią.

Kapitan Rhodes przeszedł przez rufę i skinieniem głowy wysłał Conrada na dziób. Przemówił do Dona cichym głosem tak, by jego słowa nie dotarły do pozostałych.

— Harvey, czy jest pan zadowolony z przydziału? Nie ma pan obiekcji?

— Nie mam — odparł Don. — Wiem, że wszyscy pozostali są lepiej wyszkoleni w sprawach technicznych. To w sam raz na mój łeb.

— Nie o to mi chodzi — poprawił go kapitan. — Mógłby pan zająć miejsce każdego, poza mną i doktorem Conradem. Chcę być pewny, że potrafi pan to zrobić.

— Nie widzę w tym nic trudnego. Złapać za ten przełącznik, a potem przesunąć tamten i trzymać się ze wszystkich sił. To z pewnością nie wymaga wyższej matematyki.

— To wciąż nie to, o co pytam. Nie znam pana, Harvey. Jak rozumiem, brał pan już udział w walce. Tamci nie brali. Dlatego przydzieliłem to zadanie panu. Ci, którzy pana znają, sądzą, że będzie pan w stanie to zrobić. Nie martwię się o to, że może pan zapomnieć trzymać się przełącznika. Chcę się dowiedzieć tego: czy, jeśli będzie trzeba go puścić, potrafi pan to zrobić?

Don odpowiedział niemal natychmiast, nie szybciej jednak nim miał czas pomyśleć o kilku rzeczach — doktor Jefferson, który niemal na pewno popełnił

samobójstwo, a nie po prostu umarł — stary Charlie z ustami drżącymi, lecz taksakiem pewnie trzymanym w rękę — i nieśmiertelny głos, przebijający się przez mgłę: „Wenus i wolność!”

— Jeśli będę musiał, to chyba tak.

— Dobrze. Ja sam nie jestem bynajmniej pewien, czy bym to potrafił. Polegam na panu, że jeśli dojdzie do najgorszego, nie pozwoli pan, by mój statek dostał się w ręce nieprzyjaciela — kapitan wrócił na dziób.

* * *

Napięcie rośnie. Ludzie stawali się coraz bardziej nerwowi. Nie mieli żadnego sposobu, by się upewnić, że „wyjda” w pobliżu oddziału specjalnego Federacji. Mógł on skorzystać z innej orbity niż ta, która — jak sądzili — była najbardziej efektywna. Nie mogli nawet być pewni, czy siły Federacji już nie dotarły do Marsa i nie zapanowały nad sytuacją, tak że trudno je będzie stamtąd wyprzeć. LaborATORYjne cuda *Małego Dawida* były przystosowane do walki między statkami w przestrzeni kosmicznej, nie do oczyszczania z nieprzyjaciela powierzchni planety.

Conrad miał też inny powód do zmartwienia, o którym nie mówił na głos. Broń, w którą wyposażono statek, mogła nie zadziałać zgodnie z przewidywaniami. Lepiej niż ktokolwiek z pozostałych znał słabe strony polegania na teoretycznych prognozach. Wiedział jak często najbardziej błyskotliwe wyliczenia zawodziły ze względu na działanie praw natury, których istnienia dotąd nie podejrzewano. Nic nie mogło zastąpić prób, a tej broni nie poddano żadnym testom. Z jego twarzy zniknął zwykły uśmiešek. Wdał się nawet w pełną nerwowości wymianę zdań z Rhodesem co do wyliczonego czasu „wyjścia”.

Wreszcie jednak ten spór rozstrzygnięto. W pół godziny później Rhodes powiedział cicho.

— Panowie, czas się zbliża. Na stanowisko bojowe.

Udał się do własnego fotela, przypiął pasami i warknął.

— Zgłaszać gotowość!

— Drugi pilot.

— Radio!

— Radar!

— Specjalna broń gotowa!

— Urządzenie detonujące! — zakończył Don.

Nastąpiło długie oczekiwanie. Sekundy sączyły się powoli. Rhodes przemówił cicho do mikrofonu, aby ostrzec Malatha, że ma się przygotować do stanu nieważkości, po czym zawołał głośno.

— Przygotować się!

Don złapał się mocniej przełącznika niszczącego.

Nagle znalazł się w stanie nieważkości. Z przodu oraz w lukach pasażerskich po obu stronach pojawiły się gwiazdy. Nie widział Marsa. Uznał, że musi się on znajdować „pod” statkiem. Słońce było gdzieś za rufą, poza jego polem widzenia. Widok z przodu był jednak znakomity. *Mały Dawid*, który rozpoczął życie jako uskrzydłony wahadłowiec, miał przed siedzeniami pilotów panoramiczny luk, taki jak w samolocie. Don widział wszystko równie wyraźnie jak Rhodes i drugi pilot, a znacznie lepiej niż pozostali.

— Radar? — zapytał Rhodes.

— Spokojnie, kapitanie. Nawet prędkość światła nie jest... O! O! Punkty!

— Współrzędne i odległość!

— Theta trzysta pięćdziesiąt siedem przecinek dwa, phi minus zero przecinek osiem, odległość strzelecka sześćset osiemdziesiąt... .

— Wprowadzam dane automatycznie — wtrącił się ostrym tonem Conrad.

— W cel?

— Jeszcze nie.

— W zasięgu?

— Nie. Myślę, że powinniśmy siedzieć cicho i zbliżyć się jak tylko można. Mogli nas nie dostrzec.

Upřednio zwolnili pęd, by umożliwić manewrowanie, niemniej zbliżali się do „punktów” z prędkością ponad dziewięćdziesięciu mil na sekundę. Don, wytężył wzrok, by dostrzec statki, jeśli odbicia radaru faktycznie nimi były. Nic z tego. Jego biologiczne instrumenty z protoplazmy nie mogły się równać z elektronicznymi.

Lecieli tak z napiętymi nerwami i skurczonymi żołądkami, nieustannie zmniejszając dystans, aż wreszcie wydało im się, że punkty nie mogły być oddziałem specjalnym. Może nawet była to jakaś zabłąkana, nie zaznaczona na mapach planetoida. Nagle, przerywając ciszę, zabrzmiał radioalarm, który przeszedł automatycznie przez cały zakres częstotliwości.

— Łapcie to! — zawołał Rhodes.

— Już go mamy — nastąpiła krótka chwila oczekiwania. — Żądają identyfikacji. Tak jest, to nasz cel.

— Przełącz ich do mnie — Rhodes zwrócił się w stronę Conrada. — Jak stoimy?

— Powinienem być bliżej. Niech pan zyska na czasie! — twarz Conrada była szara i złana potem.

Rhodes nacisnął klawisz i przemówił do mikrofonu.

— Co to za statek? Proszę dokonać identyfikacji.

Odpowiedź uległa wzmocnieniu przez głośnik znajdujący się nad głową kapitana.

— Proszę podać numery identyfikacji albo otworzymy ogień.

Rhodes ponownie spojrzął na Conrada, który był zbyt zajęty, by odwzajemnić spojrzenie.

— Niszczyciel *Mały Dawid*, statek kaperski Republiki Wenus. Poddajcie się natychmiast.

Don ponownie wyteżył wzrok. Wydało mu się, że prosto przed nimi dostrzega trzy nowe „gwiazdy”.

Odpowiedź nadeszła ze zwłoką nieznacznie większą niż wymagana na transmisję.

— Okręt flagowy Federacji *Pacyfikator* do statku pirackiego *Mały Dawid*. Poddaj się lub zostaniesz zniszczony.

Na pytanie Rhodesa Conrad odwrócił twarz naznaczoną grymasem niepewności.

— To jeszcze daleko. Schodzą mi z celu. Mogę chybić.

— Nie ma czasu! Ognia!

Don już je widział — statki, rosnące z niewiarygodną prędkością. Wtem, zupełnie nagle, jeden z nich zamienił się w srebrzystą kulę, następnie drugi i trzeci. Kiść niewiarygodnych, gigantycznych ozdób choinkowych w miejscu, gdzie przed chwilą były trzy potężne okręty wojenne. Nie przestawały rosnąć, aż mignęły z lewej strony i zniknęły za statkiem. . . „bitwa” była skończona.

Conrad westchnął, drżąc cały.

— To wszystko, kapitanie.

Odwrócił się i dodał:

— Don, poczuje się wszyscy pewniej, jeśli rozbrosisz tę bombę. Nie będzie nam potrzebna.

* * *

Mars przepływał pod nimi, czerwonawy i piękny. Stację Shiaparelli z jej potężnym międzyplanetarnym nadajnikiem IT&T otaczał już srebrzysty „kapelusz”, umieszczony tam, by utrzymać ich atak w tajemnicy. Kapitan Rhodes nawiązał łączność z mniejszą stacją, powiadamiając ją o ich przybyciu. Za niecałą godzinę wylądują w pobliżu da Thon. Sam Malath wyszedł wreszcie ze swej lodówki. Nie był już chory i zmęczony, lecz żwawy jak świerszcz, gotów narazić się na ciepłe, gęste i wilgotne powietrze kabiny, by mieć szansę ujrzenia domu.

Don wdrapał się z powrotem na swe stanowisko bojowe skąd widok był lepszy. Wyraźnie już widać było legendarne kanały. Dostrzegł jak przecinają łagodną zieleń, dominujący oranż i ceglana czerwień. Na południu panowała zima. Południowa czapa biegunowa spoczywała dumnie na planecie, jak czepek na głowie kucharza. To skojarzenie przypomniało mu starego Charliego. Myślał o nim z łagodną melancholią. To, co wydarzyło się od tej pory, złagodziło wspomnienie.

Nareszcie Mars... może jeszcze, zanim dzień się skończy zobaczy się z rodzicami i odda ojcu pierścionek. Z pewnością nie tak to sobie zaplanowali.

Następnym razem postara się nie lecieć okrężną drogą.